



GŁOS DZIENNIK POMORZA POMORZA

Poniedziałek
23.01.2023

Nr 18 (4870)
Nakład: 8.260 egz.

www.gp24.pl
Cena 4,20 zł (w tym 8% VAT)

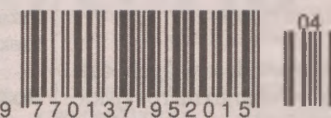
Słupsk. Zmarła druga osoba, która odniosła obrażenia w wypadku w Głobinie **str. 3**

Region. W Miastku szykuje się podwyżka opłat za wywóz śmieci **str. 4**

Region. Tragedia w Dąbrównie. Matka podejrzana o zabójstwo córki **str. 3**

Nr ISSN 0137-9526

Nr indeksu 348-570



SŁUPSK
Bloki komunalne do końca tego roku
str. 4



SŁUPSK
Drogi już nie ma, ale lampy dalej świecą

W tej sprawie absurd goni absurd. Najpierw gmina Słupsk zabrała płyty z drogi łączącej dwie ulice na granicy ze Słupskiem, a teraz płaci za jej oświetlenie.

Chodzi o łącznik między ulicami Gdyńską w Słupsku oraz Inwestycyjną, która była ulicą w gminie Słupsk, a po powiększeniu miasta leży w granicach Słupska. Przypomnijmy: gmina Słupsk zabrała betonowe płyty z kilkuset metrów jezdni w grudniu, bo miasto nie chciało zapłacić za drogę zbudowaną przez gminny samorząd. Władze Słupska, powołując się na zdanie mieszkańców, nie chciały tam samochodów, a tylko trakt pieszo-rowerowy.

W czym problem? Oświetlenie jest tak zrobione, że fizycznie nie da się wyłączyć sześciu lamp, które gmina postawiła na łączniku ulicy Inwestycyjnej z ulicą Gdyńską w Słupsku.

Czytaj str. 4

GOSPODARKA TERMINALE PALIWOWE SZCZECINA I ŚWINOUJŚCIA TEMATEM PRASOWYM

Zyskowna spółka z tajemnicą

opr. Michał Elmerych
Region

Puls Biznesu w ciągu miesiąca przyniósł dwie publikacje, których głównymi bohaterami są szczecińscy biznesmeni i zachodniopomorskie terminale paliwowe. Ton artykułów jest jeśli nie sensacyjny, to przynajmniej niepokojący.

W połowie grudnia redaktor Magdalena Graniszewska w tekście zatytułowanym „Ukraińcy kupili terminale paliwowe nad Bałtykiem” opisała proces przejścia firmy Baltchem posiadającej infrastrukturę w Szczecinie i Świnoujściu.

Ręka w rękę

Dokonali tego szczeciński biznesmen Jan Bobrek i Ukrainiec Volodymyr Petrenko. Stało się to na trzy miesiące przed wejściem w życie embarga na rosyjskie surowce. Jak podaje Puls Biznesu, transakcja wywołała poruszenie wśród polskich firm zajmujących się obrotem paliwami. Nowi właściciele wypowiedzieli bowiem dotychczasowe umowy i przekierowali działalność terminali w kierunku Ukrainy.

Rodzina Bobrek jest znana w Szczecinie od wielu lat. Jan Edward Bobrek w branży działa od dawna (na początku XXI wieku jego nazwisko przewijało się w aktach afery paliwowej), jego nieco ponad trzydziestoletni syn kieruje dwoma spółkami Arcturus i Oktan Energy.

Drugi udziałowiec, ukraiński biznesmen, nie jest tak powszechnie

znany. Petrenko to właściciel ukraińskiej firmy Ukrpaletsystem, założonej w 2003 r. i zarządzającej siecią stacji pod marką UPG. Tu pojawia się wątek... białoruski.

„Do 24 lutego 2022 r., czyli do pełnoskalowego ataku Rosji na Ukrainę, Ukrpaletsystem importował paliwa z Białorusi, ale po ataku, w komunikacie z marca 2022 r., zapewnił klientów, że potępia Białoruś i już tam paliw nie kupuje. Firma deklaruje też, że od 2014 r. nie kupiła ani tony paliwa z Rosji. Na stronie internetowej marka UPG podkreśla zaś, że sprzedawane przez nią paliwa pochodzą wyłącznie z Europy. Nie wskazuje, gdzie je kupuje i jak sprowadza. W branży można natomiast usłyszeć, że Ukraińcy z UPG są bardzo aktywni na polskim rynku paliw i są dużym graczem na rynku dostaw na Ukrainę” – napisała w swoim tekście Graniszewska.

W tle Łukaszenko?

Autorka tekstu w Pulsie Biznesu wysłała pytania zarówno do Szczecina jak i na Ukrainę, ale wówczas (czyli na początku grudnia) nie otrzymała jeszcze odpowiedzi. Te nadeszły nieco później.

Ich publikację w Pulsie Biznesu poprzedził jednak artykuł, który 6 stycznia opublikował się na ukraińskim portalu Pobozrevatel. „Firma UPG za którą stoi białoruski oligarcha i syn Łukaszenki przedarła się na polski rynek” – brzmiał jego tytuł.

Tekst pojawił się, a potem zniknął i znowu się pojawił. Redakcja tłumaczyła to tym, że pierwsza publikacja wywołała mnóstwo prawniczych re-

akcji, ale po sprawdzeniu faktów ukraińska autorka nie wycofuje się z napisanych w znikającym artykule zdań.

A padają tam interesujące stwierdzenia jak chociażby takie, że... „Na polski rynek weszła sieć stacji benzynowych UPG, będąca de facto własnością białoruskiego oligarchy Nikołaja Worobieja i syna Aleksandra Łukaszenki, Wiktora. Firma oficjalnie pozycjonuje się jako ukraińska, ale według naszych danych „rebranding” został przeprowadzony wyłącznie w celu obejścia wszystkich sankcji unijnych”. Feler i to dość istotny jest taki, że autorka artykułu w ukraińskim portalu nie podaje żadnych źródeł.

„Plotki o powiązaniach mojej firmy z kapitałem białoruskim są dla mnie szokujące. Nie mamy dziś relacji z tym krajem – odpowiada przedsięwzięcia”. To cytat z wypowiedzi Volodymyra Petrenki. Pochodzi on z drugiego tekstu, jaki na ten temat zamieścił Puls Biznesu kilka dni temu.

„Ukraiński inwestor odkrywa karty” tej samej autorki, co grudniowy tekst Magdaleny Graniszewskiej, przynosi rozmowy zarówno z Petrenką, jak i z Janem Edwardem Bobrykiem.

Dowiadujemy się z nich o biznesowej drodze, jaką Ukrainiec przeszedł w drodze do Polski, ale poznajemy również sumę, za którą Bobrek i Petrenko kupili Baltchem od Warsaw Equity Group, który był jego właścicielem przez 23 lata.

To około 50 milionów euro. Po zapłaceniu takiej kwoty udziałowcy

mają równe wkłady, po 48 procent. Po jednym udziale mają prawnicy każdej ze stron.

Tekst Graniszewskiej przynosi jednak również informacje o konflikcie między udziałowcami. „Nasza współpraca z drugim akcjonariuszem układa się źle. Mimo że mamy tyle samo akcji, druga strona uzurpuje sobie prawo do całkowitej kontroli nad firmą. Ponadto przedstawiciele Volodymyra Petrenki złożyli rezygnację z zasiadania w radzie nadzorczej, przez co rada nie może podejmować decyzji. Sytuacja jest patowa – twierdzi Jan Bobrek ojciec”.

„Jestem poważną osobą i uważam po prostu, że każdy powinien dotrzymywać słowa. Skoro zawarłem z Janem Bobrykiem wstępną umowę przejęcia jego firmy Oktan Energy, to oczekuję dalszych kroków w tej sprawie. To prawda, że moi przedstawiciele w radzie nadzorczej Baltchemu złożyli rezygnację. Jesteśmy jednak z Janem w kontakcie i nie nazywałbym tego konfliktem – mówi ukraiński biznesmen”. Skoro w jednym tekście znajdujemy obok siebie dwa takie cytaty można przypuszczać, że rzeczywistość sytuacja stoi na ostrzu noża.

Porty muszą być polskie

Bobrek mówi Graniszewskiej, że nie sprzeda Oktan Energy, ale być może odstąpi swoje udziały w Baltchemie. Komu? Petrencie albo Skarbowi Państwa. W tym drugim przypadku pomóc może prawo, bo procedowana jest ustawa dająca państwu prawo pierwokupu spółek działających na terenach polskich portów.

Czytaj dalej str. 2

Pomorze. Dziwna podwodna eskapada hiszpańskich nurków w pobliżu portu w Gdańsku **str. 5**

Dr Tomasz Madras: Ze strony Rosji była zawsze tępa, prymitywna chęć dominacji **str. 6**

Gina Lollobrigida. Wspomnienie o włoskiej aktorce, największej seksbombie światowego powojennego kina **str. 10**

Informator. Zapowiedzi koncertów i imprez kulturalnych w regionie **str. 18**

Jutro w naszej gazecie: Strona Zdrowia

● Zioła na przerost prostaty ● Jak może nam pomóc kawowy detoks? I czy to prawda, że organizm go potrzebuje?

Zamów prenumeratę Głosu

☎ 94 340 11 14

prenumerata.gdp@polskapress.pl

prenumerata.gp24.pl

Zyskowna spółka z tajemnicą

ciąg dalszy ze str. 1

5 lutego wejdzie w życie całkowite embargo na rosyjskie paliwa. To oznacza, że skurczy się rynek. Baltchem, który nie współpracuje z polskimi podmiotami stanowi problem. I to poważny. Wyłączenie z pracy dla Polski dwóch terminali mocno komplikuje sytuację.

Pracę do przejęcia pełnej kontroli nad firmą Petrenko zapewnia wprawdzie autorkę artykułu w Pulsie Biznesu: „W momencie zawierania transakcji rzeczywiście polscy kontrahenci odeszli, ale to dlatego, że akurat wtedy umowy wygasły. Zapraszamy serdecznie polskich przedsiębiorców do współpracy. Jesteśmy gotowi do rozmów. W Baltchemie prowadzone są właśnie inwestycje, które zwiększą moce przeładunkowe, ponadto budowane są tory kolejowe. Baltchem będzie w stanie pracować zarówno dla klientów ukraińskich, jak i polskich.”

Ile wiemy, tyle wiemy

Wciąż gdzieś pozostają jednak nie do końca wyjaśnione powiązania jego spółek z Białorusią. Graniszewska zapytała o nie w ministerstwach: Spraw Wewnętrznych i Administracji, a także Rozwoju i Technologi.

Jak sama napisała „bardziej konkretna, choć nieszczerólnie pokrzepiająca jest odpowiedź resortu rozwoju”. Potwierdza ona że „(...) Nikolai Vorobey oraz Viktor Łukaszenka (...) znajdują się na unijnej liście sankcyjnej, toteż działania umożliwiające tym osobom nabywanie zasobów gospodarczych na terytorium UE stanowią naruszenie obowiązującego reżimu sankcyjnego”.

Sprawa opisana przez Puls Biznesu z całą pewnością jest rozwojowa, nie do końca jasna, ale przede wszystkim niezwykle istotna dla bezpieczeństwa energetycznego kraju, obejmuje bowiem zarządzanie infrastrukturą krytyczną.

Jak ustalił Głos sprawą zainteresowała się już Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Funkcjonariusze ABW byli już w siedzibie spółki.

Zabezpieczamy infrastrukturę krytyczną

Przemysław Szymańczyk
Rozmowa

Rozmowa z Markiem Gróbarczykiem wiceministrem infrastruktury.

Czy możliwy jest scenariusz, który rysuje Puls Biznesu, by prywatny terminal paliwowy na terenie portu w Szczecinie i Świnoujściu przejął syn dyktatora Białorusi, Łukaszenki?
Wydawałoby się to zupełnie horrendalnym nieporozumieniem, ale w związku z tym, że nie jest to rzecz wymyślona przez jednego autora, a wspomniana informacja pojawiła się w kilku miejscach, między innymi na jednym z portali badając ukraińskich... Z prawnego punktu widzenia, jeśli udziałowiec ukraiński dopuścił w jakiegokolwiek formie do swojego biznesu właśnie syna Łukaszenki, to faktycznie może się tak stać. Mógł wejść w ten biznes. Myśmy wielokrotnie wskazywali, że „Gazprom”, stosując różnego rodzaju metody np. poprzez wykup spółek, zainwestował w wiele biznesów na Zachodzie. Zrobił to tak, że nikt nie wie, że to Gazprom jest prawdziwym ich właścicielem.

Że na początku tego źródła są pieniądze rosyjskie, a nie pieniądze firmy, która oficjalnie prowadzi działalność.
Dokładnie tak.

Wróćmy do tego biznesu na terenie portów w Szczecinie i Świnoujściu. Stan prawny jest przynajmniej oficjalnie taki: 48% ma biznes ukraiński, 48% ma biznes szczeciński, a po jednym procencie prawnicy, którzy reprezentują obydwu państw. Terminal jest prywatny, wybudowany częściowo za prywatne pieniądze i został kupiony od funduszu inwestycyjnego. Czy zatem na terenie Unii Europejskiej syn dyktatora może robić biznes?
W świetle obowiązującego prawa europejskiego, jak najbardziej tak. Jeśli firmie nie zostanie udowodnione, że łamie sankcje poprzez wprowadzanie chociażby pieniędzy dyktatora.

Ale jeżeli to robi przez oligarchę, który ma legalny biznes? Może nie wszyscy sobie z tego zdają sprawę, że terminale pa-



Zbiorniki w szczecińskim terminalu Baltchemu. W sumie jest ich 23. Mają różną pojemność i służą do przechowywania różnych rodzajów paliw

liwowe to jest infrastruktura strategiczna, mimo że należąca do prywatnych podmiotów.

I krytyczna...

Czy państwo polskie ma zatem jakieś instrumenty, by tę krytyczną infrastrukturę chronić?
No właśnie w tym celu została stworzona ustawa czy też poprawki, które trafiły do ustawy o „bezpieczeństwie morskim” mówiące o tym, że w momencie kiedy jeden z udziałowców bądź właściciel chce zbyć udziały swojej spółki, musi poinformować o tym pod rygorem nieważności umowy, rząd danego portu. Na tej podstawie rząd portu ma prawo pierwokupu tych udziałów po wycenie i na warunkach rynkowych.

Wiadomo, że do umowy nikogo przymusić nie można. Zalóżmy, że ten Ukraińiec czy polski współwłaściciel Baltchemu zwraca się do zarządu portu w Szczecinie o zgodę na sprzedaż swoich udziałów innemu podmiotowi. No i państwo polskie reprezentowane przez Zarząd Portu Szczecin i Świnoujście mówi: nie zgadzamy się, ale to my możemy je kupić. Proponujemy Wam 100 milionów. A firma mówi: nie, my chcemy 120 milionów złotych. Co się wtedy dzieje?

Podobne rozwiązania obowiązują w portach w zakresie nabywania gruntów. To działa w praktyce. Zarząd Portu ma prawo pierwokupu.

Ale również parę innych ministerstw zastosowało to samo rozwiązanie, jak chociażby Ministerstwo Rolnictwa. I to się

sprawdza ponieważ zarząd portu poprzez ustawę ma prawo pierwokupu, a więc najpierw musi nastąpić czynność prawna w postaci zawązania umowy sprzedaży pomiędzy dwoma podmiotami na zbycie tych udziałów i wtedy port podejmuje decyzję, bo to on właśnie - ma prawo pierwokupu. Na podstawie umowy przedwstępnej może wejść do gry i przedstawić swoją ofertę. A potem, po cenie która została wynegocjowana, kupuje dane udziały.

A jeżeli strony zrobią to potajemnie, to jaki sąd rozstrzyga o ważności umowy.

Właściwy dla danej sprawy, a więc administracyjny. I tutaj jest to oczywiste, bo sąd nie może łamać prawa ustawowego, czyli konkretnych zapisów ustawowych. Więc w związku z tym każda zmiana musi trafić do KRS-u i wtedy, bez spełnienia odpowiednich warunków zawartych w ustawie, sąd nie może zaakceptować, czyli wpisać do KRS-u. Może omyłkowo oczywiście... Ale każdy zdaje sobie sprawę, że to nie gwarantuje przejęcia danych udziałów.

Czy rozwiązania prawne, o których Pan wspomina, są w Polsce prawem już obowiązującym?

Ta ustawa czeka w tym momencie na podpis Prezydenta RP. Została przyjęta na ostatnim posiedzeniu Sejmu. Muszę jednak dodać, że przy furii Platformy Obywatelskiej.

Z jakiego powodu opozycja aż tak się irytowała?

Larum podniesiono niebywale... Posłużono się argumentem o... ingerencji w prywatny biznes. A przecież naszym celem było wyłącznie to, aby strategiczne interesy Polski w bardzo niebezpiecznych czasach były chronione. By taki biznes nazwijmy go „biznesem Łukaszenki” nie miał możliwości działania. Widocznie im zależy, by mógł działać... To niezrozumiałe. A wracając do „Ustawy o bezpieczeństwie morskim”, tam są te poprawki, które zostały zgłoszone do Senatu i Senat przyjął te poprawki, a odnoszą się właśnie do prawa pierwokupu udziałów w spółkach działających na terenach portowych. Teraz czeka tylko na podpis Prezydenta.

Pan może jeszcze o tym nie wie (rozmowa odbyła się w piątek), ale w poniedziałek Platforma Obywatelska z udziałem bardzo prominentnych przedstawicieli w Szczecinie organizuje konferencję i będzie mówiła o ochronie instalacji strategicznych na terenach portowych. Zapewne w kontekście incydentu, do którego doszło w Porcie Gdańskim, czyli „hiszpańskich nurków” którzy czegoś szukali, np. - przepraszam bo pękne ze śmiechu - bursztynu. Komenda Główna Policji jest dosyć wstrzymięliwa, ale przedstawiciele służb specjalnych mówią, że to raczej gangsterzy np. przemytnicy, a nie agenci obcych państw realizujący jakąś operację. Ale czy zagrożenia dla tej infrastruktury rzeczywiście w Polsce istnieją z powodu toczącej się wojny?

Bezwzględnie tak. To, co się stało z Nord Stream wskazuje że żadna Polska instalacja nie jest bezpieczna i musi być szczególnie chroniona. W związku z tym, właśnie ustawa o bezpieczeństwie morskim przyjęła poprawki MSWiA, które mogą wyznaczyć specjalną strefę wokół obiektów o szczególnym znaczeniu. Dotyczy to np. gazoportu. Można będzie zatem wyłączyć całkowicie z możliwości poruszania się w odległości 200 metrów od takiego obiektu na okoliczność zagrożenia. Tę decyzję podejmuje wojewoda. To rozwiązanie również spotkało się z ogromnym ata-

kiem Platformy Obywatelskiej o niekonstytucyjność i tak dalej, i tak dalej...

Wracając do przypadku Baltchemu. Czy po podpisie Prezydenta, transakcje w których nie do końca wiadomo kto jest prawdziwym właścicielem, nie będą możliwe?

Tak. Oczywiście tutaj musi być wola zarządu portu, bo on przystępuje na zasadzie autonomicznej decyzji.

A jak nie skorzysta z możliwości pierwokupu? Przecież polskie porty nie mają walizek z pieniędzmi.

Tutaj zastosowaliśmy rozwiązanie, że jeżeli jest rażąco wysoka cena lub rażąco niska cena, to zarząd portu ma prawo wnieść sprawę do sądu i to sąd ustala cenę.

No tak panie ministrze, ale terminal Baltchemu nie kosztuje tysiąc złotych tylko raczej 200 milionów złotych.

Dlatego mówię, że jak kosztuje 200 milionów, to zarząd portu ma na to wydać 200 milionów.

I będą na to zawsze pieniądze?
Oczywiście że tak. To jest infrastruktura krytyczna, więc takie jest przede wszystkim założenie, a z drugiej strony istnieje bezwzględna ochrona własności prywatnej. Jeszcze raz powtórzę, że mówimy o prywatnej własności, więc nikt tego nie przejmuję, nikt nie chce tego po zaniżonej cenie kupić, wywłaszczyć. Zarząd portu musi mieć na to pieniądze.

GRÓBARCZYK



Celem było wyłącznie to, aby strategiczne interesy były bezpieczne

nasz REGION

Jest druga śmiertelna ofiara
wypadku w Głobinie



Wypadek, w wyniku którego nie żyją dwie osoby,
wydarzył się 7 stycznia w Głobinie

Alek Radomski
Słupsk

Nie udało się uratować 18-letniej Julii, pasażerki peugeota rannej w wypadku, który wydarzył się 7 stycznia w Głobinie. To druga ofiara tej tragedii. Kierowca, który pod wpływem alkoholu uciekał przed policją, pozostaje w areszcie.

Julia w ciężkim stanie została zabrana karetką na Szpitalny Oddział Ratunkowy w Słupsku prosto z wypadku. Stamtąd trafiła na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Słupsku i została wprowadzona śpiączkę farmakologiczną. Jeszcze kilka dni temu jej stan określano jako ciężki, ale stabilny. Szpital o rokowaniach nie informował.

Niestety, 18-letniej pasażerki peugeota nie udało się uratować. W piątek Marcin Prusak, rzecznik Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Słupsku poinformował „Głos” o śmierci dziewczyny. Julia zmarła na skutek ciężkich obrażeń mózgu.

To kolejna ofiara tragedii, do której doszło w sobotę 7 stycznia. Drugą jest Damian, chłopak Julii. Dziewczyną miała wracać do Słupska z Krzywiana autobusem. Damian poszedł ją odprowadzić. Do przystanku na trasie Słupsk-Głobino jest około kilometra.

Jednak para po drodze wsiadała do samochodu, którym kierowali ich znajomy, 24-letni Sebastian K. Miał podrzucić ich tylko do przystanku. Kiedy auto włączało się do ruchu,

peugeota zauważył policyjny patrol z Dębicy Kaszubskiej. Kierowca zaczął uciekać. W Głobinie, czyli po kilku kilometrach Sebastian K. stracił panowanie nad pojazdem i uderzył w drzewo.

Damian zginął na miejscu. Sebastian K. z wypadku wyszedł w zasadzie bez szwanku. Był nietrzeźwy. Badanie przeprowadzone na miejscu zdarzenia wykazało 1,6 promila alkoholu. Okazało się również, że nie ma uprawnień do kierowania samochodem.

Mężczyzna został zatrzymany i przewieziony na komendę. Pobrano od niego też krew do badań, które mają ustalić, czy nie zażywał innych środków. Usłyszał też zarzuty.

Mowa o niezatrzymaniu się do kontroli, kierowaniu autem pod wpływem alkoholu oraz tym najważniejszym, czyli spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym. Podczas przesłuchania w prokuraturze mężczyzna przyznał się do niezatrzymania się do kontroli i kierowania autem pod wpływem alkoholu.

Śmierć Julii oznacza zmianę opisu zarzutu i ewentualnie jego treści.

- Kwalifikacja pozostaje bez zmian - informuje Magdalena Gadoś, Prokurator Rejonowy w Słupsku.

Przypomnijmy, że mężczyźni grozi do 12 lat pozbawienia wolności. Słupski sąd rejonowy zdecydował, że kolejne dwa miesiące Sebastian K. spędzi w areszcie.

Sebastian K. będzie też odpowiedzialny za wykroczenie - kierowanie autem bez uprawnień. ©

SŁUPSK

Na al. 3 Maja, na wysokości skrzyżowania z ul. Zachodnią, jadący w kierunku Bierkowa 65-letni kierowca volkswagena nie zachował bezpiecznej odległości od poprzedzającego go jaguara i uderzył w jego tył. - W wyniku tego zderzenia części, które oderwały się od samochodów, uszkodziły jeszcze jadącego w stronę Słupska kolejnego volkswagena - informuje Jakub Bagiński, oficer prasowy Komendy Miejskiej Policji w Słupsku. **BER**



FOT. ARCHIWUM

DYŻURNY GŁOSU

Magdalena Olechnowicz
tel. 510 026 923

Na Czytelników „Głosu Pomorza” czekamy w redakcji w Słupsku przy ul. H. Pobożnego 19 oraz pod adresem poczty elektronicznej alarm@gp24.pl

Tragedia w Dąbrównie. Matka podejrzana o zabójstwo córki

Bogumiła Rzeczkowska, pap
Region

33-letnia Aleksandra B. z Dąbrówny podejrzana o zabójstwo 5-letniej córki została aresztowana na 3 miesiące. Kobieta przebywać ma w areszcie śledczym z oddziałem psychiatrycznym.

Do tragedii w domu w Dąbrównie doszło we wtorek, 17 stycznia. Z nieoficjalnych doniesień wynika, że służby ratownicze wezwał ojciec, który nie mógł wejść do domu. W tym czasie przebywała w nim matka z pięcioletnią córką.

Niestety, po wejściu do domu ratownicy stwierdzili zgon dziewczynki. Na jej ciele nie znaleziono obrażeń, które mogłyby świadczyć o działaniu osób trzecich. Śledztwo prokuratury zostało więc początkowo wszczęte w sprawie nieumyślnego spowodowania śmierci.

Zarządzono przeprowadzenie sekcji zwłok.

Matka natomiast została przewieziona do szpitala w Słupsku. W środę jednak nie można było jej przesłuchać. Kobieta była pilnowana przez funkcjonariuszy policji.

- Pacjentka trafiła do naszego szpitala z objawami zamroczenia. Została poddana diagnostyce, ale był z nią bardzo utrudniony kontakt. W czwartek została przekazana do dalszej hospitalizacji psychiatrycznej - mówi Marcin Prusak, rzecznik prasowy Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego w Słupsku.

Prokurator Patryk Wegner poinformował „Głos”, że w czwartek rano została przeprowadzona sekcja zwłok dziecka. Zaznaczył, że „z wstępnej opinii wynika, że było to działanie człowieka, nie le-

Kobiecie przedstawiono zarzut zabójstwa dziecka. Sąd Rejonowy w Łęborku zastosował wobec niej trzymiesięczny areszt

ków”. Dodał przy tym, że badania toksykologiczne także zostaną wykonane. Ze względu na dobro pokrzywdzonej, charakter sprawy, okoliczności, które „są drastyczne”, prok. Wegner nie ujawnił przyczyny śmierci dziewczynki.

Skutkiem wstępnej opinii biegłego opinii biegłego było przedstawienie 33-letniej Aleksandrze B. zarzutu zabójstwa. Wniosek o tymczasowe aresztowanie podejrzanej został skierowany do Sądu Rejonowego w Łęborku.

Sąd przychylił się do wniosku prokuratury i zezwolił na trzymiesięczny areszt dla podejrzanej.

- Aleksandra B. odmówiła składania wyjaśnień. Nie udzieliła też odpowiedzi na pytanie, czy przynajmniej z zarzutu. Podejrzana ma obrońcę z urzędu. Trafiła do aresztu śledczego z oddziałem psychiatrycznym - mówi prokurator Patryk Wegner, który ze względu na charakter śledztwa i dobro pokrzywdzonej dziewczynki nie podaje szczegółów sprawy.

- Gromadzimy dokumentację medyczną - odpowiada krótko prokurator.

Prok. Wegner przekazał PAP, że łębska prokuratura najpóźniej w poniedziałek wystąpi do biegłych o opinię psychiatryczną podejrzanej, by ustalić jej poczytalność. Zaznaczył, że jeśli biegli nie będą w stanie jej wydać bez przeprowadzenia kilkutygodniowej obserwacji, to o zgodę na nią z wnioskiem do sądu zwrócą się śledczy.

Prokurator dodaje jeszcze, że w tej sytuacji ojciec nie może występować w sprawie małoletniej pokrzywdzonej i sąd rodzinny wyznaczy kuratora. 33-latką jest matką jeszcze dwojga dzieci. Patryk Wegner nie potwierdza informacji, że w przeszłości kobieta chciała zrobić krzywdę starszemu synowi.

Część świadków została już przesłuchana. Teraz łębska prokuratura czeka na pisemną opinię z sekcji zwłok oraz na dokumentację medyczną, dotyczącą leczenia Aleksandry B. ©

AUTOPROMOCJA

**GŁOS
POMORZA**

Wtorek się liczy

gp24.pl

REKLAMA

0010719806

ZŁOM kupię, potnę, przyjadę i odbiorę, tel. 607 703 135.

USŁUGI HYDRAULICZNE, tel. 607 703 135.

SPRZĄTANIE strychów, garaży, piwnic, wywóz starych mebli oraz gruzu w big bagach, 607 703 135.

REKLAMA

BURMISTRZ MIASTA ŁĘBY
informuje

o wywieszeniu na tablicy ogłoszeń Urzędu Miejskiego w Łębie:

- wykazu numer 5/2023, z dnia 17.01.2023 roku, w sprawie oddania w dzierżawę na okres 9 lat, w drodze bezprzetargowej, 7 pomieszczeń użytkowych, o powierzchni 11,43 m2 każde, zlokalizowanych na fragmencie działki nr 202/4, położonej w Łębie, obręb 1, na zapleczu ul. Kościuszki 67, z przeznaczeniem na pomieszczenia gospodarcze;
- wykazu numer 6/2023, z dnia 17.01.2023 roku, w sprawie oddania w dzierżawę na okres 9 lat, w drodze bezprzetargowej, terenu stanowiącego fragment działki nr 202/4 i fragment działki nr 1453/23, o łącznej powierzchni 454,50 m2, położonej w Łębie, obręb 1, na zapleczu ul. Kościuszki 67, z przeznaczeniem na teren zielony.

REKLAMA

0010723696



PREZYDENT MIASTA SŁUPSKA OBWIESZCZA

Działając na podstawie art. 11d ust. 5 ustawy z dnia 10 kwietnia 2003 r. o szczególnych zasadach przygotowania i realizacji inwestycji w zakresie dróg publicznych (Dz. U. z 2022 poz. 176) oraz art. 10§1, 61§4 i art. 49 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. Kodeks postępowania administracyjnego (Dz. U. z 2021 r. poz. 735)

zawiadamia się

• 137 obr. 8 (137/1, 137/2),
• 138 obr. 8 (138/1, 138/2),
• 141 obr. 8 (141/1, 141/2),
• 166/6 obr. 8 (166/7, 166/8),
• 160/19 obr. 8 (160/22, 160/23)

*) Przed nawiasem podano nr działki ulegającej podziałowi, w nawiasie podano nr działek powstałych po podziale, tustym drukiem zaznaczono działki przeznaczone do włączenia do pasa drogowego

Działki przeznaczone do tymczasowego zajęcia w celu budowy urządzeń infrastruktury technicznej:

- 148, 237 obr. 8.

W związku z powyższym informuję się, że w terminie 7 dni od daty otrzymania niniejszego zawiadomienia, strony mogą zapoznać się ze złożonymi w sprawie dokumentami, uzyskać wyjaśnienia oraz zgłosić ewentualne uwagi i wnioski w przedmiotowej sprawie w Wydziale Budownictwa Urzędu Miejskiego w Słupsku (Plac Zwycięstwa 1, pokój 02, tel. 59 84 88 409), w poniedziałki od 7.30 do 16.30, od wtorku do czwartku w godz. 7.30 - 15.30 i w piątki w godz. 7.30 - 14.30. Termin ewentualnie planowanej wizyty w lutejszym wydziale należy uzgodnić telefonicznie pod ww. numerem.

Po tym terminie sprawa zostanie rozpoznana w oparciu o dowody i materiały pozostające w dyspozycji Urzędu.

Doręczenie niniejszego obwieszczenia uważa się za dokonane po upływie 14 dni od dnia jego ogłoszenia.

Data publikacji obwieszczenia stanowi datę ogłoszenia.

- 124/1 obr. 8.
- Działka niebędąca własnością Miasta Słupska przeznaczona do wywłaszczenia i włączenia do pasa drogowego ulicy Grechuty:
- 133/1 obr. 8.
- Działki przewidziane do podziału zgodnie z projektem podziału nieruchomości:
- 123 obr. 8 (123/1, 123/2),
- 126/3 obr. 8 (126/4, 126/5),
- 131 obr. 8 (131/1, 131/2),
- 134/5 obr. 8 (134/7, 134/8),
- 136 obr. 8 (136/1, 136/2),

Rozebrali nawierzchnię drogi, i teraz lampy oświetlają las

Grzegorz Hilarecki
Region

W tej sprawie absurd goni absurd. Najpierw gmina Słupsk zabrała płyty z drogi łączącej dwie ulice na granicy ze Słupskiem, a teraz płaci za jej oświetlenie. Chociaż łącznik prowadzi przez las, a miasto postawiło słupki, żeby uniemożliwić tam ruch aut.

Chodzi o łącznik między ulicami Gdyńską w Słupsku oraz Inwestycyjną, która była ulicą w gminie Słupsk, a po powiększeniu miasta od 1 stycznia leży w granicach Słupska.

Przypomnijmy, gmina Słupsk zabrała betonowe płyty z kilkuset metrów jezdni w grudniu, bo miasto nie chciało zapłacić za drogę zbudowaną przez gminny samorząd. Z kolei władze Słupska, powołując się na zdanie mieszkańców, nie chciały tam samochodów, a tylko trakt pieszo-rowerowy.

- Płyty były nam potrzebne w innym miejscu. Po zastawieniu przez miasto słupkami wjazdu na naszą drogę, bo na naszej działce, ten łącznik nie miał sensu - tłumaczy Barbara Dykier, wójt Gminy Słupsk.

A lampy? - Pozostały, tak jak i podbudowa drogi. Wiem, że nadal oświetlenie działa, ale mam nadzieję, że miasto podejmie decyzję o jego odłączeniu - dodaje wójt.



Choć droga nie ma już utwardzonej nawierzchni, to nadal jeżdżą po niej samochody. Natomiast sześciu lamp nie da się wyłączyć

W czym problem? Oświetlenie jest tak zrobione, że fizycznie nie da się wyłączyć sześciu lamp, które gmina postawiła na łączniku ulicy Inwestycyjnej z ulicą Gdyńską w Słupsku. Gdy od 1 stycznia 2023 roku ta pierwsza znalazła się w całości w granicach miasta, jest nadal oświetlana.

Z łącznikiem jest ten kłopot, że, będąc w obrębie powiększonego miasta, leży jednak na działce, której właścicielem jest gmina Słupsk. I to ona, jak każdy inny właściciel terenu, musi zapłacić rachunek za prąd zasilający lampy.

Sekretarz Słupska Łukasz Kobus zaznacza, że to właściciel działki musi ponieść wszystkie koszty związane z ewentualnymi zmianami, tak by dało się owe lampy odłączyć od zasilania.

Obecnie więc oświetlają one las. Może to i dobrze? Okazało się bowiem - to już

Oświetlenie jest tak zrobione, że nie da się wyłączyć sześciu lamp, które gmina postawiła na łączniku ul. Inwestycyjnej z ul. Gdyńską

trzeci absurd w tej sprawie - że połączeniem od ulicy Gdyńskiej do ul. Inwestycyjnej nadal jeżdżą samochody. Kierowcy omijają lasem słupki postawione przez miasto. Świadczą o tym ślady opon widoczne po zwinięciu płyt betonowych przez gminę.

Dodajmy, że gminni urzędnicy nie wystąpili o pozwolenie na rozbiórkę płyt. Słupski samorząd zgłosił więc sprawę na policję. Ta prowadzi sprawę pod kątem samowoli budowlanej. Gminie grozi kara finansowa.

©©

Po projekcie podwyżki za wodę, teraz jest projekt podwyżki za odbiór śmieci

Andrzej Gurba
Region

Wszystko wskazuje na to, że w Gminie Miastko wzrośnie miesięczna opłata od osoby za odbiór śmieci. Projekt uchwały przygotowany przez burmistrza wpłynął właśnie do radnych. Nowe stawki mają obowiązywać od marca. Teraz projektem zajmą się komisje rady. Głosowanie na sesji 27 stycznia.

Dotychczasowa śmieciowa opłata obowiązuje w gminie Miastko od stycznia 2021 r. To 28 zł od osoby przy segregacji odpadów. 2 zł można odliczyć, jeśli ktoś sam kompostuje bioodpady. Tak samo jest przy nowej proponowanej stawce - wtedy wyniesie ona 35 zł.

Odbiorem i transportem odpadów zajmuje się gminna spółka Zakład Wodociągów i Kanalizacji w Miastku. Nowe proponowane stawki uwzględniają koszty, jakie wyliczyła spółka na 2023 r. Umowa (gmina płaci ZWiK) była negocjowana z miasteczkim ratuszem.

Jakie jest uzasadnienie dla wzrostu opłat? Zakład Wodociągów i Kanalizacji, a za nim burmistrz Miastka podają m.in. wzrost cen energii, paliw, kosztów pracy (płace), inflację. Nowe stawki mają pokryć rzeczywiste koszty.

Spółka wyliczyła swoje roczne koszty w gospodarce



Maksymalna stawka za wywóz śmieci to 41,24 zł

śmieciowej na 5 mln 650 tys. zł. W gminie Miastko za odpady płaci około 13 800 osób, w systemie nie ma kilku tysięcy osób. Tylko część z nich rzeczywiście nie przebywa czasowo w gminie Miastko. Gminie, mimo wiele prób, nie udało się uszczelnić systemu opłat za śmieci.

Maksymalna dopuszczalna przepisami stawka miesięcznych opłat za osobę wynosi obecnie 41,24 zł.

Jak wyglądają opłaty śmieciowe w pozostałych gminach w powiecie bytowskim? Stawki za osobę są w przedziale od 23 zł (Studzienice) do 38 zł (Borzytuchom). W Bytowie opłaty śmieciowe zależą od zużycia metra sześciennego wody. Stawka wynosi 10,5 zł za metr zużytej wody w gospodarstwie domowym. ©©

Bloki komunalne przy ulicy Płowieckiej. Będą windy i instalacje fotowoltaiczne

Andrzej Gurba
Region

Trwa budowa trzech nowych budynków komunalnych. Przy ul. Długiej i Płowieckiej powstaną w sumie 57 mieszkań. Inwestycja kosztuje blisko 20 mln zł. Pierwsi lokatorzy wprowadzą się za kilka miesięcy.

Nowe mieszkania powstają w ramach programu rewitalizacji tej części Słupska. Dla miasta realizuje ją ATP Budownictwo. Przy ulicy Długiej i Płowieckiej, naprzeciwko bloku STBS, powstaną w sumie 57 mieszkań. Koszt inwestycji to ponad 19,5 miliona złotych, ale tylko część z tej kwoty pokrywa budżet samorządu. Zdecydowana większość to bezzwrotne wsparcie pochodzące z rządowego funduszu dopłat. Budżet



Budowa nowych bloków komunalnych przy ul. Płowieckiej i Długiej ma się zakończyć w tym roku

państwa wsparł tę inwestycję kwotą 15,4 mln zł.

W bloku, na rogu ulic Długiej i Płowieckiej, znajdzie się 14 mieszkań, a w sąsiednim budynku B już 22 lokale komunalne. Z kolei budynek C to 21 mieszkań. W każdym znajdą

się windy. Zgodnie z założeniami wszystkie kondygnacje będą też dostępne dla osób poruszających się na wózkach. Jak zapewnia słupski ratusz, bloki wyposażone zostaną w instalację solarną wspomagającą instalację ciepłej wody z pane-

lami solarnymi zamontowanymi na dachach.

Na wewnętrznym parkingu zaprojektowano miejsca postojowe również dla użytkowników o ograniczonej sprawności ruchowej. Chodniki i jezdnie zostaną oświetlone lampami LED-owymi. Będzie też wiata dla rowerów, plac zabaw i nasadzenia.

Urząd miasta podkreśla, że lokale mieszkalne zostaną w części przeznaczone do realizacji programów w zakresie polityk społecznych i przydzielone m.in. dla takich grup, jak rodziny prowadzące rodzinny dom dziecka, osoby opuszczające pieczę zastępczą, rodziny, w skład których wchodzi osoba ze znacznym stopniem niepełnosprawności, niemożące samodzielnie funkcjonować, seniorzy.

©©

Wyrazy głębokiego współczucia
Pani Roksanie Rzechtalskiej

z powodu śmierci

Mamy

składają

Prezes, Wiceprezes, Dyrektor, Sędziowie i pracownicy
Sądu Okręgowego w Słupsku

„Człowiek odchodzi, pamięć pozostaje...”

Wyrazy głębokiego współczucia

Rodzinie

z powodu śmierci

**Marka
Blumczyńskiego**

składają

Zarząd i Pracownicy
Grupy kapitałowej JANTAR Sp. z o.o. w Słupsku

Dziwna podwodna eskapada

Krzysztof Wójcik/PAP
Gdańsk

Trzej mężczyźni, których ratownicy Służby SAR podjęli w poniedziałek w nocy na Martwej Wiśle, opuścili Polskę. Policja wyklucza motyw szpiegowski i dywersyjny.

Polska policja i odpowiednie służby wykonały wszystkie możliwe czynności, które całkowicie wykluczyły motyw szpiegowski czy dywersyjny - przekazał PAP podkom. Michał Gawęł z policji. Również według byłego pletwonurka Formozy hiszpańskich nurków nie należy wiązać z akcją dywersyjną, a raczej z nieudaną próbą przemytu.

Premier Mateusz Morawiecki zlecił służbom specjalnym sporządzenie gruntownego raportu w sprawie trzech nurków z Hiszpanii, których uratowali gdańscy ratownicy.

- Zleciłem bardzo gruntowny raport tej sprawy - powiedział szef rządu. - Oczywiście może to być tak, że są to osoby niebezpieczne. Może się okazać, że nie są to osoby niebezpieczne, że jest to prawda to, co zadeklarowali. Ale oczywiście taki raport przedstawi wiedzę po stronie naszych służb specjalnych - podkreślił.

Morawiecki zapewnił też, że ochrona infrastruktury strategicznej jest dla rządu bardzo ważna. - Wzmocniliśmy ochronę naszej infrastruktury strategicznej, na przykład gazoportu w Świnoujściu, gazociągu Baltic Pipe - wyjaśnił. - Jest rzeczą oczywistą w dobie wojny na Ukrainie, kiedy ryzyko sabotażu ze strony Rosji wzrosło niepomniem, trzeba było wzmocnić nadzór nad infrastrukturą krytyczną. Dokonujemy też przeglądu tego nadzoru i mam nadzieję, że będzie on skuteczny - dodał premier.

W nocy z soboty na niedzielę (14/15.01) w rejonie Górek Zachodnich ratownicy Morskiej Służby Poszukiwania i Ratownictwa SAR uratowali trzech nurków z Hiszpanii. Ich motorówka miała awarię i nurkowie nie mogli wrócić na brzeg.

Część mediów w tej sprawie informowała, że nurkowie z Hiszpanii byli niedaleko Naftoportu, w którym przeładowuje się m.in. ropę naftową w Porcie Gdańsk. Obcokrajowcy mieli tłumaczyć, że w tym rejonie szukali pod wodą bursztynów. Portal trojmiasto.pl napisał, że Hiszpanie kupili niezarejestrowaną łódkę przez Internet od mężczyzny z Ławy, który od kilku miesięcy próbował ją sprzedać za pośrednictwem różnych portali ogłoszeniowych. Wystawiał ją w różnych



Tak wygląda szybka łódź motorowa, którą poruszali się trzej Hiszpanie



Premier: Zleciłem służbom bardzo gruntowny raport ws. trzech nurków z Hiszpanii

cenach: od 7,5 do 8 tys. złotych.

Kupca znalazł w ubiegłą sobotę. Okazał się nim obywatel Hiszpanii, który przyjechał do Ławy w sobotę ok. godz. 14. Nurkowie korzystali także ze sprzętu do nurkowania, który wypożyczyli z Centrum Tech-

Nie należy wykluczyć, że „cisza” wokół tej sprawy oznaczać może przejęcie tej sprawy przez polskie służby specjalne.

niki Nurkowej w Gdyni. Media podały też, że nurków już nie ma w Polsce.

Komenda Główna Policji przekazała, że „policja i odpowiednie służby wykonały wszystkie możliwe czynności, które całkowicie wykluczyły

motyw szpiegowski czy dywersyjny”. - Motyw ten niesłusznie jest wskazywany przez niektórych ekspertów w mediach, a którzy to eksperci nie mają przecież dostępu do dokumentacji źródłowej, jak i nie posiadają informacji, jakie czynności

były wykonywane - podkreślił podkom. Michał Gawęł z KGP i dodał: - Ze względu na ograniczenia wynikające z ustawy o dostępie do informacji publicznej więcej informacji przekazywać nie możemy.

Byli żołnierz-pletwonurek Formozy również raczej wykluczył akcję ze strony dywersantów w Naftoporcie. - Według mnie za dużo zostawiali za sobą śladów. Strefa Schengen stwarza możliwość przewiezienia profesjonalnego sprzętu przez granicę. Wystarczy zachowywać się zgodnie z przepisami, by nie zostać zatrzymanym do przypadkowej kontroli przez policję. Byliśmy szkoleni do zadań dywersyjnych i wiem, że obecnie profesjonalny sprzęt jest doskonałej jakości i nie zajmuje zbyt wiele miejsca. Przewiezienie tego typu aparatury przez granicę nie powinno stanowić większego problemu. Profesjonaliści nie pozostawiliby po sobie tylu śladów, jak zakup motorówki, czy wypożyczenie sprzętu do nurkowania - opowiada były żołnierz Formozy.

Wykluczaną przez policję dywersję za mało prawdopodobną uznaje również pletwonurek, który współpracuje z Formozą i służbami specjalnymi innych państw NATO.

Wskazuje, że gdyby profesjonalni chcieli nurkować w rejonie portu, na pewno zrobiliby to niepostrzeżenie.

- Ale dziwię się, że służby po uratowaniu tych nurków ich nie zatrzymały, a jedynie skupiły się na wylegitymowaniu. Nurkowie dopiero po jakimś czasie od awarii motorówki próbowali skontaktować się z ratownikami. Nawet nie wiemy, gdzie dokładnie doszło do awarii jednostki, która przez kilka mil była niesiona przez prąd morski. Teoretycznie służby powinny zabezpieczyć akwen na powierzchni kilku mil, bo mogło dojść do wyrzucenia podjętych pakunków np. z narkotykami do morza. Wszystko wskazuje na nieudany przemyt narkotyków - dodał.

Pletwonurek (proszący o zachowanie anonimowości) powiedział też, że kilkakrotnie spotkał się propozycjami odprowadzenia jednostki z narkotykami z portów w Europie Zachodniej do Polski, bądź podjęcia „podejrzanego” ładunku już na morzu.

Rzeczniczka prasowa Prokuratury Okręgowej w Gdańsku Grażyna Wawryniuk powiedziała, że prokuratura nie otrzymała żadnego zawiadomienia w sprawie akcji ratowniczej na morzu w okolicach Górek Zachodnich oraz nie prowadzi w tej sprawie żadnego postępowania.

FOT. SŁUŻBA SAR

FOT. WSTRÓŻYK/EAST NEWS

Rosjanie patrzą na Polskę z góry

Adam Jakuć

- Zawsze ze strony Rosji była tępa, prymitywna chęć dominacji, sprowadzenia nas, Polaków, do roli jakiejś małej grupy etnicznej w ramach wielkiego imperium - mówi dr Tomasz Madras, politolog, wicewojewoda podlaski

Rosja ciągle zarzuca, że jesteśmy niewdzięczni za to, że nas wyzwoliła spod okupacji niemieckiej. Powinniśmy być wdzięczni?

Im dalej od Europy, im dalej od Polski, tym chyba łatwiej znaleźć naiwnych, którzy będą w to wierzyć. Mielśmy przykład niedawnych wypowiedzi byłego wieloletniego premiera Malezji Mahathira Mohamada w tym temacie, który był zdziwiony, że Polacy nie są wdzięczni Rosji za niepodległość... Tymczasem przecież prawda o II wojnie światowej jest zupełnie inna. Stalin z Hitlerem wspólnie rozpętali II wojnę światową. Stalin był najwierniejszym sojusznikiem Hitlera, wszyscy sojusznicy III Rzeszy w końcu zdradzali. Stalin nigdy nie zdradził Hitlera, nawet gdy już ostrzegano go przed nadchodzącą agresją niemiecką w 1941 roku. Potem Związek Sowiecki realizował tylko swoje wcześniej założone cele terytorialne i polityczne. Tymczasem to Rosjanie powinni być wdzięczni Polsce.

Za co?

Przecież Hitler w 1939 roku i wcześniej liczył na to, że Polska przyłączy się do niego w jego planie podboju co najmniej Europy. Gdyby Polska uległa, tak jak kilka innych krajów z Europy Środkowej, to Hitler atakowałby Rosję wcześniej, silniejszy i z pozycji o kilkaset kilometrów dalej na wschód. Doszedłby pewnie nie pod Moskwę, ale do Uralu i z Rosji nie byłoby co zbierać. Oczywiście, nie wiemy dokładnie, jak by to wyglądało, ale bardzo możliwe, że gdyby nie twarda antyhitlerowska i honorowa postawa Polski, to pan Miedwiediew, były prezydent Rosji, który zarzuca Polsce różne rzeczy, dziś mógłby najwyżej paść krowy u niemieckiego bauera, a nie być bardzo bogatym człowiekiem i byłym prezydentem dużego kraju. Wypadałoby, żeby Rosjanie potrafili wyrazić wdzięczność Polsce za naszą postawę u progu II wojny światowej, ale, jak wiadać, jeszcze do tego daleko.

Czy my, Polacy, jesteśmy rusefobami, jak twierdzą rosyjscy politycy?



Dr Madras: Gdyby nie twarda antyhitlerowska i honorowa postawa Polski w 1939 r., to pan Miedwiediew dziś mógłby najwyżej paść krowy u niemieckiego bauera

Rosjanie przyzwyczaili się patrzeć na Polskę z góry, jako na kraj, który często jest uzależniony od sąsiadów i ulega im. Dlatego sami sobie wmawiają, że polscy politycy są nie-dojrzały i zarzucają nam nawet nie tyle, jak na przykład Amerykanom czy Brytyjczykom, jakieś diaboliczne, złe intencje, tylko właśnie rusefobię, jakąś manię prześladowczą, jakieś instynkty antyrosyjskie. To jest taka próba wytłumaczenia czegoś samemu sobie, czy okłamywania samego siebie. Swoją drogą, historia XIX wieku pokazuje, że nawet w czasach najtrudniejszych do dobrych relacji, w czasie zaborów, Rosjanie zawsze mogliby znaleźć ugodowców, chcących podjąć współpracę z Moskwą. Dzisiaj na taką postawę ugodową patrzymy bardzo krytycznie. Ale jak wspomniemy takie postaci, jak Czartoryski czy Wielopolski, to przecież nawet oni też ostatecznie nie zobaczyli wyciągniętej ręki ze strony Rosji. Zawsze ze strony Rosji była tępa, prymitywna chęć dominacji, sprowadzenia nas, Polaków, do roli jakiejś małej grupy etnicznej w ramach wielkiego imperium.

Król Staś naiwnie wierzył, że uchroni Polskę dzięki mecenasowi carycy Katarzyny...

Od końca wojny północnej w XVIII wieku Polska była od Rosji uzależniona. Patrząc z perspektywy XXI wieku dobrze by było, żeby rosyjska klasa polityczna wyrosła już z tego spojrzenia na Polskę jako

kraj, który może być w jakimkolwiek sensie częścią ich imperium. To nie tylko niemożliwe - co dla nich akurat nie jest argumentem - ale, przede wszystkim, anachroniczne.

Skąd się bierze to, że Rosja nie chce nas traktować po partnersku?

Po części wynika to być może z tego, że Rosja kiedyś wykorzystwała osłabienie Rzeczypospolitej polsko-litewskiej. Właśnie cały czas gdzieś tam u rosyjskich polityków pojawia się takie anachroniczne myślenie. Natomiast, z drugiej strony, wynika to z ich wyobrażenia, czym jest ich własny kraj - przyzwyczajenie do tego, że Rosja nie jest normalnym krajem, tylko imperium, państwem, któremu wolno więcej, które ma prawo narzucać swoją wolę wszystkim swoim sąsiadom dookoła.

Czy to jest jakiś objaw genu mongolskiego czy jakaś obawa przed demokracją?

Księstwo moskiewskie, potem Rosja, to faktycznie kontynuacja pewnej części imperium mongolskiego. Jeżeli sięgniemy do odległej średnio-wiecznej historii, to władza Moskwy nad większością daw-

Wypadałoby, żeby Rosjanie potrafili wyrazić wdzięczność Polsce za naszą postawę u progu II Wojny Światowej

nych ziem ruskich wzięła się po prostu stąd, że książęta włodzimierscy, potem moskiewscy, uzyskali od chanów mongolskich prawo do zwierzchnictwa nad ziemiami ruskimi w ich imieniu. Styl rządów zaczerpnięty od następców Czyngis-Chana, polegający na brutalnej sile, poniżeniu pokonanych i eksploatacji podbitej ludności, pozostał na Rusi na długo, pomimo zrzucenia jarzma tatarskiego w XV wieku. Kolejne etapy rozwoju państwa ze stolicą w Moskwie zawsze wiązały się z jakąś formą despoticznej władzy ukierunkowanej na eksploatację posiadanej ludności, a nie na służeniu dobru wspólnemu. Motyw mongolskości lub azjatyckości Rosji powraca zresztą w literaturze rosyjskiej. Np. z fascynacją o „panmongolizmie” pisał w XIX wieku Władimir Sołowiow, a już w XX wieku Sergiusz Jesienin nazywał Rosję „azjatycką moją ojczyzną”.

Za każdym razem zaborcy, w tym Rosja gwarantowała nam, że po każdym zaborze granice są ustalone i za każdym razem te ustalenia były przez Rosję gwałcone. Podobnie dziś Putin postępuje z Ukrainą. Czy Rosja jest zdolna do poszanowania granic państwowych?

Władimir Putin zażartował kiedyś, że granice Rosji nigdzie się nie kończą. W praktyce Rosja nie uznaje ani granic geograficznych, ani granic historycznych, ani granic etnicznych.

Jakbyśmy spojrzeli na to, jakie granice miał Związek Sowiecki, a wcześniej carskie imperium, to przecież ono nie miało żadnych problemów z sięganiem po ziemię całkowicie obce etnicznie, od Kaukazu czy Syberii po państwa bałtyckie. Słynny rosyjski poeta-romantyk z XIX wieku, Fiodor Tiutczew, marzył o carstwie „od Wołgi po Eufratę brzeg, Gangesu i Dunaju”. Ten sam Tiutczew pisał w innym utworze z zachwytem, że „umysłem Rosji nie zrozumiesz, i zwykłą miarą jej nie zmierzysz”. Zupełnie, jakby przejściowa epoka militarnych sukcesów odjęła rozum całemu narodowi, albo przynajmniej jego elitom. W takiej prostej politycznej praktyce przekładało się to na dążenie do dominacji nie na konkretnym obszarze, ale wszędzie tam, gdzie noga rosyjskiego czy sowieckiego żołnierza jest w stanie stanąć. To jest jedyne ograniczenie rosyjskich apetytów. Nie geografia, nie zasięg występowania kultury, języka, narodowości rosyjskiej, tylko zasięg możliwości militarnych jest jedynym ograniczeniem rosyjskich apetytów. Wszędzie tam, gdzie Rosja będzie mogła być obecna militarnie, tam będzie dawała, że ma prawo wprowadzać swoją dominację.

Władze Moskwy cały czas podkreślają, że Ukraińcy są jednym narodem z Rosjanami, a Ukraina to część Rosji...

To jest największe kłamstwo tej wojny. Zresztą jej przebieg pokazuje, że już nigdy Ukrainiec nie będzie Rosjaninem. Rosyjska klasa polityczna stosuje podwójne standardy, ponieważ chętnie narzuca innym państwom często zmyślane granice etniczne, zmusza je do rezygnacji ze swoich praw, albo swoich terytoriów, pod różnymi pretekstami. Na przykład używanie języka rosyjskiego przez część mieszkańców Ukrainy miało być argumentem za tym, że Ukraina powinna być podporządkowana Rosji lub przynajmniej oddać znaczną część swojego terytorium. Tymczasem bardzo liczne narody, niesłowiańskie czy nierosyjskie, żyjące w Federacji Rosyjskiej, według tej logiki powinny podporządkować się Moskwie, podporządkować się Rosjanom i być częścią państwa rosyjskiego. To są podwójne standardy, właśnie wynikające z imperialnego stosunku do reszty świata i założenia, że Rosja ma szczególne prawo do narzucania swojej woli wszystkim sąsiadom. Ukraina przecież historycznie, podobnie zresztą jak

inne państwa w Europie Środkowej, wywodzi się z tej wielkiej strefy, którą stworzyła Rzeczpospolita polsko-litewska, gdzie mamy narody Polaków, Ukraińców, Białorusinów, także Litwinów i Łotyszów, którzy nigdy nie będą rosyjskie. Zawsze pozostaje w naszych narodach taki gen szacunku dla ludzkiej godności oraz wolności. Jest to, jak do tej pory, obce temu myśleniu rosyjskiemu.

Rosjanie odebrali Ukrainie Krym jak swoją własność. Jak to jest z tym Krymem?

Rosjanie rzeczywiście podnoszą, że Krym w czasach Związku Sowieckiego został подарowany Ukrainie przez Rosję. Tymczasem Krym jest tylko przykładem terytorium historycznie absolutnie nierosyjskiego, zwyczajnie podbitego w wyniku presji militarnej, ponieważ wcześniej tam było państwo tatarskie, będące częścią imperium osmańskiego. To była przestrzeń całkowicie nierosyjska, nawet niesłowiańska, zajęta w czasach Katarzyny II, czyli dokładnie w tym samym czasie, kiedy Rosjanie podbijali znaczną część Rzeczypospolitej. Do czego by to doprowadziło, gdybyśmy mieli uznawać podboje z XVIII w. za podstawę współczesnych granic? To oczywiście absurd.

Czy jest szansa, żeby Rosja została normalnym państwem, które szanuje prawo innych narodów do samostanowienia?

Dla samej Rosji pewnie dobrze by było, a tym bardziej dla pokoju w Europie i na świecie, żeby kiedyś w przyszłości stała się takim krajem, który szanuje granice swoich sąsiadów, szanuje prawo sąsiednich państw do prowadzenia własnej polityki rozwoju i chciała - jak najbardziej - handlować, ale na uczciwych warunkach. Żeby to osiągnąć, potrzebna jest w Rosji klasa polityczna, która chciałaby zobaczyć w Rosji normalny kraj, a nie imperium, które narzuca swoją wolę wszystkim dookoła. Jak na razie do tego niestety bardzo daleko. Z punktu widzenia Polski, chcemy żyć w zgodzie i współpracy ze wszystkimi sąsiadami. Niestety, na razie ze strony Rosji mamy agresję i próbę militarnego podboju, a wcześniej gospodarczego uzależnienia swoich sąsiadów. Żeby móc nazwać Rosję normalnym krajem, trzeba, żeby dojrzała ona do traktowania Polski, Ukrainy czy Białorusi jako suwerennych krajów, które nie są częścią jej strefy wpływów.

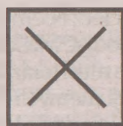
TARCZA PROZDROWOTNA

1000+

URUCHOMIONO AKCJĘ, WSPIERAJĄCĄ OSOBY POWYŻEJ 35 R.Ż.

Regulamin - rglnprncjpk.com

ZGŁOŚ SIĘ, ZANIM UBIEGNĄ CIĘ INNI.



**SKORZYSTASZ
Z JEDNORAZOWEJ
OFERTY, JEŚLI:**

- ☐ Urodziłeś/aś się przed rokiem 1987
- ☐ Mieszkasz na terenie Polski
co najmniej od 3 miesięcy
- ☐ Cierpisz z powodu reumatyzmu,
artretyzmu, bólu stawów lub mięśni -
dolegliwości ostre lub przewlekłe
minimum od 6 tygodni
- ☐ Zauważasz u siebie pogorszenie
sprawności ruchowej
- ☐ Częściej niż raz w miesiącu skarżysz się
na ból i sztywność pleców / karku / kończyn

WSZYSTKIE SZCZEGÓŁY PONIŻEJ ↓

Inflacja nieustannie drenuje portfele Polaków i choć wiele osób zmuszonych jest zmniejszać codzienne wydatki to jest coś, na czym oszczędzać nie można. To zdrowie. Nie ma nic cenniejszego, niż zdrowie Twoje i Twoich bliskich, a przecież koszty lekarstw, zabiegów i całej opieki medycznej również wzrosły. Właśnie dlatego producent preparatu uruchomił „Tarczę Prozdrowotną 1000+”, w której rozdanych zostanie – całkowicie za darmo – 1000 opakowań formuły anty-zwyrodnieniowej wzmacniającej stawy, kości i mięśnie, łagodzącej zwyrodnienia, artrozę i reumatyzm

**By odebrać innowacyjny preparat
przeciw zwyrodnieniom stawów za 0 zł,
zadzwoń pod numer 12 345 15 73
i powołaj się na ten komunikat.**

oraz zwiększającej produkcję naturalnej mazi stawowej. To preparat, który pomaga stanąć na nogi osobom cierpiącym z powodu zwyrodnień stawów, hamować degradację chrząstki stawowej, usunąć nieprzyjemną sztywność i trzeszczenie kolan oraz zmniejszyć ból pleców i karku już od 1. dnia. Innowacyjny środek od dziś jest dostępny do użytku prywatnego. Co oznacza, że Ty również możesz zdobyć go bez żadnych problemów. Nie zwlekaj! Taka szansa może się nie powtórzyć.

Zgłoś się po swój bezpłatny preparat niezwłocznie, jeśli chcesz zyskać szansę na zmniejszenie: rwania w korzonkach, nawracającego bólu kręgosłupa, bioder, barków, kolan, ataków rwy kulszowej, sztywności i przykurczów mięśni, obrzęków kończyn, strzykania w kolanach czy nadgarstkach oraz wszystkich dolegliwości na tle reumatycznym. Stosując pionierską formułę anty-zwyrodnieniową zwiększysz ruchomość w stawach, odzyskasz możliwość płynnego zginania kolan, zmniejszysz procesy zwyrodnieniowe, a także przyspieszysz regenerację po urazach, kontuzjach, zwichnięciach, czy złamaniach.

STOP zwyrodnieniom stawów i ograniczeniom ruchowym

**MOŻESZ POPRAWIĆ PRACĘ
KOLAN I KRĘGOSŁUPA
i wrócić do aktywnego życia – dzięki tarczy
prozdrowotnej 1000+ nie wydasz ani złotówki**

Warto mieć świadomość, że do chrząstek stawowych budujących cały Twój szkielet nie docierają ani naczynia krwionośne, ani limfatyczne. Substancje odżywcze są do niej transportowane wyłącznie z mazią stawową, a jej produkcja już po 34. roku życia zmniejsza się o ponad 30%. Właśnie dlatego z wiekiem kolana zaczynają trzeszczeć i „przeskakiwać”, w kręgosłupie pojawia się nieprzyjemne strzykanie, nadgarstki i palce częściej puchną i ulegają deformacjom, pojawia się poranny

ból startowy, czy sztywność stawów. Nie lekceważ więc żadnych, nawet wczesnych objawów zwyrodnień, ani pozornie niegroźnego bólu korzonków na „zmianę pogody”. To wszystko świadczy o coraz mocniejszym ścieraniu się chrząstek stawowych, które bez odpowiedniej ilości płynu stawowego zaczynają dosłownie o siebie trzeć. Regularnie stosując nowatorską formułę anty-zwyrodnieniową, którą masz teraz szansę odebrać całkowicie za darmo, zwiększysz produkcję naturalnej mazi stawowej, co przełoży się na większy poślizg pomiędzy stawami, płynne i bezbolesne ruchy, bezproblemowe zginanie kolan i łokci oraz regenerację uszkodzonych stawów, chrząstek i więzadeł.

**Zacznij już dziś, bo zwyrodnienia
stawów nigdy nie cofną się samoistnie.
A ich skutkiem może być nawet
całkowite unieruchomienie!
Dzwoń po bezpłatny preparat: 12 345 15 73**

O zakwalifikowaniu się decyduje kolejność zgłoszeń, dlatego nie warto zwlekać. Potwierdzenie udziału odbywa się w trakcie jednej rozmowy telefonicznej, która nie potrwa dłużej niż 6 minut. Swoją datę urodzenia i miejsce zamieszkania potwierdzisz ustnie, a darmowy preparat zostanie wysłany na Twój adres bez żadnych dodatkowych opłat.

Zadbaj o doskonałą sprawność fizyczną w każdym wieku – wesprzyj swoje stawy bezpłatnie dzięki niepowtarzalnej akcji refundacyjnej producenta.

Tarcza prozdrowotna 1000+ jest jednorazowa.
Z oferty można skorzystać do 03.02.2023 r.

Dzwoń już teraz pod numer: 12 345 15 73

UWAGA! Obowiązuje limit: 1 opakowanie produktu na jedno gospodarstwo domowe.

POLSKA i ŚWIAT

KRÓTKO

WARSZAWA

Nie wypychać seniorów na margines

PiS, idąc do wyborów w 2015 r., podjęło zobowiązanie budowy Polski solidarnej i konsekwentnie realizujemy politykę solidarności społecznej - podkreślił premier Mateusz Morawiecki. 1/5 z nas ma 65 lat lub więcej. Czy można ignorować interesy 7,5 mln Polaków? Państwo nie jest własnością jednego pokolenia - dodał.

- Mój dziadek zwykł mawiać, że aby się dobrze działo, potrzebne są młode ręce i starsze głowy. Dlatego nie wolno

nam dopuszczać do wykluczenia i wypychania starszych ludzi na margines. Polityka senioralna to nie kwestia populizmu, co sugeruje wielu tzw. postępówców. Nie ma też nic wspólnego z kultem siwej głowy. Chodzi o to, że państwo nie jest własnością jednego pokolenia. Polska jest dobrem wspólnym wszystkich obywateli - tych, którzy nam ją podarowali, oraz tych, którym przekażemy ją dalej - podsumował szef rządu. Opr. Mateusz Zbroja

WARSZAWA

Hołownia o listach wyborczych



Szymon Hołownia został w sobotę wybrany przewodniczącym partii Polska 2050 podczas pierwszego zjazdu tego ugrupowania. Powiedział, że opozycja winna rozważać wszystkie opcje - od jednej listy do samodzielnych startów - a decyzja powinna zapaść po dokładnym policzeniu wszystkich wariantów. PAP

NAUKA

Będą leczyć obniżoną odporność

Defekt genetyczny powodujący zwiększoną podatność na choroby zakaźne, w tym śmiertelne grzybicze zapalenie płuc, odkryli naukowcy z Centrum Medycznego Uniwersytetu Vanderbilta w Nashville w stanie Tennessee (USA). Odkrycie to pomoże w identyfikacji osób

o genetycznie obniżonej odporności. Do tej pory pojawiały się problemy z diagnozowaniem osób z tym schorzeniem. Jak podkreślają naukowcy, odkrycie mechanizmu, który odpowiada za obniżenie odporności, pomoże w przeciwdziałaniu jego skutkom. Andrzej Grochal

LOS ANGELES

Dziewięć osób zostało zabitych w strzelaninie w mieście Monterey Park na wschód od Los Angeles w USA - podały w niedzielę lokalne władze. Miejscowe media informują, że do strzelaniny doszło po godzinie 22 czasu lokalnego w sobotę (7.00 czasu polskiego w niedzielę) w pobliżu miejsca obchodów chińskiego Nowego Roku, które odbyły się w Monterey Park.

Polska liderem koalicji na rzecz czołgów dla Ukrainy

Oprac. Anna Piotrowska
Warszawa/Ramstein

Po faski spotkania w Ramstein w sprawie przekazania czołgów Ukrainie premier Mateusz Morawiecki zapowiada budowę mniejszej koalicji państw na rzecz tych dostaw.

Piątkowe spotkanie w Ramstein w sprawie wsparcia dla Ukrainy nie przyniosło przełamania impasu w sprawie dostaw czołgów dla broniącego się kraju. Władze Niemiec nie zgodziły się na przekazanie czołgów Leopard, o co od tygodni zabiega Polska i wiele innych krajów europejskich.

Polska liderem koalicji państw

Wobec tego Polska zyskuje w oczach wielu obserwatorów status lidera koalicji na rzecz dostaw zachodnich czołgów Ukrainie.

Taką rolę zresztą potwierdził szef polskiego rządu w rozmowie z Polską Agencją Prasową. - Staram się ważyć słowa, ale powiem to dosadnie. Ukraina i Europa wygra tę wojnę - z Niemcami czy bez Niemiec. Jednak to od Niemiec zależy, czy chcą dołączyć do misji zatrzymania barbarzyństwa Rosji, czy będą patrzeć na nie biernie, skazując się na zapisanie po niewłaściwej stronie historii - oświadczył premier Mateusz Morawiecki.



FOT. PIOTR KRZYZANOWSKI

Cały czas trwają próby przekonania kanclerza Niemiec, by wydał zgodę na przekazanie czołgów Leopard

W wywiadzie padło również pytanie o plan Polski na wypadek odmowy Berlina ws. czołgów Leopard. Wcześniej polskie władze zadeklarowały przekazanie 14 czołgów Leopard, które znajdują się w posiadaniu polskich sił zbrojnych. W przyszłości czołgi te miałyby zostać zastąpione przez amerykańskie maszyny Abrams.

Będziemy budować „mniejszą koalicję” państw gotowych przekazać część swojego nowoczesnego sprzętu, nowoczesnych czołgów dla walczącej Ukrainy - poinformował Morawiecki. Jak podkreślił, Polska nie

”

Wybór nie był łatwy, ale wierzę, że z nowym trenerem przeżyjemy wiele pięknych chwil

Cezary Kulesza, prezes PZPN, o wyborze nowego selekcjonera reprezentacji Polski

wszystkim przyjaciołom w Europie za wsparcie Ukrainie, razem jesteśmy silniejsi! - podsumował.

Jak wynika z doniesień z konferencji w Ramstein, tylko Niemcy sprzeciwiły się dostawie Leopardów na Ukrainę. Wywołało to falę krytyki europejskich komentatorów. Nawet Guy Verhofstadt, znany z krytyki polskich władz, napisał na Twitterze, że teraz Polska musi przejąć rolę lidera.

- Jeśli kanclerz Niemiec nie jest w stanie podjąć właściwych decyzji, Polska musi teraz stanąć na czele koalicji chętnych do wysłania czołgów ciężkich, których potrzebuje Ukraina! - napisał Verhofstadt.

Szkolenia ukraińskich żołnierzy

Nowo mianowany szef biura polityki międzynarodowej prezydenta RP Marcin Przydacz przypomniał, że wkrótce w Polsce mają się rozpocząć szkolenia ukraińskich wojskowych w obsłudze czołgów Leopard. Zapowiedź takich szkoleń ogłosił kilka dni temu minister obrony narodowej Mariusz Błaszczak.

Szef MON zapowiedział również przeszkolenie ukraińskich wojskowych w sile jednej brygady i wyposażenie ich w czołgi T72.

Prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełenski powiedział, że nie ma alternatywy dla dostawy nowoczesnych czołgów dla jego kraju.

Bosacki dla PAP: nie chcemy odrzucenia ustawy o Sądzie Najwyższym. Poprawimy ją, by uzyskać pieniądze z KPO

Oprac. Wojciech Rogacin
Warszawa

- W Senacie poprawimy nowelizację ustawy o SN tak, by była zgodna z konstytucją i dawała realną szansę na odblokowanie pieniędzy z KPO - mówi szef senackiego klubu KO Marcin Bosacki.

Senator w wypowiedzi dla PAP dodał, że jeśli PiS i SP odrzucą te poprawki w Sejmie, wezmą na siebie ryzyko, że Polska nie

otrzyma szybko 160 mld zł z KPO.

Bosacki zaznaczył, że senackie komisje - praw człowieka, praworządności i petycji oraz ustawodawcza - zajmą się nowelizacją pod koniec przyszłego tygodnia albo w poniedziałek, 30 stycznia: dzień przed posiedzeniem Senatu.

- Wiem, że zamówili oni liczne opinie i ekspertyzy, między innymi Komisji Weneckiej, więc z całą pewnością i te komisje, i cały Senat będą miały

nad czym pracować - stwierdził Bosacki.

Szef klubu KO odniósł się też do wypowiedzi senatora Jacka Burego (Polska 2050), który oświadczył w piątek, że jest zwolennikiem tego, by Senat odrzucił nowelizację ustawy o SN, bo - jak ocenił - ta ustawa nie da nam pieniędzy z KPO.

- Po naszej stronie, czyli KO, z całą pewnością nie ma chęci odrzucenia całości tej ustawy. Uznajemy, że trzeba ją gruntownie, znacząco poprawić, tak by

była ona zgodna z polską konstytucją, co będzie w mojej opinii wymagało przede wszystkim przywrócenia uprawnień do oceniania dyscyplinarnego sędziów Izbie Karnej Sądu Najwyższego. My w KO uważamy, że ten manewr w Sądzie Administracyjnym jest niezgodny z prawem i trzeba to zmienić, ale przygotowaniem szczegółowych zapisów zajmą się dwie komisje: ustawodawcza i praworządności i praw człowieka - powiedział Bosacki. PAP

Brytyjskie MON uważa, że Rosja planuje wiele lat wojny w Ukrainie

Oprac. Wojciech Rogacin
Londyn

Zdaniem brytyjskiego resortu obrony zmiany na szczycie rosyjskiej armii to zapowiedź długotrwałej wojny.

Ogłoszone przez Rosję plany poważnych zmian w strukturze sił zbrojnych sygnalizują, że jej przywódcy oceniają, iż zwiększone zagrożenie konwencjonalne potrwa jeszcze wiele lat – przekazało w niedzielę brytyjskie ministerstwo obrony.

W codziennej aktualizacji wywiadowczej wskazano, że 17 stycznia minister obrony Rosji Siergiej Szojgu ogłosił plany poważnych zmian w strukturze sił zbrojnych, które mają być wprowadzone w życie w latach 2023-2026, a obejmować mają zwiększenie liczebności wojska do 1,5 mln, co stanowiłoby wzrost o 11 proc. w stosunku do zapowiadanego wcześniej zwiększenia do 1,35 mln.

Szojgu zapowiedział również przywrócenie okręgów



Ukraińskie wojska przygotowują się na odparcie kolejnej ofensywy rosyjskiej, której wszyscy spodziewają się w najbliższych tygodniach

wojskowych moskiewskiego i leningradzkiego, co stanowi częściowy powrót do organizacji sił w zachodniej Rosji z czasów sowieckich, a nowy korpus wojskowy ma powstać w Karelii, w pobliżu granicy z Finlandią.

„Plany Szojgu sygnalizują, że rosyjskie kierownictwo z dużym prawdopodobieństwem ocenia, iż zwiększone konwencjonalne zagrożenie militarne będzie trwało jeszcze przez wiele lat poza obecną wojną na Ukrainie. Rosja będzie miała

jednak najprawdopodobniej problemy z obsadzeniem i wyposażeniem planowanej rozbudowy” – napisano.

Wstrzymują ofensywę

Z doniesień medialnych wynika natomiast, że władze

w Waszyngtonie doradziły przywódcą Ukrainy, by Kijów wstrzymał plany szerokiej ofensywy przeciwko rosyjskim wojskom do czasu przekazania najnowszych dostaw amerykańskiej broni i przeprowadzenia niezbędnego szkolenia żołnierzy. Powiadomiła o tym w piątek agencja Reutera za anonimowym źródłem w administracji prezydenta USA.

Celem ostatnich rozmów USA z Ukrainą było uzyskanie gwarancji, że strona ukraińska poświęci wystarczająco dużo czasu na przeszkolenie swoich wojskowych z obsługi najnowszej broni dostarczonej przez Stany Zjednoczone – oznajmiło źródło agencji.

USA nie zamierzają na razie wspierać Kijowa dostawami czołgów Abrams – dodał Reuters. Identyczne informacje przekazywali w ostatnich dniach wysocy rangą przedstawiciele Pentagonu, w tym sekretarz obrony Lloyd Austin, podczas piątkowego spotkania grupy kontaktowej ds. wspar-

cia obronnego Ukrainy w bazie w Ramstein w Niemczech.

Nowy pakiet pomocy

W czwartek Pentagon ogłosił nowy pakiet pomocy wojskowej dla Ukrainy. Znalazło się w nim uzbrojenie o wartości 2,5 mld dolarów, w tym 90 transporterów kołowych Stryker, 59 bojowych pojazdów piechoty Bradley oraz systemy obrony powietrznej Avenger.

Według opublikowanej przez resort obrony listy USA zamierzają przekazać Ukrainie ponad 550 pojazdów, w tym 90 Strykerów, 59 Bradleyów, 53 MRAP i 350 Humveeów. Dodatkowo w pakiecie znalazły się m.in. amunicja do systemów obrony powietrznej NASAMS, ponad 100 tys. amunicji artyleryjskiej różnego kalibru, a także rakiety przeciwradarowe HARM.

Był to już 30. pakiet pomocy wojskowej dla Kijowa ogłoszony przez USA podczas wojny Ukrainy z Rosją. Łączna wartość obiecanego dotychczas sprzętu to 26,7 mld dolarów.

AKCJA SPECJALNA ŚWIĘTA Z DOBRĄ ENERGIA

Samorządowe pomysły na czas kryzysu

Pomagać seniorom chcą fundacje, stowarzyszenia i kluby, pomysły mają uczniowie. Dziś ostatni dzień, by przedstawić swój projekt i w ramach naszej akcji zyskać szansę na dofinansowanie. Czekając na zgłoszenia, chcemy pokazać, jak w ideę promowania zwiększania efektywności energetycznej włączają się samorządy.



W wielu bibliotekach już wymieniono oświetlenie

- Zawsze możemy zrobić coś dla potrzebujących - podkreśla Justyna Kruszewska, dyrektor marketingu z Energi z Grupy ORLEN, będącą patronem akcji „Święta z dobrą energią”. - Wystartowaliśmy ze wspólnym projektem na początku grudnia, zapraszając do udziału w dobroczynnej akcji i zgłaszania pomysłów, dzięki którym w trudnym czasie seniorzy mogą lepiej funkcjonować, poczuć się bezpieczniej, są otoczeni opieką. Niezwykle aktywne na tym polu okazały się także samorządy - mają swoim mieszkańcom, w tym seniorom, wiele do zaoferowania. Plany są rozpisane w szczegółach, wiele rozwiązań już udało się wprowadzić.

Miasto Opole, chcąc dać przykład, jak oszczędzać energię, w pierwszej kolejności przepro-

wadziło wśród pracowników Urzędu Miejskiego szkolenia w zakresie racjonalnego korzystania z urządzeń elektrycznych. Ponadto w budynkach publicznych zmniejszono natężenie światła, wyłączono klimatyzację. Miejskie oświetlenie zostało wymienione na energooszczędne.

Na ulicach Kędzierzyna-Koźla można wypatrywać nowiutkich elektrycznych autobusów. Dwa MAN-y Lion's City 12 to pierwsze termoemisyjne pojazdy w miejskiej flocie i - co ciekawe - pierwsze egzemplarze tego nowoczesnego modelu w Polsce.

Budowę instalacji oczyszczania spalin przez spółkę OPEC Grudziądz zaproponował tamtejszy Urząd Miejski. Wydano także „Poradnik oszczędzania”, z któ-

rego mogą korzystać mieszkańcy.

Jedną z inicjatyw podjętych przez Urząd Miasta i Gminy Goleniów jest ogłoszenie przetargu na budowę 27 instalacji fotowoltaicznych, które zostaną zamontowane na budynkach użyteczności publicznej.

Mieszkańcy Zakopanego, którzy wyrażą chęć wymiany pieca starego typu, mogą liczyć na dofinansowanie. Ponadto miasto kupiło nowe ekologiczne autobusy Solaris Urbino 12.

Serię spotkań z mieszkańcami poświęconych tematyce oszczędzania energii zorganizował Urząd Miasta Legionowo na Mazowszu. Do harmonogramu wywozu odpadów dołączono ulotki z informacjami dotyczącymi oszczędzania prądu i ogrzewa-

nia. Po wykonaniu audytów wymienione zostanie oświetlenie w szkolnych salach gimnastycznych.

Oświetlenie uliczne, a także wewnętrzne w dwóch szkołach i bibliotece modernizuje Pelplin. Zaproponuje też stację ładowania pojazdów elektrycznych.

Jednym ze sposobów na zwiększenie bezpieczeństwa mieszkańców, którzy korzystają z miejskiej infrastruktury jest także poprawa widoczności pieszych na przejściach. Takie rozwiązanie proponuje w wielu miastach Energa Oświetlenie, doświetlając przejścia za pomocą specjalnych opraw LED, które emitują światło, jednocześnie nie oślepiając kierowców.

To przykładowe propozycje - chcemy pokazać różnorodność działań na rzecz lokalnych społeczności. W ramach akcji „Święta z dobrą energią” kapituła wyróżni samorządy, które zaproponowały najciekawsze rozwiązania wpływające na oszczędzanie energii, 16 wybranym przekaże symboliczne wyróżnienia. Jeden projekt Energa Oświetlenie obejmie audytem oświetleniowym, zapewniając modernizację systemu na bardziej energooszczędny.

©P

OSTATNIE GODZINY NA ZGŁASZANIE PROJEKTÓW!

Instytucje, fundacje, szkoły, przedszkola i wszelkie organizacje, które działają na rzecz seniorów, chroniąc przed wysokimi kosztami życia, mogą pokazać swoje zaangażowanie.

Wystarczy wejść na główną stronę serwisu lokalnego, znajdziecie tam specjalny baner „Święta z dobrą energią”. Ten przekieruje do artykułu, w którym znajdziecie formularz zgłoszeniowy. W kilku zdaniach opiszcie swój pomysł, podając nazwę projektu i dane osoby do kontaktu. Nie wymagamy kosztorysów i uzasadnień - liczy się dobry pomysł, który będzie służył seniorom.

Zgłoszone w inicjatywy zweryfikuje kapituła. W kolejnym etapie do głosowania zaprosimy Czytelników. Najwyżej oceniane pomysły wesprzemy finansowo. W każdym województwie przyznamy trzy wyróżnienia:

●1 miejsce: 6000 zł ●2 miejsce: 4000 zł ●3 miejsce: 2500 zł. Na zgłoszenia czekamy do poniedziałku, 23 stycznia, do godz. 12. Głosowanie rozpocznie się 24 stycznia o godz. 14, potrwa do 31 stycznia do godz. 12.



**Święta
z dobrą energią**

PARTNER AKCJI

Energa | GRUPA ORLEN

Gina Lollobrigida. Największa seksbomba powojennego kina

Mariusz Grabowski

O zmarłej w poniedziałek Ginie Lollobrigidzie Vittorio De Sica, twórca włoskiego neorealizmu, mówił tak: Gdy patrzę na nią - płonę!

Z kolei Humphrey Bogart miał ponoć powiedzieć, że przy Ginie, kwiecie rozbuchanej kobiecości, nawet Marilyn Monroe wygląda na ubogą krewną z prowincji, która nigdy nie nauczy się być prawdziwie piękną. Ona sama miała dystans do swojej urody, pokrewieństwo czuła raczej z inną sławną włoską niewiąstą, także pochodzącą z małego Subiaco koło Rzymu, z... Lukrecją Borgią.

Z rzeźbiarki aktorka

Kto mógł przypuszczać, że urodzona w 1927 r. Luigina - córka Giovanniego Lollobrigidy, bogatego fabrykanta mebli, zostanie Królową Kina? Owszem, była ładna, ale raczej chciała zostać artystką. Zaczęła nawet studiować rzeźbę i malarstwo w Academy of Fine Arts w Rzymie. W wywiadach po latach twierdziła, że utrzymywała się z tworzenia i sprzedaży karyktur. „Nie chciałam być aktorką, nie znałam kina, kochałam rzeźbę i miałam piękny głos”.

Wszystko zmieniło się, gdy w wieku 18 lat wystąpiła na scenie Teatro della Concordia w Monte Castello di Vibio w komedii „Santarellina”. Ponoć grała marnie, ale uwagę przykuła jej uroda i żywiołowość. Wkrótce rozpoczęła pracę jako modelka i trafiła do kilku konkursów piękności. W 1947 r. zajęła trzecie miejsce w konkursie Miss Włoch. To był klucz do jej kariery.

Zaraz bowiem potem przyszły propozycje z branży filmowej. Przed kamerą zadebiutowała rolką w filmie „Czarny orzeł” Riccardo Fredy. Kolejne lata przyniosły jej dziesiątki coraz większych ról filmowych. Zagrała m.in. w „Pieskim życiu” Mario Monicellego, dramacie wojennym „Achtung Banditen” Carlo Lizzaniego, „Piękności nocy” René Claira, „Rzymianie” Luigi Zampy i „Fanfanie Tulipanie” Christiana-Jaque. To tylko mały wycinek jej dokonania.

Ameryka wita Ginę!

Być może została by jedynie gwiazdą Włoch, ale dość szybko upomnielo się o nią Hollywood. Już w latach 50. amerykańska prasa pisała, że „Nowy Jork oszalał na punkcie Giny, najpięk-



Ostatnie lata najpiękniejsza kobieta kina spędziła z dala od wielkiego świata. Zmarła w Rzymie i rodzina nie podała przyczyny jej śmierci. Miała 95 lat

niejszej kobiety świata”. Skąd tytuł najpiękniejszej? Bo w 1955 r., jako włoska śpiewaczka Lina Cavalieri, zagrała w dramacie Roberta Z. Leonarda „Najpiękniejsza kobieta świata”. Na ekranie pojawiła się z Vittorio Gassmanem i otrzymała nagrodę David di Donatello dla najlepszej aktorki.

Jej sława eksplodowała. Pojawiła się na okładce pisma „Time”, została z honorami przyjęta w Białym Domu przez zauroczonego nią prezydenta Dwighta Eisenho-

wera. Co ciekawe, o miano numeru jeden rywalizowała z inną Włoszką - Sophią Loren. Ale Sophia, choć także magnetycznie piękna, nie miała z nią szans. Zwłaszcza po tym, jak w 1958 r. Orson Welles nakręcił telewizyjny film dokumentalny „Portret Giny”, który obejrzał każdy Amerykanin płci męskiej.

Sławę Lollobrigidy ugruntowała w 1959 r. rola Królowej Saby w biblijnym filmie Kinga Vidora „Salomon i Królowa Saby”. Miała partnerować

Yulowi Brynnerowi, ale okazało się, że to on był tym mniej ważnym. Wypadł przy niej dość błado i nie pomógł mu nawet legendarna łysina.

„Jestem nieszczęśliwa”

„Gdzie się nie pojawi, faceci padają na kolana na sam jej widok. Przedpokój w jej najdroższych hotelach okupuje tłum mężczyzn, którym złamała serca” - ironizował w 1961 r. krytyk „Newsweeka”, ale nie skłamał ani o jotę. Gina Lollobrigida faktycznie rozciągała wokół sie-

bie niezwykle czar. Aż trudno uwierzyć, że w jednym z wywiadów, udzielonych w swoje 80 urodziny, mówiła: „Przez całe życie pragnęłam prawdziwej, autentycznej miłości, ale nigdy jej nie otrzymałam. Nikt nigdy naprawdę mnie nie kochał. Jestem nieszczęśliwą kobietą”.

Faktycznie, jej życie osobiste nie wyglądało imponująco. W 1949 r. poślubiła słoweńskiego lekarza Milko Skofica. Rozwiedli się w 1971 r., po dwóch dekadach szarpaniny. Potem była związana z kilkoma wpływowymi postaciami z branży filmowej, m.in. z reżyserem George'em Kaufmanem.

Towarzyską sensację wywołała w październiku 2006 r., gdy oznajmiła, że jest związana z młodszym o 34 lata hiszpańskim biznesmenem (i zarządcą jej nieruchomości) Javierem Rigau y Rafolsem, którego poznała ponad 20 lat wcześniej na przyjęciu w Monte Carlo. W listopadzie 2010 r. oficjalnie wzięli ślub.

Pytana, dlaczego tak późno zdecydowali się zalegalizować swój związek, odpowiedziała: „Chcieliśmy, żeby się to stało wcześniej, ale nie było to możliwe”. „Zawsze miałam słabość do młodszych mężczyzn, ponieważ są wielkoduszni i nie mają kompleksów” - dodała w wywiadzie dla hiszpańskiego czasopisma „Hola!”. Kilka lat później, w 2013 r., związek ten został jednak unieważniony przez sąd w Watykanie.

Fascynacja Fidelem

Ale wróćmy jeszcze na chwilę do lat 60. W 1968 r. na-

Szybko upomnielo się o nią Hollywood. amerykańska prasa pisała, że „Nowy Jork oszalał na punkcie Giny, najpiękniejszej kobiety świata”

kręciła „Buona Sera, pani Campbell”, farsę, w której grana przez nią Włoszka odpiera załoty trzech rozkochanych amerykańskich żołnierzy. Komedia stała się później inspiracją dla słynnego broadwayowskiego musicalu „Mamma Mia!”, a Lollobrigidzie przyniosła pierwszą nominację do Złotego Globu.

Drugą otrzymała za rolę Franceski Gioberti, przyrodniej siostry w „Falcon Crest”, kasowym serialu CBS. Tu ciekawostka: pierwotnie rola napisana była dla Sophii Loren, ale

Lollobrigida użyła dość wyrafowanego szantażu, by jej ową rolę odebrać. Producenci zgodzili się natychmiast, co świadczy, że Sophia w tej rywalizacji była zawsze „tą drugą”. Podobna sytuacja miała miejsce także wcześniej, w 1953 r., gdy Gina ubiegała się o rolę księżniczki Anny w filmie „Rzymskie wakacje”. Ale wtedy przegrała z Audrey Hepburn.

Pod koniec lat 60. aktorka zaczęła ograniczać występy w kinie i wróciła do młodzieńczej pasji, zajmując się fotografią. Sportretowała wtedy m.in. Paula Newmana, Salvadora Dalego, Audrey Hepburn, Ellę Fitzgerald, a nawet Henry'ego Kissingera, szarą eminencję w administracji prezydenta Richarda Nixona. W 1973 r. ukazał się zbiór jej prac „Italia Mia”.

Próbowała też siłą jako reporterka. Udało jej się np. przeprowadzić ekskluzywny wywiad z Fidelem Castro oraz wyprodukować, wyreżyserować i napisać scenariusz do krótkometrażowego filmu dokumentalnego „Ritratto di Fidel”. Prasa rozpisывała się o „ocieplanii” wizerunku komunistycznego dyktatora, a niektórzy sugerowali wręcz, że mieli romans. Lollobrigida nigdy temu nie zaprzeczyła.

Kandydatka do Senatu

Choć deklarowała zerwanie z kinem, powróciła jednak na mały ekran w roli Franceski Gioberti w operze mydlanej „Falcon Crest” w 1984 r. Zdobyła wtedy nominację do Złotego Globu dla najlepszej aktorki drugoplanowej w serialu, miniserialu lub filmie telewizyjnym. Wystąpiła także jako księżniczka Alessandra w melodramacie telewizyjnym NBC „Oszustwa” w 1985 r. i jako Carla Lucci w sitcomie „Statek miłości” w 1986 r. Ale jej kariera aktorska była zamknięta.

Była więc była aktorką, artystką i reporterką, ale kto wie, że w latach 90. zaangażowała się także w politykę. W 1999 r. bez powodzenia ubiegała się o mandat w Parlamencie Europejskim. Zaś latem 2022 r. kandydowała do włoskiego Senatu, również bezskutecznie, z lewicowej listy Włochy Suwerenne i Ludowe.

Mimo okazjonalnego flirtu z polityką ostatnie lata najpiękniejsza kobieta kina spędziła z dala od wielkiego świata i jego złudnych powabów. Zmarła w Rzymie i rodzina nie podała przyczyny jej śmierci. Miała 95 lat.

FOT. COURTESY EVERETT COLLECTION/EVERETT COLLECTION/EAST NEWS

MAGAZYN

SPORTOWY24.PL

Udany finisz Biało-Czerwonych w fazie zasadniczej mistrzostw świata
piłkarzy ręcznych. Po przeprowadzce do Krakowa odzyskali wigor STR.14



FOT. ANDRZEJ BANAS

Jest satysfakcja, ale cel nieosiągnięty

**AUTRALIAN OPEN.
ŚWIĄTEK I HURKACZ
ZAKOŃCZYLI STARTY
W NIEDZIELĘ**
STR. 15

**Wspaniała seria
naszego lidera
w Pucharze Świata
przerwana**
STR. 13

**Andrzej Iwan.
Ogrywał obrońców,
przegrywał
z własnymi demonami**
STR. 16

Sporty walki Walka wieczoru gali XTB KSW 78 w hali Netto Arena zakończyła się przed czasem

Nieudany rewanż. Materla znowu górą

Maurycy Brzykcy
sport@gs24.pl

Gala mieszanych sztuk walki (MMA) - XTB KSW 78 w szczecińskiej Netto Arenie nie zawiodła widzów. Aż trzech z czterech naszych zawodników odniosło zwycięstwa.

Jako pierwszy z lokalnych wojowników do klatki KSW wyszedł Oskar Szczepaniak. Bardzo zdolny i ambitny szczecinianin ma argumenty ku temu, by w przyszłości być może stanąć do walki o pas kategorii lekkiej. W Netto Arenie walczył z Raimondasem Krilavičiusem. Polak po raz drugi walczył dla KSW i zanotował pierwsze zwycięstwo w tej federacji.

Szczepaniak był aktywny od początku starcia, dużo kopiał, zadawał ciosy. Rywal złapał jego kopnięcie w pewnym momencie i obalił. Nie zdołał jednak poważniej zagrozić Szczepaniakowi. W drugiej rundzie szczecinianin domino-

wał w parterze, wpiął się rywalowi za plecy i próbował poddać Krilavičiusa. Szczepaniak w trzeciej rundzie stracił kontrolę nad pojedynkiem, ale ostatecznie to jemu sędziowie przyznali jednogłośnie zwycięstwo.

Po raz pierwszy dla KSW walczył w sobotę Łukasz Sudolski. Debiutu do udanych nie zaliczy. Pierwsza runda starcia szczecinianina z Raimundo Silvą była ciekawa. Sudolski przez chwilę miał dobrą pozycję w parterze, ale ostatecznie rywal z tego uciekł. Z kolei na początku drugiej rundy Brazylijczyk ruszył do mocnej ofensywy, trochę zaskoczył Sudolskiego i znokautował go.

Przed walką wieczoru doszło do starcia zawodnika Berserkers Team, Tomasz Romanowski, z Radosławem Paczuskim. Obaj postawili w pierwszych rundach na świetną wymianę ciosów. Gdy przewagę zyskiwał jeden, drugi chłodził go celnymi uderzeniami. W trzeciej rundzie tempo nieco spadło,



Trzech z czterech lokalnych zawodników wygrało walki podczas gali KSW w Netto Arenie. W pojedynku wieczoru triumfował Michał Materla

a ostatecznie o wyniku zdecydowali sędziowie. Przyznali je Romanowskiemu, choć niejednogłośnie. Szczecinianin wygrał

piąty raz z rzędu i jest blisko walki o pas kat. średniej.

Po raz pierwszy, podczas gali KSW w Szczecinie, Michał

Materla dostał walkę wieczoru. Spotkał się w niej z Kendallem Grovem, z którym walczył niemal 10 lat temu i do dziś ten po-

jedynek fani pamiętają jako jeden z bardziej krwawych, ale i zaciętych. Wówczas na punkty wygrał Materla, teraz walkę zakończył w inny sposób.

Zawodnik Berserker's Team Szczecin sprawiał wrażenie trochę wolnego w pierwszej rundzie, dość usztywnionego. Zadawał jednak ciosy, był aktywny. Grove nie ustępował Polakowi i oglądaliśmy ciekawy pojedynek. W drugiej rundzie Materla zaatakował nagle jak wściekły byk. Trafił rywala i ruszył do jego dobicia. Grove przetrwał trudny moment, ale po chwili Materla znowu skutecznie ustrzelił rywala i w parterze dobił go łokciami. Sędzia przerwał starcie. Po walce Materla przyznał, że był bliski wycofania się z pojedynku ze względu na kontuzję. Po raz kolejny pokazał jednak duży charakter. Dla niego to były trudne tygodnie, także z powodów osobistych, i widać było, jak dużo to zwycięstwo dla niego znaczy.

krótko

ENERGA BASKET LIGA

17. kolejka: Enea Zastal BC Zielona Góra - King Szczecin 78:79 (22:23, 17:27, 25:10, 14:19), MKS Dąbrowa Górnicza - Trefl Sopot 82:91 (10:23, 22:21, 22:23, 28:24), Anwil Włocławek - Rawlplug Sokół Łańcut 78:89 (18:20, 15:28, 19:26, 26:15), Polski Cukier Start Lublin - Tauron GTK Gliwice 79:68 (21:14, 13:15, 24:18, 21:21), Enea Abramczyk Astoria Bydgoszcz - PGE Spójnia Stargard 89:98 (20:29, 21:22, 33:25, 15:22), Śląsk Wrocław - Legia Warszawa 83:77 (22:24, 16:20, 23:18, 22:15), BM Stal Ostrów Wielkopolski -

Grupa Sierleccy Czarni Słupsk i Suzuki Arka Gdynia - Arriva Twardo Pierniki Toruń zakorczyły się po zamknięciu wydania.			
1. Śląsk Wrocław	17	32	1495-1329
2. Trefl Sopot	17	29	1429-1378
3. BM Stal Ostrów Wlkp.	16	28	1397-1266
4. King Szczecin	17	28	1463-1406
5. Legia Warszawa	17	27	1323-1285
6. PGE Spójnia Stargard	17	27	1408-1376
7. Anwil Włocławek	17	25	1373-1338
8. Enea Zastal Zielona Góra	17	25	1411-1407
9. MKS Dąbrowa Górnicza	17	25	1449-1449
10. Gr. Sierleccy Czarni Słupsk	16	24	1232-1176
11. Tauron GTK Gliwice	17	23	1250-1324
12. Rawlplug Sokół Łańcut	17	23	1239-1340
13. Suzuki Arka Gdynia	16	22	1297-1354
14. Polski Cukier Start Lublin	16	22	1269-1352
15. Enea Astoria Bydgoszcz	17	21	1405-1552
16. Twardo Pierniki Toruń	15	18	1187-1295 (jak)

„NOCNY POCIĄG” ROZBIŁ „GŁOWĘ” W MANCHESTERZE

BOKS. Krzysztof Głowacki przegrał przez nokaut w IV rundzie z Anglikiem Richardem Riakporhem na sobotniej gali boks w wypełnionej przez 20 tysięcy widzów Manchester Arenie.

36-letni Polak zdawał sobie sprawę, że walka w Manchesterze będzie istotna dla jego przyszłości w zawodowym boksie. Wprzeszłości „Głowa” był dwukrotnym mistrzem świata w wadze junior ciężkiej organizacji WBO - w 2015

i 2019 roku. W ostatnich latach jego kariera nie przebiegała jednak tak jakby chciał: od 2019 roku zwyciężył tylko raz.

Ostatni polski mistrz świata w zawodowym boksie ustępował warunkami fizycznymi swojemu rywalowi. Był do niego lżejszy o niecały kilogram i niższy aż o 13 centymetrów. Mimo że zdecydowanie bardziej doświadczony od 33-letniego Richarda Riakporhe, to jednak Anglik o pseudonimie „Nocny Pociąg” uchodził

za faworyta do zwycięstwa. Riakporhe, który z londyńskiej dzielnicy biedry trafił na sportowe salony, stoczył wcześniej 15 zawodowych pojedynków (15-0, 11 KO) i miał status niepokonanego. Pięściarz z Wałcza przed walką w Manchesterze miał na swoim koncie stoczonych ponad 120 walk, w których 11 razy nokautował swoich rywali.

Walka zakontraktowana na dwanaście trzynaści minut rund rozstrzygnęła się już pod koniec czwartej od-

slony. Polak przyjął serię mocnych ciosów - najpierw na wątrobę, potem dwa mocne uderzenia w głowę. Sędzia zmuszony był do przerwania ataków Brytyjczyka i poddania Polaka.

- Czuję się dobrze, wykonałem swoją robotę w niezłym stylu. Oglądam wszystkich mistrzów kategorii junior ciężkiej i chciałbym do nich teraz zapałować: nie uciekajcie przede mną - powiedział zwycięzca sobotniej walki. **ZbiC**

AUTOPROMOCJA

0010716185

INTERAKTYWNY PRZEWODNIK TURYSTYCZNY

NIEZWYKŁA POLSKA!

Najpiękniejsze
miejsca w Polsce

Inspiracje
podróżnicze
na jesień i zimę

Wyjątkowe
atrakcje

stronapodrozy.pl/przewodnik



Skoki narciarskie Wspaniała seria naszego lidera w Pucharze Świata przerwana. W Sapporo rządził wiatr

Pierwszy taki przypadek w 2023 r. A potem drugi...

Lukasz Konstanty
redakcja@polskapress.pl

Wiatr wiejący w Sapporo nie był sprzymierzeńcem Dawida Kubackiego. Polak w Sapporo tylko raz stanął na podium.

W efekcie przewaga nad ścigającym go Halvorem Egnerem Granerudem zmalała do niespełna pięćdziesięciu punktów.

Z panującymi w Japonii warunkami spośród zawodników z czołówki klasyfikacji PS najlepiej radził sobie właśnie wspomniany Norweg, który każde zawody kończył na podium. Za każdym razem musiał jednak godzić się z tym, iż znajdował się ktoś lepszy. W piątek i niedzielę nieoczekiwanie Ryoyu Kobayashi, w sobotę - Stefan Kraft.

Zaczęło się nieźle dla Białoczerwonych. W piątkowym konkursie o miejscu w czołowej trójce realnie mogli myśleć Kamil Stoch (po pierwszej serii plasował się na czwartej pozycji, tylko 1,2 pkt za Halvorem Egnerem Granerudem i 1,9 pkt za dru-

gim Ryoyu Kobayashim), a także przewodzący stawce z przewagą 3,9 pkt Kubacki. W drugiej serii z niekorzystnymi warunkami nieco lepiej poradził sobie jednak rywale, w efekcie lider Pucharu Świata zmagania zakończył na drugiej pozycji, zaś Stoch z ledwością utrzymał czwartą lokatę (kolejnego skoczka, Krafta, wyprzedził o zaledwie 0,4 pkt).

Wielki niedosyt mogliśmy czuć po zawodach rozegranych w sobotę. Na półmetku w czołowej siódemce było aż trzech Polaków, a największą niespodziankę sprawił Aleksander Zniszczoł, który po znakomitym skoku w dobrych warunkach wietrznych na odległość 141 metrów plasował się na trzeciej pozycji (piąty był Kubacki, a siódmy Stoch). Niestety, w drugiej serii Zniszczoł nie poradził sobie w trudnych pogodowych warunkach, uzyskał zaledwie 109 metrów i spadł na 25. pozycję.

Po raz pierwszy w 2023 roku na podium zawodów Pucharu Świata zabrakło Polaka. Kubacki zmagania zakończył na czwartej pozycji, przerywając w ten spo-



FOT. ANDRZEJ BANAS

Największą niespodziankę sprawił Zniszczoł, który zajmował trzecią pozycję po I serii...

sób serię dziesięciu z rzędu konkursów, w których kończył zmagania w czołowej trójce. W dziesiątce znaleźli się także Stoch (ósmą lokatą) i Piotr Żyła (9. miejsce). Wygrał Kraft, który prowadził także po pierwszej serii.

Ostatni konkurs w Sapporo, rozgrywany w loteryjnych wa-

runkach, nie był udany dla Białoczerwonych. Najwyżej z naszych zawodników, na ósmej pozycji, uplasował się Żyła. Kubacki po raz pierwszy w bieżącym sezonie nie zmieścił się w czołowej dziesiątce (był jedenasty), choć dodać trzeba, że gdyby łącznie w dwóch skokach uzyskał odle-

głość lepszą o dwa metry, zająłby piątą lokatę. O tym, że wiatr miał spory wpływ na rozstrzygnięcia, najlepiej świadczy fakt, że w drugiej serii nie znaleźli się Karl Geiger, Michael Hayboeck, Marius Lindvik i Robert Johansson, którzy w normalnej sytuacji zmieściliby się w trzydziestce. Najlep-

szy w ostatnim konkursie okazał się Kobayashi.

Kolejne zawody Pucharu Świata w skokach narciarskich odbędą się w najbliższy weekend w Bad Mitterndorf. ©©

WYNIKI W SAPPORO

Piątek, 20 stycznia: 1. Ryoyu Kobayashi (Japonia) - 271,5 pkt; 2. Dawid Kubacki - 264,3; 3. Halvor Egner Granerud (Norwegia) - 262,6; 4. Kamil Stoch - 253, (...); 14. Piotr Żyła - 239,3; 33. Paweł Wąsek - 105,9; 38. Aleksander Zniszczoł - 102,6

Sobota, 21 stycznia: 1. Stefan Kraft (Austria) - 283,5 pkt; 2. Granerud - 277,9; 3. R. Kobayashi - 276,1; 4. Kubacki - 264,8, (...); 8. Stoch - 250,6; 9. Żyła - 249,8; 25. Zniszczoł - 224

Niedziela, 22 stycznia: 1. R. Kobayashi - 280,9; 2. Granerud - 268,9; 3. Markus Eisenbichler (Niemcy) - 256,9, (...); 8. Żyła - 240,5; 11. Kubacki - 238,7; 17. Zniszczoł - 223,4; 23. Stoch - 215,3; 26. Wąsek - 201,2

Klasyfikacja generalna Pucharu Świata

1. Dawid Kubacki - 1164
2. Halvor Egner Granerud - 1116
3. Anze Lanisek (Słowenia) - 941
4. Stefan Kraft - 811
5. Piotr Żyła - 628
6. Manuel Fettner (Austria) - 487
7. Ryoyu Kobayashi - 421
8. Kamil Stoch - 391.

Jan Szturc: W porównaniu do roku ubiegłego zrobiliśmy postęp

Zbigniew Czyż
ZAKOPANE

SKOKI NARCIARSKIE. Rozmawiamy z legendarnym, pierwszym trenerem Adama Małysza - Janem Szturcem. Specjalnie dla nas podsumował weekendowe występy Polaków w Sapporo.

W Sapporo odbyły się aż trzy indywidualne konkursy Pucharu Świata. Najlepiej z Polaków wypadł Dawid Kubacki: zajął odpowiednio 2., 4. i 11. miejsce. Jak podsumuje pan występy Białoczerwonych w Japonii? Dawid oddał w Sapporo naprawdę dobre skoki. W tej dyscyplinie sportu trzeba jednak też mieć trochę szczęścia, a jemu niestety w niektórych momentach zabrakło dobrego wiatru pod narty. Myślałem, że będzie kontynuował serię zajmowanych miejsc na podium, ale po sobotnim konkursie skończyło się na dziesiątku. To i tak jest znakomity wynik.

Przyzwoite występy zanotowali też Kamil Stoch i Piotr Żyła. Stoch zajął 4., 8. i 23. miejsce. Żyła był 14., 9. i 8.

Sapporo charakteryzuje się tym, że wiatr często rozdaje karty, nasi zawodnicy niestety nie mieli najlepszych warunków. Cieszy, że Kamil wraca do wysokiej dyspozycji, jego skoki są powtarzalne. Jeśli chodzi o Piotra Żyłę, przyzwyczailiśmy się już do tego, że w obecnym sezonie zajmuje miejsca w pierwszej dziesiątce. Za nami 1/3 sezonu i trzeba ten okres uznać za udany w jego wykonaniu. Tak dobrego, równego sezonu chyba jeszcze do tej pory w swojej karierze nie miał. Jeśli nie będzie zblokowany w dojeździe do progu, jeśli wyczuje lepiej pozycję dojazdu, to wyniki będą jeszcze lepsze.

Mogą trochę martwić pewne problemy w Japonii Pawła Wąska? W pierwszym konkursie w Japonii zajął 33. miejsce, w drugim w ogóle nie wystąpił, w trzecim był dopiero 26.

Po Turnieju Czterech Skoczni dobra forma Pawła Wąska zaczęła gdzieś uciekać. Nie czuje się pewnie, ma problemy z dojazdem, nie jest zbyt aktywny. Mam nadzieję, że wróci do dobrego skakania.



FOT. PAPIEPA

- Dawid oddał w Sapporo naprawdę dobre skoki. W tym sporcie trzeba jednak też mieć szczęście - mówi Szturc

Do zawodów w Bischofshofen prezentował się bardzo dobrze, punktował prawie we wszystkich konkursach. Cieszę się, że dobrze w sobotnim konkursie zaprezentował się Aleksander Zniszczoł, zajął 25. miejsce. W pierwszej serii wykorzystał warunki pogodowe, a to też trzeba umieć.

Dostał prezent i z niego skorzystał. Szkoda, że w drugiej nie potrafił już tak dobrze skoczyć. Może trochę zjadła go trema? Jeszcze nigdy nie był tak wysoko po pierwszej serii w zawodach Pucharu Świata (zajmował trzecie miejsce - przyp. red.) i to pewnie go zdeprymowało. W nie-

dzielę również zaprezentował się solidnie, zajął 17. pozycję.

Jak pan ocenia pracę trenera kadry polskich skoczków, Thomasa Thurnbichlera?

Mamy porównanie do ubiegłego sezonu i rok temu o tej samej porze było zupełnie inaczej. Nasi reprezentanci poczynili znaczny postęp, zwłaszcza ci najbardziej doświadczeni zawodnicy. Całość trzeba będzie ocenić dopiero po zakończeniu sezonu, ale widać, że austriacki szkoleniowiec wykonuje póki co bardzo dobrą pracę. Także kadra B robi przy nim postępy i to również jest ważne, żeby była właśnie odpowiednia współpraca między kadrami. A i kadrami B prowadzoną przez trenera Macieja Maciusiaka. Widać, że jest wymiennosc. Kto aktualnie znajduje się w dobrej dyspozycji, wskakuje do zawodów Pucharu Świata, kto jest w słabszej dyspozycji - jedzie na zawody Pucharu Kontynentalnego. Tak to powinno działać.

W klasyfikacji generalnej Pucharu Świata przewaga Dawida Kubackiego nad drugim Norwegiem Halvorem Egne-

rem Granerudem stopniała do zaledwie 48 punktów. Polak zdoła się obronić i wywalczy po raz pierwszy w karierze Kryształową Kulę?

Trudne pytanie. Obydwaj skaczą bardzo dobrze, walka o końcowe zwycięstwo będzie trwać do ostatniego konkursu. Wszystko jest sprawą otwartą, ale tych dwóch zawodników między sobą rozstrzygnie sprawę zwycięstwa w klasyfikacji generalnej.

Na przełomie lutego i marca odbędą się mistrzostwa świata w narciarstwie klasycznym w słoweńskiej Planicy. Jakich wyników reprezentantów Polski się pan spodziewa?

Jestem optymistycznie nastawiony. Formy nie można stracić z dnia na dzień. Jestem przekonany, że nasza kadra będzie przygotowana do mistrzostw świata bardzo dobrze, że sztab szkoleniowy z trenerem Thurnbichlerem na czele będzie nad wszystkim odpowiednio czuwał. To główna impreza tego sezonu. Zarówno indywidualnie, jak i w drużynie na pewno mamy szansę na medal. ©©

Piłka ręczna Trener Patryk Rombel nadal chce prowadzić reprezentację Polski. Widzi progres w jej grze

Cel nie został osiągnięty, ale jest satysfakcja

Jerzy Filipiuk
redakcja@polskapress.pl

- Mam nadzieję, że nadal będę pracował z kadrą - powiedział po zwycięstwie z Czarnogorą 27:20 w MŚ trener reprezentacji Polski Patryk Rombel.

Biało-Czerwoni już wcześniej - po porażce z Hiszpanią 23:27 - stracili szansę na awans do ćwierćfinału MŚ i pierwszą okazję do gry w turnieju kwalifikacyjnym igrzysk olimpijskich w Paryżu. Mogą jeszcze powalczyć o awans do IO '24 w Euro '24 w Niemczech (w eliminacjach grają z Francją, Włochami i Łotwą), które też będą okazją do odebrania olimpijskiej nominacji lub awansu do turnieju kwalifikacyjnego.

Mimo braku awansu do czołowej ósemki MŚ Rombel nie krył satysfakcji. - Występ drużyny mnie nie zaskoczył, bo uważam, że poza spotkaniem ze Słowenią [przegranym w rundzie wstępnej w Katowicach 23:32 - przyp.] pokazywaliśmy naprawdę dobry handball.

Mogę być dumny z tego, że choć nie spełniliśmy naszego celu, to zawodnicy pokazali, że nie zgubili pozytywnego nastawienia, co nie jest takie proste. W ich grze nie widać było rozluźnienia, rezygnacji czy obawy o zdrowie przed powrotem do klubów.

Jego słowa potwierdzali zawodnicy, którzy po każdym meczu podkreślali, że bardzo chcieli się pokazać - jako zespół i indywidualnie - na najważniejszym turnieju roku i dobrą grą podziękować kibicom.

- Główną rolę odgrywał aspekt mentalny. Nie udźwignęliśmy presji w niektórych meczach, jednak pokazaliśmy, że w każdym będziemy walczyć - powiedział Piotr Jędraszczyk.

- Czarnogórcy też nie mieli już szans na wyjście z grupy, ale każdy zespół oraz zawodnik chciał się pokazać jak najlepiej, bo to są mistrzostwa świata, które ogląda wielu kibiców - wyznał obrotny Bartłomiej Bis.

Bramkarz Mateusz Kornecki nie występował w fazie wstępnej MŚ, trener Rombel dał mu



- Poza spotkaniem ze Słowenią pokazywaliśmy dobry handball w MŚ - uważa Rombel

szansę gry w fazie zasadniczej, którą ten wykorzystał, broniąc bardzo dobrze w spotkaniu z Hiszpanią i rewelacyjnie (50% skutecznych interwencji!) z Czarnogorą. Czy selekcjoner popełnił błąd, stawiając wcześniej na Adama Morawskiego (a także na Jakuba Skrzyniarza)?

- Jeśli Kornecki podczas przygotowań w 6 meczach uzbierał niewiele więcej skutecznych interwencji niż w spotkaniu z Czarnogorą, to trudno było go wstawić do dwójki meczowej. Oceniliśmy go jako trzeciego bramkarza, patrząc na statystyki, reakcje, sposób gry. W meczu

z Hiszpanią doszło do korekty i Kornecki wszedł do bramki i zaprezentował wysoki poziom. Mówienie, że powinniśmy od początku postawić na niego, jest nieuczciwe wobec pozostałych bramkarzy, bo wcześniej oni rywalizację z nim wygrali - ocenił nasz trener.

39-letni Rombel prowadzi reprezentację od lutego 2019 roku. Pod jego wodzą zajęła ona 21. miejsce w ME '20, 13. w MŚ '21 i 12. w ME '22. Atak na czołową „8” w MŚ '23 nie powiódł się, ale selekcjoner odrzucił głosy, że ostatnie lata były stracone.

- W 2018 i 2019 roku nie zakwalifikowaliśmy się do mistrzostw Europy i świata. Potem zagraliśmy w czterech imprezach, notując progres. Oczywiście, marzyliśmy, żeby u siebie wskoczyć piętro wyżej, ale to są mistrzostwa poprzedzające igrzyska i niespodzianki bardzo trudno. Wszyscy przyjechali w najmocniejszych składach. Nam nie pomogło boisko. Dziś dysponujemy drużyną na miejscu na początku drugiej dziesiątki. I z tego poziomu będziemy chcieli pójść wyżej. Czy ze mną? Nie wiem. Mam taką nadzieję, bo widzę ducha w drużynie, chęć współpracy zawodników ze mną. Jestem gotowy nadal prowadzić zespół. Jeśli będzie taka wola związku, będę kontynuował pracę - stwierdził Rombel. ©

Ryszard
Czarnecki

„Z woleja”



GARRINCHA - PIĘKNE ZWODY I LICZNE UPADKI...

Gdy świat kochał Pelego - ja kochałem Garrinchę, skrzydłowego z jedną nogą krótszą od drugiej. Pele, wiadomo: 3 razy mistrz świata, bożyszcze mediów, postać z popkultury. A Garrincha? Nie był żadnym wzorem postępowania, miał kłopoty z alkoholem. Pewnie gdyby nie to, zaszedłby w futbolu jeszcze wyżej. Ale czy dwa tytuły mistrza świata to mało? W reprezentacji Canarinhos zagrał 50 razy i strzelił 12 goli. Był legendarnym dryblerem: kiwał, kiwał i... wypracowywał sytuację innym. W finale mundialu 1958 przeciwko gospodarzom - Szwecji zaliczył dwie asysty, a gole strzelał Vava.

Manuel Francisco dos Santos - tak się nazywał, Garrincha to boiskowy pseudonim - miał wielkie słabości, ale też wielkie serce do gry. Był niezdyscyplinowany, obierał się słodyczami i pił jak jego oj-

ciec. Obaj zresztą zmarli na marskość wątroby. Z pierwszą żoną miał piątkę dzieci. Gdy rodziło się ostatnie, jego kochanka... spodziewała się pierwszego potomka. Potrafił samochodem własnego ojca. Za picie alkoholu został wyrzucony ze zgrupowania reprezentacji przed towarzyskim meczem z Anglią.

Wszyscy obrońcy w Brazylii i na świecie znali legendarny zwód Garrinchy. A mimo to wszyscy dawali się na niego nabrać. A Garrincha tańczył na prawym skrzydle i w reprezentacji, i grając dla Botafogo (231 bramki w 581 meczach!). Uwielbiał mijać przeciwników, może nawet bardziej, niż strzelać gole. Ciekawe, że jego najbardziej znane akcje to te, gdzie nie strzelił gola, a trafiał w słupek czy w boczną siatkę, jak w finale MŚ 1958. Wcześniej w meczu ze ZSRS w ciągu minuty najpierw strzelił w słu-

pek, a potem wypracował okazję Pelemu, który trafił w poprzeczkę.

Garrincha to w dosłownym tłumaczeniu „Śpiwający ptak”. Rzeczywiście, koncertował na boisku. Tak, miał słaby charakter, ale też dobre serce. Gdy jego klub wyjechał na mecz wyjazdowy, przed spotkaniem Garrincha nudził się i patrzył na ulicę z okna w hotelu. Były tam dwa bary. W jednym ledwie mieścił się tłum ludzi, a właściciel zacierał ręce, bo interes szedł świetnie. W drugim barze nie było dosłownie nikogo, a smutny, samotny właściciel po raz setny przecierał ladę, żeby zabić czas i nie myśleć o braku dochodów. Garrincha wyszedł z hotelu i wszedł do baru, w którym nikogo nie było. Wypił le-moniadę i wrócił do pokoju. W sąsiednim barze tłum widząc go zamarł. Gdy Garrincha wyszedł wszyscy rzucili się do baru, w którym przed chwilą był, a właściciel drżącymi rękoma przybijał do ściany stołek, na którym siedział...

W ostatni piątek minęła 40. rocznica śmierci brazylijskiego wirtuoza, który wygrał dla Brazylii wiele meczów i dwa mundiale, a przegrał sam z sobą. Zmarł w wieku raptem 50 lat. Zawsze bardziej lubiłem upadłych idoli niż idoli z pomników.

Marcin
Możdżonek„Z najwyższego
punktu widzenia”

SPORTOWE TALENTY

Sportowe Talenty to oczko w głowie Społecznej Rady Sportu, jak i ministra sportu. Wszyscy jesteśmy niezwykle podekscytowani tym przedsięwzięciem, które prawdopodobnie będzie krokiem milowym dla polskiego sportu. Ale po kolei. Czym jest program?

Jest to platforma, dzięki której będziemy mieli dostęp do danych do tej pory nieosiągalnych dla żadnej instytucji w kraju i na świecie. Dzięki temu programowi będziemy w stanie usystematyzować testy i ćwiczenia sportowe dla wszystkich uczniów w Polsce, a konkretnie to wszyscy uczniowie szkół podstawowych i ponadpodstawowych zostaną nim objęci!

Tak, szanowni państwo, będziemy w stanie w kilka sekund sprawdzić, które dziecko wyróżnia się w biegu na 60 czy 100 metrów, które skacze najdalej, a które najwyżej. Sprawdzimy ich siłę, wytrzymałość, zwinność, gibkość, refleks. Do-

stopniu panują nad różnego rodzaju piłkami i sprawdzimy, jaką mają kondycję. Wystarczy kilka kliknięć i będziemy mogli zobaczyć, które z dzieci wyróżniają się na tle swojej klasy, szkoły, miasta, gminy, powiatu, województwa czy kraju.

Będzie można ustawić filtry wyszukiwarki w taki sposób, aby móc porównać wyniki testów dla danej grupy wiekowej, wzrostowej, wagowej i według mnożstwa innych kryteriów, takich jakie sobie tylko sami wybierzemy. Również, a może przede wszystkim to dzieci i młodzież będą korzystać z tych dobrodziejstw i na bieżąco sprawdzać, czy się rozwijają sportowo, czy muszą bardziej przyłożyć się do lekcji wychowania fizycznego. Będą mogli porównywać się i rywalizować na odległość ze wszystkimi uczniami w kraju, wykonując te same ćwiczenia i testy.

Oczywiście, wszystkie dane będą w pełni zanonimizowane i to sami zainteresowani będą decydować o tym, czy chcą, żeby udostępniać ich dane oso-

bowe, czy pozostać tylko jako anonimowa pozycja na tablicy wyników. Program już ruszył we wrześniu ubiegłego roku w dwóch województwach - opolskim i lubelskim, a od nowego roku szkolnego dołączą do niego pozostałe.

Nawet najlepszy program nie miałby szans, gdyby nie ludzie, których on dotyczy. Nauczyciele wuefu w zdecydowanie stanęli na wysokości zadania. Dzięki programowi dostali do ręki również bogatą bazę ćwiczeń, treningów, testów sportowych opracowywanych przez specjalistów ze wszystkich dziedzin sportu, która będzie się rozrastała wraz z programem, więc uczniowie z całą pewnością nudzić się nie będą.

Żeby dokonać tak rewolucyjnych wręcz zmian, należało połączyć siły i zaangażowania Ministerstwa Edukacji nie moglibyśmy posunąć się nawet o krok. W końcu to instytucja, która zawiaduje wszystkimi szkołami.

Już w niedługim czasie będziemy mogli monitorować na bieżąco, w skali całego kraju, czy nasze pociechy np. nie za dużo przybierają na wadze. Nic więc dziwnego, że również Ministerstwo Zdrowia zainteresowało się przedsięwzięciem. Trzymajcie państwo, proszę, kciuki za ten program. Moim zdaniem jest to wielka rzecz dla naszego społeczeństwa ponad wszelkimi podziałami.

Czarna niedziela polskich gwiazd w 1/8 finału Australian Open

Jacek Kmiecik
redakcja@polskappress.pl

TENIS. Iga Świątek i Hubert Hurkacz zakończyli występ w Melbourne na czwartej rundzie.

Liderka światowego rankingu, Świątek, przegrała z Jeleną Rybakina 4:6, 4:6 w 1/8 finału wielkoszlemowego Australian Open. Rozstawiona z numerem 22. tenisistka z Kazachstanu to triumfistka ubiegłorocznego Wimbledonu.

Po trzech wygranych meczach ze znacznie niżej notowanymi tenisistkami w niedzielę przyszło zmierzyć się Świątek ze zdecydowanie mocniejszą rywalką. Rybakina w rankingu WTA plasuje się na stosunkowo niskim, 25. miejscu, bowiem za Wimbledon nie były przyznawane punkty ze względu na niedopuszczenie do rywalizacji tenisistów z Rosji i Białorusi. Gdyby je otrzymała, to zajmowałaby miejsce w czołowej dziesiątce.

Podopiecznej trenera Tomasa Wiktorowskiego przede wszystkim zabrakło w niedzielę regularności. Świątek miała bardzo dobre momenty,

ale przeplatała je okresami bezsilności wobec rywalki, a czasem także prostymi błędami.

– Czułam presję i bardziej chciałam nie przegrać niż wygrać. Próbowaliśmy ją (Rybakinę) trochę spowolnić, ale w wymianie na mojej części kortu wszystko szło opornie. Każdy punkt wyrывałam z trudem, ponieważ nie miałam pierwszego serwisu. To było trudne. Ale na pewno muszę popracować nad myśleniem i walczyć trochę więcej, tak jak w zeszłym sezonie. Myślę, że to jest najważniejsza rzecz, nad którą muszę popracować w ciągu najbliższych kilku tygodni. Ostatnie dwa tygodnie były dla mnie dość ciężkie. Dzisiaj poczułam, że nie miałam siły, aby więcej walczyć. Naprawdę czuję, że zrobiłem krok w tył, jeśli chodzi o podejście do tych turniejów. Teraz potrzebuję czasu na reset – przyznała zawodniczka Polka.

– Kiedy grasz przeciwko numerowi jeden, to naprawdę nie masz nic do stracenia. Wiedziałem, że muszę być agresywna i atakować od pierwszej piłki, bo Iga świetnie się rusza po korcie i dobrze broni. Próbowaliśmy narzucić swoje warunki i chyba



– Nie tak wyobrażała sobie swój udział w Australian Open pierwsza rakieta świata – Iga Świątek

niezle to zadziało – nie kryła radości Rybakina.

„Niespodzianka w Melbourne”, „Zaskoczona faworytka”, „Mistrzyni Wimbledonu lepsza od liderki rankingu” – to tylko niektóre tytuły światowych mediów po porażce Igi.

Fachowy portal tennis.com zaznaczył, że Rybakina przerwała serię 10 zwycięskich meczów Polki w Wielkim Szlemie, ale zauważył też, że często miała ona już kłopoty właśnie w 1/8 finału. W 16. starcie w najbardziej prestiżowych imprezach Świątek po raz szósty zatrzymała się na tym etapie zmagania, a w zeszłym roku w drodze po triumf we French Open i US Open w 1/8 finału toczyła trzysetowe boje.

Świątek nie prezentowała w niedzielę typowych dla siebie walorów, ale z drugiej strony trafiła na dobrze dysponowaną rywalkę, jedną z niewielu, które mogły jej rzucić wyzwanie w tegorocznym Australian Open.

„Rybakina rozbroiła wszystkie atuty Świątek i wygrała w niespełna 90 minut, nie dając rywalce czasu, by ta znalazła właściwą tego dnia receptę

na odwrócenie losów spotkania” – podkreślono.

26-letni Hurkacz, który wyszedł na kort Rod Laver Arena tuż po meczu Igi, podzielił jej los i również nie zdołał awansować do ćwierćfinału Australian Open. „Hubi” przegrał z Amerykaninem czeskiego pochodzenia Sebastianem Kordą 6:3, 3:6, 2:6, 6:1, 6:7(7).

O losach spotkania, które trwały 3 godziny i 29 minut, zdecydował super tie-break. Nieprawdopodobną próbę nerwów w końcówce meczu lepiej wytrzymał o 4 lata młodszy Korda.

– Mam przesąd dotyczący ręczników (śmiech). Ręcznik mi pomógł. Wziąłem go i zdobyłem punkt. Więc brałem go cały czas – wyjął Sebastian.

W super tie-breaku najpierw prowadził Polak 3-1, następnie Korda 7-3. „Hubi” zdołał wyrównać, lecz przegrał 3 ostatnie piłki, super tie-break 7-10, seta 6:7 i cały mecz 2:3.

Mimo porażki Hurkacz zanotował najlepszy wynik w karierze, jeśli chodzi o występy w Australian Open, gdyż nigdy wcześniej nie znalazł się w czwartej rundzie turnieju. ©©

AKCJA SPECJALNA Z PODWÓRKA NA STADION O PUCHAR TYMBARKU

Od Sławy do Warszawy. W Turnieju „Z Podwórka na Stadion o Puchar Tymbarku” gra się w każdym zakątku Polski. Trwają zapisy do XXIII edycji

Turniej „Z Podwórka na Stadion o Puchar Tymbarku” udowadnia, że miejsce, z którego pochodzisz, nie ma w sporcie żadnego znaczenia. Droga od etapów lokalnych, podczas których mecze rozgrywane są w 95% powiatów w Polsce, aż do finału na stadionie PGE Narodowym, może pokonać każdy, kto ma w sobie pasję do piłki nożnej. Udowodnił to m.in. chłopcy z Przechlewa czy dziewczynki ze Sławy – uczestnicy finałów ogólnopolskich ubiegłorocznego Turnieju. Zapisy do XXIII edycji trwają do końca stycznia.

Wymienione drużyny to tylko kilka z tysięcy zespołów, które rywalizowały w 2022 roku w Turnieju „Z Podwórka na Stadion o Puchar Tymbarku”. Rozgrywki są największym Turniejem dla dzieci w Europie. Udział jest całkowicie bezpłatny, a dzięki otwartemu charakterowi zapisów, do zabawy dołączyć może każda chętna, szkolna drużyna. Kiedy trwają etapy gminne i powiatowe, piłkarskie emocje ogarniają niemal całą Polskę.

Dobra zabawa na pierwszym miejscu

Co roku w finałach ogólnopolskich, obok zespołów z dużych miast, gdzie dostępna jest

rozbudowana infrastruktura i wiele opcji piłkarskiego rozwoju, meldują się także drużyny z mniejszych ośrodków. Takich, w których możliwości są mniejsze, ale nie mniejsza jest miłość do futbolu.

– Mówi się o nas, że tutaj bociąmy zawracają, bo jesteśmy wioską, która znajduje się przed samą granicą czeską – żartuje Edward Tasior, trener drużyny Dragona Miskowice. Jego zespół w minionej edycji dotarł do finału wojewódzkiego woj. dolnośląskiego, ale w przeszłości prowadzone przez trenera Tasiora dzieci rywalizowały również w finałach ogólnopolskich w Warszawie. Tak było choćby w 2016 roku. Jego drużynom udało się dotrzeć na stadion PGE Narodowy pomimo nieoczywistych, codziennych problemów. – Nie mamy żadnego ośrodka treningowego, hali czy balonu. Trenujemy, gdy pozwoli na to pogoda. Walczę o ty, by powstał chociaż kontener, w którym dzieciaki mogłyby się przebrać. 5-6 lat temu, gdy likwidowali ośrodek w Lubawce, jeden taki kontener kupiłem za własne pieniądze i jest on dla dziewczynek. Reszta dzieciaków w przebiera się tam, gdzie seniorzy – dodaje trener Tasior.

Do ubiegłorocznego finału ogólnopolskiego zakwalifikowali się także chłopcy ze Szkoły Podstawowej z Przechlewa –



liczącej 3000 mieszkańców wsi w województwie pomorskim.

– Dla nas już awans do finałów wojewódzkich był ogromną przygodą – mówi trener zespołu z Przechlewa, Krystian Stanios. – Pojechalismy do Gdańska na finał wojewódzki i mierzyliśmy z najlepszymi drużynami w regionie, choć... zaczęliśmy od porażki z inną drużyną z niewielkiej wsi. Potem spotkaliśmy się z drużynami, które wiodą w województwie prym pod kątem szkolenia, czyli Jaguarem Gdańsk, Lechią Gdańsk czy Arką Gdynia. I wygraliśmy z nimi!

Jak podkreśla trener Stanios, podczas gry w Turnieju nie nakładał na dzieci żadnej presji. Najważniejsze było przeżycie przygody i nikt nie zakładał,

że jego szkole uda się wygrać etap wojewódzki. Podobne podejście miał podczas wyjazdu na finały do Warszawy, choć, jak przyznaje, dla chłopców było to naprawdę duże przeżycie.

– Trafiliśmy do grupy między innymi z SMS Łódź. Szkołę Marcina Gortata czy Żurii Olsztyn. Pierwszego dnia przegraliśmy wszystkie mecze, ale razem z drugim trenerem zmotywaliśmy chłopców do gry następnego dnia. W efekcie pokonaliśmy każdego przeciwnika i zostaliśmy dziewiątą drużyną w Polsce w naszej kategorii – opowiada trener Stanios.

Z Podwórka na Stadion - historia prawdziwa

Podobną drogę do ekipy z Przechlewa przeszły dziewczynki ze Szkoły Podstawowej w Sławie,

które w czerwcowym finale w Warszawie zajęły 7. miejsce w kategorii U10. Co ciekawe, na początku Turnieju zespół... prawie nie zebrał się do gry.

– Na etap powiatowy pojechalismy w sześć osób – przyznaje Marek Szafer, trener drużyny. W jego zespole znalazło się wprawdzie kilka zawodniczek, które trenowały piłkę w klubach (w zespołach chłopców), ale nie brakowało również takich, dla których udział w Turnieju był pierwszą przygodą z piłką nożną. – Dopiero po etapie powiatowym zaczęliśmy poszukiwania uzupełniające. W klasach 1-3 znaleźliśmy dziewczynki, które na lekcjach wychowania fizycznego grały w piłkę z chłopakami i zaprosiliśmy je do gry. Naszą bramkarką została dziewczynka, która nigdy nie grała w piłkę. Potrafiła dobrze łapać, bo lubiła grać w dwa ognie. To dopiero prawdziwa historia z podwórka na stadion – uśmiecha się trener Szafer.

Siłą Turnieju „Z Podwórka na Stadion o Puchar Tymbarku” jest to, że każdy może wziąć w nim udział. Jak podkreśla trener Szafer, jego zespoły z pewnością będą brały udział w kolejnych edycjach. Przede wszystkim z powodu korzyści, jakie gra w rozgrywkach daje dzieciom. – Dla nich to duże wydarzenie, a wyjazd na fi-

nały ogólnopolskie to wręcz pierwszy wyjazd integracyjny w życiu. 10-latki wspólnie jedzą śniadanie, przygotowują się do wyjścia. To dla nich naprawdę wielka nauka.

Ostatnie dni, by zapisać drużynę
W tym roku do rywalizacji w Turnieju „Z Podwórka na Stadion o Puchar Tymbarku” mogą przystąpić wyłącznie drużyny szkolne, dziewcząt i chłopców, w trzech kategoriach wiekowych: do 8, 10 i 12 lat. Zapisy trwają do 31 stycznia 2023 r. na stronie internetowej: <http://www.zpodworkanastadion.pl>, na której dostępny będzie także szczegółowy harmonogram rozgrywek. Pierwszy etap rywalizacji najmłodszych piłkarzy i piłkarki rozpoczyna w marcu 2023 r. Mecze finałowe odbędą się w czerwcu na stadionie PGE Narodowym. ***

O Turnieju: Turniej „Z Podwórka na Stadion o Puchar Tymbarku” organizowany jest przez PZPN od 23 lat. Od 2007, Sponsorem Głównym Turnieju jest marka Tymbark. Turniej jest jedną z najszybciej rozwijających się inicjatyw Grassroots w Polsce, oraz jest największym w Europie wydarzeniem piłkarskim dla dzieci w trzech kategoriach wiekowych: do lat 8, 10 i 12. Więcej informacji na stronie rozgrywek: www.zpodworkanastadion.pl

Piłka nożna Wspominamy zmarłego niedawno byłego reprezentanta Polski

Andrzej Iwan. Ogrywał obrońców, przegrywał z własnymi demonami

Jerzy Filipiuk
jerzy.filipiuk@polskapress.pl

Życie i kariera Andrzeja Iwana były pełne przeciwieństw: radości i smutku, sukcesów i porażek. Piłkarz Wisły Kraków, Górnika Zabrze i reprezentacji Polski zmarł 27 grudnia 2022 roku, mając 63 lata.

Czterokrotnie zdobył mistrzostwo Polski i tyleż razy próbował odebrać sobie życie. Zagrał na dwóch mundialach, a dwie dekady później w czasie mistrzostw świata przebywał w szpitalu psychiatrycznym.

W Arisie Saloniki w ciągu dwóch lat zarobił 800 tys. marek, a w Warszawie w trzy dni przegrał w kasynie ponad 100 tys. dolarów. Słynął z boiskowej egzekucji, a sam wpędzał się w sidła życiowej destrukcji. Grał na największych stadionach i wydawał w areszcie wojskowym, był w eleganckich lokalach i czyścił kible w pace.

Był uwielbiany przez kibiców, szanowany przez dziennikarzy, chwalony przez trenerów, ale sprawiał ból swym najbliższym. Miał trzeźwe spojrzenie na futbol, a zatracił się w pijackich eskapadach. Umiał jak mało kto dostrzec talent u innego gracza, a swój marnował w bezsensowny sposób. Ogrywał najlepszych obrońców i bramkarzy, a przegrywał z własnymi demonami.

„Jestem przygotowany na wszystko. Nie zbieram za świadczeń z zakładów pracy, bo wiem, że nie dożyję wieku emerytalnego. W ten czy inny sposób już mnie nie będzie” – przekonywał w swej przerażająco szczerej biografii „Spalony”, napisanej przez Krzysztofa Stanowskiego i wydanej w 2012 roku. Rzeczywiście, nie doczekał emerytury, odszedł 10 lat później.

Boiskowy brylant

Andrzej Iwan był jednym z najlepszych piłkarzy w historii Wisły Kraków, jednym z największych talentów w dziejach polskiego futbolu. Choć nie osiągnął tyle, co wielu dużo bardziej utytułowanych graczy, nikt nie zaprzecza jego boiskowej wielkości.

Był jednym z może pięciu najlepszych piłkarzy, z jakimi miałem przyjemność grać i trenować. A grałem między innymi z Włodzimierzem Lubańskim, Grzegorzem Latą, Kazimierzem Deyną. Jako piłkarz umiał



Andrzej Iwan, legenda Wisły Kraków, rozegrał 29 meczów w reprezentacji Polski

wszystko: grać prawą i lewą nogą, przy niedużym wzroście także głową, miał dobry przegląd pola. Był zbliżony do ideału kompletnego zawodnika – wspomina byłego kolegę z Wisły i reprezentacji Zdzisław Kapka, dziś wiceprezes Małopolskiego Związku Piłki Nożnej.

– Jako piłkarz był charakterny, nieprzeciętnie utalentowany, świetnie wyszkolony technicznie, dynamiczny, biorący boiskowe zadania w swoje ręce – dodaje inny kumpel Iwana z krakowskiego klubu i drużyny narodowej Marek Kusto.

– Nie grałem z nim długo, ale mogę powiedzieć, że piłkarzem był bardzo dobrym, jednym z czołowych napastników ligi, podporą Wisły. Miał pecha, że na mundialu w 1982 roku złapał kontuzję i wypadł ze składu – zaznacza 100-krotny reprezentant Polski, były prezes PZPN Grzegorz Lato.

– Był najlepszym piłkarzem, jakiego w życiu trenowałem. Przed mistrzostwami świata w Argentynie zajmowałem się bramkarzami kadry u Jacka Gmocha. Na zgrupowaniu widziałem, że rodzi się talent dużej klasy. Na mundialu dużo sobie nie pograł, ale zawsze go ceniłem – wyznaje były piłkarz Górnika Zabrze i reprezentacji Hubert Kostka.

„Gumiok” na salonach

Do Wisły Iwan trafił z Wandy Kraków, której był wychowankiem i w której futbolowej sztuki uczył go niezapomniany wychowawca wielu piłkarzy Marian Pomorski. „Gumiok” z Nowej Huty w pierwszej drużynie „Białej Gwiazdy” zadebiutował, mając niespełna 17 lat. Wiślackie po-

czątki nie były jednak usłane tylko różami...

– Pamiętam jego przyjście do Wisły, pojawienie się w pierwszym zespole. Trenowaliśmy na podmokłym boisku po roztopach. Andrzej co przyjął piłkę, to się przewracał. Śmiałyśmy się, kogo nam tu przysłał. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że miał tremę i... złe obuwie. Szybko jednak przekonaliśmy się, że posiadał wysokie umiejętności – wspomina były wiślak Henryk Szymanowski.

Idodaje: – Andrzej miał szczęście, bo trafił do drużyny, w której grali reprezentanci Polski, jak mój brat Antoni, Adam Musiał, Zdzisław Kapka, Kazimierz Kmiecik czy Marek Kusto. Przy tej klasy piłkarzach mógł się rozwijać. A przecież grali w niej także inni młodzi, utalentowani zawodnicy: Krzysztof Budka, Piotr Skrobowski, Adam Nawalka, Leszek Lipka. To były fajne czasy...

Iwan z Wisłą zdobył mistrzostwo Polski w 1978 roku. Tytułów on i jego koledzy mogli mieć więcej, ale nie byli wzorami profesjonalizmu.

– W Wiśle była grupa zabawa. Gdyby wszyscy zachowywali się tak, jak trzeba było, zdobylibyśmy mistrzostwo Polski nie tylko raz. Byliśmy jednak młodzi, rozrywkowi – przyznaje starszy z braci Szymanowskich.

Mógł osiągnąć dużo więcej

W Wiśle Iwan spędził dziecięce lata, w Górniku Zabrze grał trzy razy krócej, ale to w tym klubie aż trzykrotnie sięgnął po tytuł mistrza Polski. Na Śląsk trafił w nietypowych okolicznościach.

– Gdy został zawieszony przez Wisłę, wysłałem kierownika naszej drużyny Edwarda Sochę, żeby go ściągnął do Górnika – opowiada Kostka. – Andrzej był nieprzygotowany do sezonu, ale wiedziałem, że jeśli mi się uda go „naprawić” fizycznie, będzie naszym wzmocnieniem. I tak się stało. Górnik był mistrzem Polski, jednak szukaliśmy indywidualności. Trafił do nas wtedy także Jan Urban.

W zabrzańskim klubie Iwan zapracował na miano Piłkarza Roku w Polsce (1987) w plebiscytach „Piłki Nożnej” i „Sportu”. Po rozstaniu z Górnikiem (potem dwukrotnie do niego na krótko wrócił) grał w Niemczech (VfL Bochum), Grecji (Aris Saloniki) i Szwajcarii (w mało znanych klubach). Zawodniczą karierę zakończył w Polsce na obrzeżach wielkiej piłki.

W 1978 roku był najmłodszym uczestnikiem mundialu, w 1980 roku najlepszym strzelcem europejskich reprezentacji, w 1982 roku srebrnym medalistą MŚ, jednak w kadrze nie wykorzystał swego wielkiego potencjału. Z pewnością mógł osiągnąć dużo więcej.

– Znałem Andrzeja od 16. roku życia. Podpatrywałem go na treningach, widziałem, co potrafi zrobić z piłką. Byłem ciekaw, jak potoczy się jego kariera. Nie do końca wykorzystał swój potencjał, choć moim zdaniem nie było od niego lepszego piłkarza z roczników 1958-1959, może poza Mirosławem Okońskim. Kontuzje i różne problemy wyhamowały jego karierę – twierdzi inny kolega Iwana z drużyny „Białej Gwiazdy” Marek Motyka.

Poza boiskiem dusza towarzystwa

Futbolową przygodę Iwan kontynuował najpierw jako trener (pierwszy lub asystent) w ukochanej Wiśle, a także w Zagłębiu Lubin i Okocimskim Brzesko, potem jako komentator sportowy i ekspert piłkarski, dyrektor sportowy Wieczystej Kraków (choć wolał określenie – doradca klubowy) oraz – krótko – w roli skauta w Wiśle.

Poza boiskiem był uważany za duszę towarzystwa, człowieka lubianego chyba przez wszystkich. I choć niektórzy byli obrażeni za jego bezkompromisowe komentarze na temat kolegów z Wisły, Górnika i reprezentacji, dziś z trudem przyjmują wieści o jego śmierci i wyznają, jak świetnego kompana stracili.

– Był moim przyjacielem, bardzo dobrym kolegą. Miał taki

Pogrzeb Andrzeja Iwana odbył się 5 stycznia 2023 roku na Prądniku Czerwonym (cmentarz Batowicki) w Krakowie. Piłkarza pożegnały tłumy

charakter, że dawał się lubić – podkreśla Kusto.

– Podcięło mi nogi, gdy się dowiedziałem o śmierci Andrzeja. Nadal jestem otumaniony tym strasznym faktem. Byliśmy kumplami z krwi i kości. Odszedł wspaniały piłkarz, kolega, kumpel z charyzmą – mówi były piłkarz Cracovii Andrzej Turecki.

– Poza boiskiem był osobą bardzo błyskotliwą, inteligentną, z poczuciem humoru, o niesamowitej pamięci i wiedzy; w normalnych sytuacjach człowiekiem do rany przyłóż – przekonuje Kapka.

– Bardzo lubiłem Andrzeja. Był szczerym, oddanym chłopakiem, dobrym serdecznym kolegą. Był lubiany w zespole, bo dobrze grał w piłkę. Z czasem stał się topowym zawodnikiem. Był pomocny dla innych, potrafił zachęcać do pracy – podkreśla Henryk Szymanowski.

– Jestem totalnie przybity śmiercią Andrzeja. Był to człowiek, którego darzyłem sympatią. Wielki gawędziarz, lubił opowiadać różne historie, spotykać się z innymi ludźmi. Kibice go kochali, lubili przebywać w jego towarzystwie – dodaje Motyka.

Nie przestawał myśleć o śmierci

Iwan już jako dziecko lubił psoty, bójki, draki. Nie zmienił się jako piłkarz, wywołując afery i skandale, z najsłynniejszym na czele, w nowohuckiej restauracji „Stylowa”, gdzie w pijackiej furii chciał dorwać wyśmiewającą go kelnerkę, a potem „spalowany” przez zomowców, po uwolnieniu z kajdanek, ciężko pobił dwóch milicjantów, za co ponownie został skatowany. Do latki alkoholika i awanturnika doszło miano przegrywającego hazardzisty. Nie bał się nikogo i niczego, ale dopadały go demony. Te najstraszniejsze.

Przeżył cztery próby samobójcze, pierwszą w 2008 roku, ostatnią w ubiegłym roku. Nie pomogła żyletka, potem tabletki... Pił na umór, trafił do więzienia za kilkuletnie znęcanie się nad żoną. I nie przestawał myśleć o śmierci.

– Nie był pierwszym człowiekiem, który miał tak poważne problemy. Jeden potrafił się z tym uporać, drugi nie. To indywidualna sprawa. Nie ma na to jednego lekarstwa. Andrzej nie miał recepty na to, co go dręczyło – przekonuje Turecki.

– Gdy dopadały go demony, miał problemy. Wiele osób starało się mu pomóc, chodził na terapię, jednak nie mógł sobie poradzić z samym sobą – zaznacza Kapka.

– Nie spodziewałem się, że tak szybko się z nami pożegna – mówi Motyka. – Wydawało się, że ostatnio u niego wszystko było dobrze. Żał mi jego rodziny. Miał fantastyczną żonę, syna (Bartek też był piłkarzem, a następnie trenerem – przyp.), córkę i wnuczkę, którą uwielbiał. Wiele razy mówiłem mu, żeby dał sobie spokój z alkoholem, ale trudno było go przekonać. Mówił, że bez alkoholu nie da sobie rady. Moje słowa trafiały w próżnię. A mógł sobie spokojnie żyć, pracować w Wieczystej lub Wiśle, albo jako komentator, bo kochał oceniać piłkarzy, oglądać mecze.

– Ostatni raz widziałem Andrzeja na pogrzebie Janusza Adamczyka na Salwatorze w 2018 roku. Niestety, dawna wiślacka drużyna kompletuje się nam na tamtym świecie: Stanisław Gonet, Janusz Krupiński, Adam Musiał, Janusz Adamczyk, Andrzej Iwan... – konstatuje Szymanowski.

©

Lekkoatletyka Prezes PZLA Henryk Olszewski liczy na dobry rok pod względem sportowym i organizacyjnym

Polska chce wykorzystać swoją markę

Maciej Gach (PAP)
redakcja@polskapress.pl

- Myślę, że w mistrzostwach świata w Budapeszcie wypadniemy lepiej niż w Eugene - uważa prezes Polskiego Związku Lekkiej Atletyki Henryk Olszewski.

Olszewski podsumował ostatnie 12 miesięcy i opowiedział o planach na 2023 rok. - Chciałbym podkreślić, że w 2022 roku padło siedem rekordów Polski, na czele z rekordem Ewy Swobody na 60 metrów (6,99 - PAP), który jest 10. wynikiem na świecie w hali. Poraz pierwszy w Polsce złamano siedem sekund - przypomniał.

Pozostałe rekordy zostały ustanowione przez Katarzynę Zdziebro (chód na 20 km - 1:27:31 i 35 km - 2:40:03), Damiana Czykiera (110 m ppł - 13,25), Adrianę Sułek (siedmiobój - 6672) oraz kobietą i męską sztafetę 4x100 m (odpowiednio 42,61 i 38,15).

W zeszłym roku w Polsce pierwszy raz w historii odbył się mityng Diamentowej Ligi. Do prestiżowego cyklu włączono

Memoriał Kamili Skolimowskiej, odbywający się na Stadionie Śląskim w Chorzowie. Federacja światowa (World Athletics) zdecydowała, że Chorzów będzie organizował tę imprezę przez najbliższe pięć lat.

- Organizacja mityngu Diamond League była bardzo ważnym wydarzeniem. Fakt, że ta impreza zagościła w naszym kraju jest wykładnikiem siły polskiej lekkoatletyki, zaufania do naszego kraju i PZLA. Będziemy organizować te zawody przez najbliższe pięć lat. Będzie to najważniejszy mityng w Polsce, w którym będzie można obejrzeć największe światowe sławy - zaznaczył szef związku. - W tej chwili mamy bardzo dobrą markę w świecie i trzeba to wykorzystać.

Najważniejszymi halowymi mityngami odbywającymi się w Polsce będą Orlen Cup w Łodzi (4 lutego) i Copernicus Cup w Toruniu (8 lutego). Główną imprezą sezonu halowego są mistrzostwa Europy w Sztambule (2-5 marca). Zostaną one poprzedzone mistrzostwami kraju w Toruniu



FOT. PAWEŁ RELIKOWSKI

W 2022 roku polskie lekkoatletki dostarczyły kibicom niezapomnianych wrażeń

(18-19 lutego). Mistrzostwa Polski w sezonie letnim odbędą się w Gorzowie Wlkp. w dniach 27-29 czerwca. Wcześniej (20-25 czerwca) Stadion Śląski ugości Drużynowe Mistrzostwa Europy. Do Chorzowa zawita cała grupa reprezentacji stowarzyszonych w European Athletics.

- Drużynowe ME będą rozgrywane w ramach Igrzysk Europejskich. Ta impreza jest jednocześnie kwalifikacją do igrzysk olimpijskich, dlatego wystawimy możliwie najmocniejszy skład. Wszyscy zawodnicy będą chcieli mieć pewność startu. Nie wszy-

scy spełnią minima kwalifikacyjne, natomiast jest też ranking, dzięki któremu można się zakwalifikować - tłumaczył prezes.

Mityng Diamentowej Ligi w Chorzowie odbędzie się 16 lipca. Najważniejszą lekkoatletyczną imprezą 2023 roku będą mistrzostwa świata w Budapeszcie (19-27 sierpnia).

- Na pewno te mistrzostwa będą łatwiejsze ze względu na aklimatyzację i logistykę. Z polskich zgrupowań będzie można tam przyjechać bezpośrednio nawet prywatnym samochodem. To duże ułatwienie. Mistrzostwa będą również tańsze, bo odpadną obozy aklimatyzacyjne - zaznaczył Olszewski.

W ubiegłorocznych MŚ w amerykańskim Eugene Białoczerwoni wywalczyli cztery medale. Dwa z nich zdobyła Katarzyna Zdziebro (srebro w chodzie na 20 i 35 km), a oba pozostałe młociarze - złoto Paweł Fajdek i srebro Wojciech Nowicki.

Reprezentanci Polski lepiej spisali się w sierpniowych ME w Monachium, gdzie 14 razy stąpali na podium. Wywalczyli trzy

złote, sześć srebrnych i pięć brązowych medali. Rewelacją imprezy okazała się 21-letnia Pia Skrzyszowska, która została mistrzynią Europy na 100 m przez płotki i dołożyła do tego srebra w sztafecie 4x100 m.

W zeszłym roku z dobrej strony zaprezentowała się też Natalia Kaczmarek, która dwukrotnie zeszła poniżej 50 sekund na 400 m. W ME wywalczyła srebro w biegu indywidualnym i sztafecie 4x400 m. - Ubiegły sezon był bardzo trudny. Trzeba było przygotować dwa szczyty formy. W Eugene Kaczmarek przeszła chorobę i nie sprawdziła się tam do końca ze względu na stan zdrowia. Natomiast świetnie wypadła w Monachium - wspominał Olszewski.

24-letnia Kaczmarek jest obecnie najmocniejszym punktem sztafety, której trzon cały czas stanowią bardziej doświadczone zawodniczki: Justyna Święty-Ersetic, Iga Baumgart-Witan czy Anna Kielbasińska. - Poziom w biegach na 400 m kobiet znacząco się podniósł w ostatnich latach i jest teraz niebo-

tyczny. U nas jednak rosną następczyni, choć rotacja szybciej następuje w sprincie - tłumaczył Olszewski.

Prezes PZLA wyraził też nadzieję, że pomimo upływu czasu Fajdek i Nowicki wciąż będą dominować w rzucie młotem, ale zwrócił uwagę na konieczność poszukiwania następców. - Wiek robi swoje. W damskim młocie pokazała się młoda Ewa Różańska, która zdobyła medal w swoim debiucie w ME, a przedtem nie miała żadnych sukcesów w mistrzostwach młodzieżowych. To był jej pierwszy start w imprezie seniorskiej. U mężczyzn nie widać jeszcze wyraźnych następców - nadmieniał.

W listopadzie trenerem polskiej kadry chodźarzy został czterokrotny mistrz olimpijski - Robert Korzeniowski. - Nie znam jeszcze Roberta jako trenera. To jego pierwsza oficjalna praca szkoleniowa. Zobaczmy, jak to się sprawdzi. Podpisywałem kontrakt z Robertem z nadzieją, że polski chód pójdzie do przodu - podsumował Olszewski.

©P

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 94 347 35 12
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń

Nieruchomości

MIESZKANIA DO WYNAJĘCIA

KAWALERKA, 602-458-895.

POKÓJ w domu, 784-221-089.

GARAŻE

0010706799

GARAŻE Błazane
BRAMY Garażowe
KOJCIE dla Psów

Najniższe CENY
Różne wymiary
Transport cały kraj
Montaż GRATIS

Dogodne RATY

94-318-80-02 91-311-11-94
58-588-36-02 95-737-63-39
59-727-30-74 512-853-323

www.konstal-garaze.pl

POŚREDNICTWO

0015705120

OMEGA
WYCENY
OBRÓT

ŚLUPSK, UL. STARZYŃSKIEGO 11
tel. 59 841 44 20;
601 654 572;
www.nieruchomosci.slupsk.pl
omega@nieruchomosci.slupsk.pl

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

A do Z skup-skupujemy każde pojazdy, płacimy nawet za wraki, oferujemy najwyższe ceny, 536079721

AUTO skup wszystkie 695-640-611

USŁUGI

KONSERWACJA, spawanie
883080883.

Praca

ZATRUDNIĘ

EUROKOMFORT SP. Z O.O. zatrudni kierownika lub majstra budowy, cieśle, murarza, Niemcy, tel. 533-888-394

NIEMCY: murarz, hydraulik, elektryk, ślusarz, spawacz, cieśla: 730011300

TOKARZY, również emerytów i rencistów. Włynkówko, 694108697.

WORK CENTRE (KRAZ 7098)
- Praca w Holandii (od zaraz)!
Tel. 77/441-06-54, 533-155-868,
739-230-594, 533-966-678,
533-111-037, 519-138-005 www.
workcentre.com.pl

0015711153



Wyjeżdź jako opiekunka do Niemiec i zarób nawet do 1900€ netto!

Zadzwoń!
+48 518 733 727

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek.
Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

INNE

ALKOHOLIZM - esperal 602-773-762

Usługi

AGD RTV FOTO

NAPRAWA RTV, wszystkie typy,
anteny, bezpłatny dojazd, tel.
94/3457461.

PRALKI naprawa w domu.
603775878

BUDOWLANO-REMONTOWE

CYKLINOWANIE bezpyłowe
884912222

POKRYCIA dachowe, Słupsk,
501942474

REMONTY od A do Z tel.660-683-933

PORZĄDKOWE

USŁUGI porządkowe, wycinka drzew,
rębak 697-782-596

Różne

ODBIÓR mobilny i demontaż złomu,
skup starych maszyn i urządzeń
697-782-596

STARE książki - skup 881-934-948

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny
rolne. Tel. 535135507.

Towarzyskie

ŚLÓDKA Asia, 663-092-135.

REKLAMA

0010724955

KOMUNIKAT

Firma Instalex sp.j. informuje,
że w związku z pracami drogowymi
w dniach **24-26 stycznia br. na ul. Sierpinka**
zamknięty będzie pas ruchu na odcinku ok. 40 m
w kierunku ul. Garncarskiej.

REKLAMA

0010724877

Zarząd Gminnego Towarzystwa Budownictwa Społecznego w Jezierzycach sp. z o.o.
ogłasza

nabór kandydatów zainteresowanych zawarciem umowy najmu lokalu mieszkalnego
dwupokojowego o pow. 45,30 m² w m. Siemianice, ul. Kasztanowa 12 (parter).
Planowane zasiedlenie 1.03.2023 r. z możliwością skrócenia.

Wnioski o przydział lokalu mieszkalnego należy składać w siedzibie GTBS, Jezierzycy,
ul. Kolejowa 5, 76-200 Słupsk, w terminie od dnia 23.01.2023 r. do dnia 3.02.2023 r.
Szczegółowe informacje znajdują się na stronie internetowej w Biuletynie Informacji Publicznej
http://www.bip.gtbs.slupsk.ug.gov.pl oraz www.gtbsjezierzycy.pl.
Tel. 59 841 06 40.

REKLAMA

0010724672

Spółdzielnia Mieszkaniowa „Korab” w Ustce, 76-270 Ustka
ul. Grunwaldzka 10, tel. /059/8144-081

informuje, że na stronie internetowej Spółdzielni www.smkorab.pl
zostały ogłoszone przetargi nieograniczone na:

1. Remont wewnętrznej instalacji gazowej (wraz z przeniesieniem pionów instalacyjnych/liczników gazowych na klatki schodowe) oraz na wymianę wewnętrznej instalacji wodociągowej (wody ciepłej, zimnej i cyrkulacji) oraz kanalizacji sanitarnej (do poziomu piwnic wraz z rewizjami) - w budynku mieszkalnym wielorodzinnym przy ul. Grunwaldzkiej 49 w Ustce.
2. Remont wewnętrznej instalacji gazowej oraz na wymianę wewnętrznej instalacji wodociągowej (wody ciepłej, zimnej i cyrkulacji) oraz kanalizacji sanitarnej (do poziomu piwnic wraz z rewizjami) - w budynku mieszkalnym wielorodzinnym przy ul. Grunwaldzkiej 51 w Ustce.

Termin składania ofert do dnia 16 lutego 2023 r. do godz. 10:00

Zainteresowanych zapraszamy do pobrania informacji o przetargu
oraz SIWZ ze strony Spółdzielni www.smkorab.pl

KRÓTKO

SŁUPSK

Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku zaprasza dzieci w wieku 7-15 lat na ferie zimowe. Zajęcia trwają od godziny 12 do 14 i kosztują 16 zł.

24 stycznia - Szable w dłoń. Warsztaty nawiązujące do wystawy czasowej „Broń biała Wojska Polskiego 1914-1945 ze zbiorów pilskich kolekcjonerów”. Uczestnicy poznają wzory historycznych szabel, po czym stworzą prototyp własnej szabli z sygnaturą. Zajęcia odbywają się w Zamku.

25 stycznia - Ja - reżyser. Spichrzowe opowieści. Warsztaty mają pokazać, jak przy użyciu aparatu fotograficznego, papieru, kredek i kleju stworzyć niepowtarzalny i oryginalny film poklatkowy. Zajęcia w Białym Spichlerzu.

26 stycznia - Czy to kukła, czy jawa? Wykonanie lalek teatralnych. Zajęcia w Białym Spichlerzu.

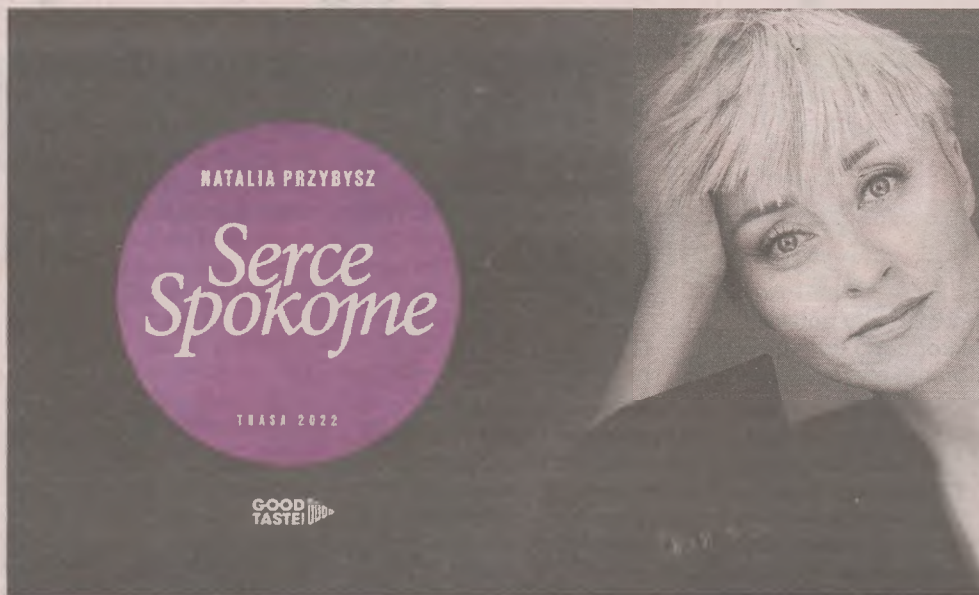
27 stycznia - Budujemy zamki. Uczestnicy zaprojektują i stworzą model własnego zamku. Do konstrukcji użyte zostaną odpady pozostające po wykorzystaniu różnych rzeczy. Zajęcia odbywają się w Zamku Książąt Pomorskich.

28 stycznia - Decoupage. Uczestnicy techniką decoupage przygotują i ozdobią drewniane i szklane przedmioty. Zajęcia w Białym Spichlerzu.

29 stycznia - Tajemnice zamku. „Gra terenowa” w Zamku Książąt Pomorskich. Zagadki i zadania na prezentowanych tam wystawach. Nie tylko dla stałych bywców Muzeum.

MARA

Piosenki, które utulą, ukoją i uspokoją



Natalia Przybysz jeździ po Polsce z koncertem „Serce spokojne”. Odwiedzi Szczecin jutro, 24 stycznia

Małgorzata Klimczak
Szczecin

Natalia Przybysz kontynuuje trasę koncertową „Serce spokojne” w kilkunastu miastach w Polsce. Wystąpi również w szczecińskiej filharmonii.

„Serce Spokojne” to utwór zamykający najnowszą płytę Natalii Przybysz - „Zaczynam się od miłości”. Album ten powstał do niezaspiewanych nigdy tekstów Kory. Znajdują się na nim też dwa w pełni autorskie utwory Przybysz i towarzyszących wokalistów muzyków. Jed-

nym z nich jest „Zew”, który stał się ulubioną piosenką wielu fanów artystki.

W ramach repertuaru trasy koncertowej „Serce spokojne” nie zabraknie „Deserów”, czyli ważnych dla zespołu Natalii Przybysz utworów Kory i Manam w odświeżonych aranżacjach. Będą to jednak zupełnie inne covery niż te, zagrane w pierwszej odsłonie trasy. Kryterium wyboru utworów było ukojenie i otulenie słuchaczy, którzy zdecydują się spędzić wieczory na koncertach zespołu.

- Chciałabym zaprosić was na wyjątkowe koncerty pod ty-

tułem „Serce Spokojne”. Będzie to zamknięcie mojej pracy z tekstami Kory, podziękowanie jej za tę przygodę i przywilej. Będziemy szukać ciepła w innych źródłach muzycznych niż podczas letnich koncertów. Naszym źródłem będzie bliskość - nasza i wasza oraz spokój płynący z tych piosenek, które obniżają ciśnienie, koją, tulą. Było dużo słońca a teraz będzie księżycowo i magicznie. Już tęsknię! - zaprasza Natalia Przybysz.

Koncert odbędzie się we wtorek, 24 stycznia, godz. 20, bilety 89-129 zł, filharmonia w Szczecinie. ©©

KRÓTKO

TEATR LALKI TĘCZA W SŁUPSKU

Masza i misio zabawią dzieci



W sobotę, 28 stycznia, Teatr Lalki Tęcza zaprasza na godzinę 11 na spektakl „Niedźwiedź i Masza, czyli gdzie moja kasza?”. Zabawna i wzruszająca historia przyjaźni dziewczynki i niedźwiedzia. Tekst na podstawie rosyjskich baśni napisała Marta Guśniewska. (MARA)

KOSZALIN

Kabaret i męska farsa

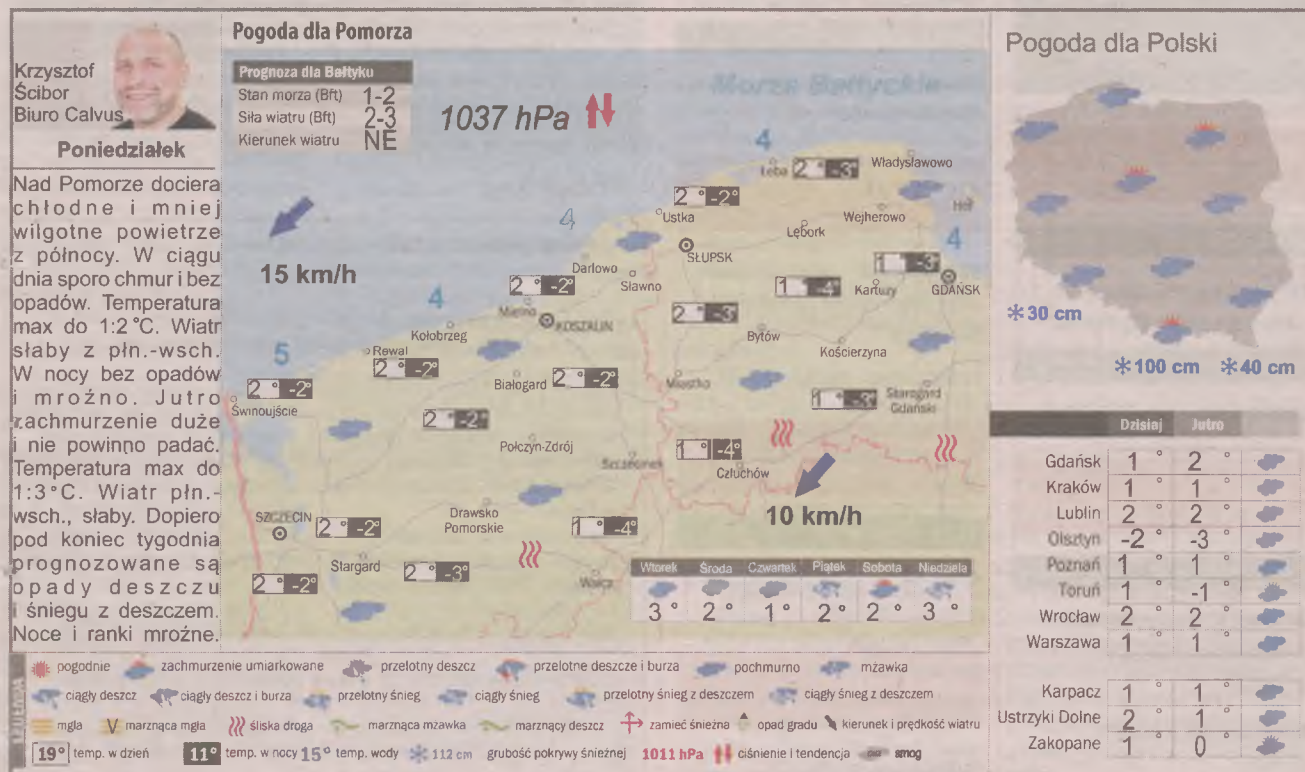
29 stycznia o godz. 16 w Centrum Kultury 105 bawić będzie Kabaret Skeczów Męczących. Satyrycy zaprezentują program „Polska misja komiczna”.

- Będziecie się śmiać, dziwić, czasem oburzać. Zobaczycie siebie, swoich sąsiadów, nasze społeczeństwo we wszystkich jego barwach. To misja komiczna na skalę naszych możliwości. Misja, która otwiera oczy niedowiarkom. Nasza, przez nas wykonana... i to nie

jest nasze ostatnie słowo - zapowiadają kabareciarze. Bilety od 110 zł.

29 stycznia o godz. 15.30 i 18.30 w Bałtyckim Teatrze Dramatycznym będzie można zobaczyć „Testosteron” - kultową komedię w teatralnej odsłonie. Tragikomiczna okoliczność, obsceniczne żarty i opary alkoholu sprowokują bohaterów do tzw. męskich przemyśleń o kobietach i własnej naturze. Bilety w cenie od 90 zł. (JCK)

POGODA



SZCZECIN

Idziemy na „Siwy dym”



Film „Siwy dym” to zapis performansu „ABC Re-aktywacja!”, przygotowanego przez pracowników Radia ABC - rozgłośni, która działała w Szczecinie w latach 1993-2005. Pozwala nie tylko przenieść się w czasie, ale też obrazuje energię lat 90., kiedy rodziły się wolna Polska i wolne media. Wszystko wydawało się wówczas możliwe.

Reżyserem filmu jest Jędrzej Niestrój. Dokument powstał dzięki pomysłowi i zaangażowaniu byłej dziennikarki ABC, a teraz producentki filmowej, Małgorzaty Olejniczak.

Będzie go można obejrzeć jutro, 24 stycznia, o godz. 18, w Muzeum Narodowym w Szczecinie - Centrum Dialogu Przełomy. Wstęp wolny. (MK)

na: Zycie jest walką. Krzyżówka z hasłem i
 krzyżowka panoramiczna: Dziadek, wiewka panoramic-
 zawodne, Jolka: pasterz. szyfr: "Kobieta na dachu", logoryf:
 "Nim wstanie dzień": krzyżówka A-Z: mianownik: szyfrogram:
 Nowość nie zawsze jest nowatorska.

Mam swój świat wewnętrzny i potrafię nim wypełnić całe moje życie

Maryla Rodowicz w Pomponiku Fot. Anna Kaczmarz



Z ŻYCIA GWIAZD

Manipulują Natalią Siwiec

Internauci śledzą tatuaże, które pojawiają się na ciele celebrytki. Większość z nich kojarzy się z symboliką sekty iluminatów. Jeden z fanów Siwiec zapytał więc ją, czy wierzy w jej istnienie. „Coś może być na rzeczy, ale co to dla mnie zmienia? Większość rzeczy na świecie to wielka manipulacja. Jesteśmy karmieni syfem” – odpowiedziała celebrytka.

Jessica Mercedes

wjechała skuterem do rowu. Celebrytka wybrała się z bratem na Bali. Tam uczestniczyła w lekcjach jogi. Pewnego dnia brat nie mógł jej na nie zawieźć, więc sama pojechała skuterem. Wyprawa skończyła się fatalnie: Mercedes wjechała skuterem do rowu. „Z kanału pomogło mi go wyciągnąć sześciu panów, zatrzymałam cały ruch” – napisała na Instagramie.

Piotr Gąsowski zgubił zakupy

Aktor miał przygodę w Miami. Zrobił zakupy w supermarkecie i kiedy wrócił do hotelu, okazało się, że zapomniał siatki. Pojechał więc do sklepu z nadzieją, że zakupy się znajdują. Niestety, nie było siatki. Kierowniczką sklepu okazała się życzliwa i pozwoliła aktorowi za darmo wziąć z półek wszystko, co miał w siatce. Kiedy Gąsowski wrócił do hotelu, okazało się, że zaginiona torba jest pod hotelem. Aktor pojechał więc z powrotem do sklepu i oddał drugie zakupy. Wszystko to nagrał i pokazał fanom. (GZL)

Fot. Szymon Starnawski



W TELEWIZJI



Skazana TVN 7, 20:00

Sędzia Alicja Mazur (Agata Kulesza), znana ze swojej surowości wobec przestępców, zostaje oskarżona o zabójstwo, którego nie popełniła i trafia do więzienia. Czy poradzi sobie z czyhającym zagrożeniem?

Teatr TV: Dom otwarty TVP 1, 21:05

Zorganizowany u państwa Żelskich bal staje się pretekstem do zaprezentowania różnych typów ludzkich, wyśmiania przywar, właściwych nie tylko mieszczańskiemu środowisku XIX-wiecznego Krakowa. W obsadzie m.in.: Marta Lipińska, Jerzy Kamas, Ewa Telega i Jan Peszek.

Peacemaker HBO, 21:10

Serialowy ciąg dalszy przygód bohatera, granego przez Johna Cenę w filmie „Legion samobójców – The Suicide Squad”, który gorąco wierzy w pokój i nie ma dla niego znaczenia, ile osób musi zginąć, by go utrzymać.

Młody Piłsudski TVP Polonia, 21:10

13-odcinkowy serial, którego bohaterem jest młody Józef Piłsudski (Grzegorz Otrębski) i jego najbliżsi przyjaciele – późniejsi premierzy i prezydenci. Akcja rozpoczyna się w 1887 roku, w momencie gdy dziesiętnastoletni Piłsudski zostaje aresztowany, a kończy się kiedy OB przeprowadza akcję pod Bezdanami w 1908 r. Piłsudski ma wtedy 40 lat.

KRZYŻÓWKA NR 12

Poziomo:

- 1) zespół znany z przeboju „Tacy sami”,
- 5) kamienny grobowiec w kształcie trumny,
- 9) harcerski lub sportowy,
- 10) ssak futerkowy, dydelf,
- 12) starogreckie zawody sportowe,
- 14) pantera śnieżna z gór Azji,
- 15) podstawowa lub średnia,
- 17) pierwiastek jak gigant, mocarz,
- 18) ochrania dłoń florecisty,
- 21) zestawienie z rubrykami,
- 23) John, komandos z filmów akcji,
- 28) „Pan Tadeusz” i „Lalka” w szkole,
- 29) wzorzysta, wielobarwna tkanina,
- 32) największy stan USA,
- 36) ryba słodkowodna spokrewniona z karpem,
- 37) niebieskie u ukochanej,
- 38) na rzece lub na skrzyżowaniu,
- 39) roni łzy z byle powodu, mazgaj,
- 40) chwilowa, szybko zmieniająca się ochota.

Pionowo:

- 1) niewielki, roślinożerny gryzoń ze Skandynawii,
- 2) Katarzyna, prezenterka telewizji Polsat,
- 3) nie krzywa i nie łamana,
- 4) wiklinowy – ustawiany na plaży,
- 5) atak wściekłości, furia,
- 6) punkt wymiany walut,
- 25) obóz pod gołym niebem,
- 26) bystry nurt górskiego potoku,
- 27) zagon obsiany trawą,
- 29) metal, składnik stopów,
- 30) zecerska szuflada z przegródkami na czcionki,
- 31) Zawisza Czarny z Garbowa,
- 33) pojedyńczy lub mnoga,
- 34) wiązanie wzdłuż kadłuba statku,
- 35) dowódca wojsk kozackich.



- 7) manekin medyczny,
- 8) cudzoziemiec w Meksyku,
- 11) pospolity chwast z rzepami,
- 13) uposażenie kapitana lub majora,
- 16) popularna turecka potrawa,
- 19) przestępstwo na dużą skalę,
- 20) w oponie nabiera powietrza,
- 22) król z filmu animowanego,
- 24) kotew – element budowlany konstrukcji,

- 25) obóz pod gołym niebem,
- 26) bystry nurt górskiego potoku,
- 27) zagon obsiany trawą,
- 29) metal, składnik stopów,
- 30) zecerska szuflada z przegródkami na czcionki,
- 31) Zawisza Czarny z Garbowa,
- 33) pojedyńczy lub mnoga,
- 34) wiązanie wzdłuż kadłuba statku,
- 35) dowódca wojsk kozackich.

ROZWIĄZANIE NR 11

S	P	W	I	E	L	K	A	W	O	D	A	R	Z
T	R	O	J	A	K	U	M	T	R	E	M	A	
R	R	T	E	L	I	M	E	N	A	L	N	P	
Z	M	O	W	A	O	R	S	I	E	R	O	T	A
E	Z	H	G	A	M	B	I	T	T	M	S		
P	R	E	P	A	R	A	T	M	A	R	A	K	A
U	A	E	O	R	K	A	U	O	E				
D	I	O	N	I	Z	O	S	M	A	S	Z	K	A
N	D	U								Z	O	I	
F	A	J	A	N	S					T	A	N	T
I	A	I								L	I	U	
S	U	K	C	E	S					E	K	S	C
Z	A	M								O	T	T	
K	O	L	K	O						W	I	A	T
A	A	C	H	U	S	T	E	C	Z	K	A	C	O

HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Horoskop dzienny zapowiada, że od Twojego zaangażowania będzie zależało powodzenie działań podejmowanych przez inne osoby.

Ryby (19.02 - 20.03)

Twoje propozycje będą padać na podatny grunt. Horoskop na dziś wróży, że niektóre osoby pozazdrozczą Ci kreatywności i pomysłowości.

Baran (21.03 - 19.04)

Horoskop dzienny na poniedziałek mówi, że cechować Cię będzie daleko posunięta nieufność wobec innych osób. Nawet bliskich...

Byk (20.04 - 20.05)

Nie unikniesz dzisiaj konieczności podjęcia się dodatkowych obowiązków. Horoskop dzienny wróży, że okupisz to sporym zmęczeniem.

Bliźnięta (21.05 - 21.06)

Ktoś opowie Ci o swoim problemie i poprosi o wsparcie. Horoskop na dziś wyraźnie zapowiada, że Twoja interwencja jest nieodzowna.

Rak (22.06 - 22.07)

Twoje życie wejdzie dzisiaj na wysokie obroty. Horoskop dzienny na poniedziałek mówi, że dużo osiągniesz. Postanowisz to jakoś uczcić.

Lew (23.07 - 22.08)

Nie marnuj czasu, jeśli zaważysz, że Twoje pomysły rozbijają się o mur obojętności. Horoskop dzienny radzi wrócić z nimi kiedy indziej.

Panna (23.08 - 22.09)

Będziesz świadkiem małej awantury. Horoskop na dziś to wyraźna wskazówka, by nie opowiadać się po żadnej ze stron toczącego się sporu.

Waga (23.09 - 22.10)

Nie wyciągaj wniosków na podstawie pierwszego wrażenia. Horoskop dzienny na poniedziałek ostrzega, że może to kogoś skrzywdzić.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Łatwo będzie można wyprowadzić Cię z równowagi. Horoskop dzienny zapowiada, że Twoje relacje z otoczeniem ulegną pogorszeniu.

Strzelec (22.11 - 21.12)

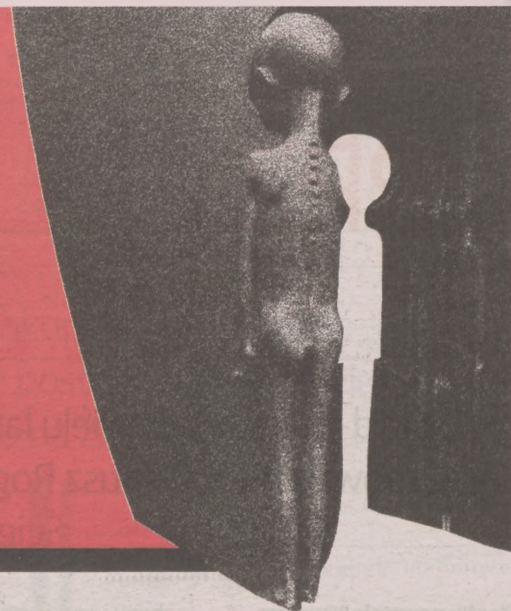
Trudno będzie zmotywować Cię do podjęcia się dodatkowych obowiązków. Horoskop na dziś zapowiada, że odmówisz nawet najbliższemu.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Ludzie będą uważnie słuchać tego, co masz do powiedzenia. Horoskop dzienny na poniedziałek wróży, że dla niektórych będziesz wyrocznią.

WOJENNE DZIECIŃSTWO

Martyrologa dzieci polskich pod okupacją niemiecką



WSTRZĄSAJĄCA OPOWIEŚĆ O GEHENNIE MŁODYCH POLAKÓW

DR KAROL NAWROCKI
PREZES INSTYTUTU PAMIĘCI
NARODOWEJ

Oddajemy w Państwa ręce dodatek historyczny opisujący losy polskich dzieci pod okupacją niemiecką w latach drugiej wojny światowej. Punktem wyjścia i tematem wiodącym jest dla nas 80. rocznica powstania w okupowanej Łodzi niemieckiego obozu dla polskich dzieci. Przeszedł on do historii pod nazwą „Obóz przy ulicy Przemysłowej”. Jego ponaddwuletnia historia to wstrząsająca opowieść o gehennie najmłodszych Polaków. Szalony i okrutny pomysł, by za kolczastymi drutami umieścić bezbronne dzieci.

U podstaw organizacji obozu leżało rasistowskie założenie o wyższości niemieckiej rasy i rzekoma konieczność odizolowania polskich dzieci przebywających w różnego typu placówkach opiekuńczych od niemieckich rówieśników. W obozie znaleźli się więc w pierwszej kolejności podopieczni zakładów poprawczych i sierocińców. Szybko jednak okazało się, że wojenna rzeczywistość wymusza nowe rozwiązania. Do obozu zaczęły trafiać dzieci, których wojna pozbawiła rodziców - np. aresztowanych bądź wywiezionych na roboty do Niemiec. Z czasem skierowanie do obozu stało się jednym ze sposobów represji - np. zaczęto umieszczać w nim potomstwo osób, które odmówiły podpisania volkslisty. Na Przemysłową można było także trafić za drobne wykroczenia - przy czym za takie uznawano jazdę bez biletu bądź „nielegalne” w pojęciu Niemców, próby zdobycia jedzenia. Wszystko to odbywało się na zasadzie administracyjnej decyzji, po-

**OFIARAMI BYŁY NIE TYLKO
DZIECI PODDANE EKSTERMINACJI I WYCIĘCZAJĄCEJ
PRACY, WYSIEDLANE,
ALE TAKŻE CI MAŁOLETNI
POLACY, KTÓRYCH
UMIESZCZONO
W NIEMIECKICH RODZINACH
Z ZAMIAREM GERMANIZACJI.**

dejmowanej najczęściej przez niemiecką policję - bez jakiegokolwiek możliwości odwołania, bez wyroku, na nieokreślony czas. W obozie dzieci znalazły się pod stałym nadzorem sadystycznych strażników i „wychowawców”. Upodabniało to bardzo ośrodek przy ul. Przemysłowej do niemieckich obozów koncentracyjnych.

Obóz istniał od początku grudnia 1942 r. do chwili wkroczenia do Łodzi Sowietów - 19 stycznia 1945 r. Z głodu, wycieńczenia i na skutek znęcania się przez nadzorców zmarło w nim blisko 200 polskich dzieci. Ich tragiczne losy wywołują coraz większe zainteresowanie nie tylko historyków, ale także publicystów i dziennikarzy.

Historycy z Instytutu Pamięci Narodowej porządkują wiedzę na temat obozu. Niestety, ustalenia te często były przemilczane, a do świadomości społecznej docierał najbardziej przejęskrawiony i nie zawsze prawdziwy przekaz zawarty w popularnych, emocjonalnych publikacjach.



Dr Karol Nawrocki, Prezes Instytutu Pamięci Narodowej

Dużą satysfakcją jest dla nas fakt, że przed miesiącem ukazała się naukowa monografia obozu wydana przez łódzki oddział IPN, a dzisiaj oddajemy do rąk czytelników dodatek prasowy poświęcony w znacznej mierze temu miejscu.

Z kolei dzięki staraniom prof. Piotra Glińskiego, wicepremiera, ministra kultury i dziedzictwa narodowego, w 2021 roku powstało w Łodzi Muzeum Dzieci Polskich - ofiar totalitaryzmu, którego zasadniczym celem jest kultywowanie pamięci o naj-

młodszych ofiarach niemieckich zbrodni.

Wojenne cierpienia dotyczyły w oczywisty sposób dzieci na wszystkich okupowanych terenach Rzeczypospolitej. Dlatego chcemy przybliżyć także inne tragiczne i okrutne karty historii, której głównymi ofiarami były dzieci i młodzież. Opisuujemy losy małoletnich więźniów innych obozów i więzień. Są wśród nich także takie, których udziałem nie była eksterminacja. Część z polskich dzieci trafiała do niemieckich rodzin, by zostać poddana germanizacji. Losu wielu z tych dzieci nie udało się wyjaśnić, nigdy nie wróciły do swoich rodziców. W Łodzi utworzono nawet obóz, w którym dokonywano selekcji najmłodszych Polaków w tym celu. Dziś opisujemy jego historię, w jednym z opublikowanych artykułów.

Osobnym, a zarazem najbardziej tragicznym z poruszanych tematów, są losy Dzieci Zamojszczyzny - ofiar masowych wysiedleń rozpoczętych przez Niemców w końcu listopada 1942 r. Ze 110 tys. wygnanych wówczas z Zamojszczyzny Polaków około 30 tys. stanowiły dzieci. Jedna trzecia z nich nie przeżyła koszmarnych warunków transportu i okrucieństwa strażników.

Warto zwrócić uwagę na pewien epizod. Gdy 3 lutego 1943 r. transport wycieńczonych dzieci dotarł do miejsca przeznaczenia w Siedlcach, mieszkańcy miasta, pomimo oczywistego strachu przed niemieckim terrorem, urządzili na znak protestu demonstracyjny pogrzeb ofiarom transportu. Pokazuje to ogromną wrażliwość na cierpienie tych najmłodszych i bezbronnych ofiar wojny, których losy dziś przypominamy.

HISTORIA DZIECI Z OBOZU PRZY UL. PRZEMYSŁOWEJ W ŁODZI NIE ZOSTAŁA ZAPOMNIANA

Wśród instytucji od wielu lat poszerzających naszą wiedzę na ten temat, jest również Instytut Pamięci Narodowej – mówi dr hab. Dariusz Rogut, prof. Akademii Sztuki Wojennej i dyrektor Instytutu Pamięci Narodowej – Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu Oddział w Łodzi

Zanim powstało Muzeum Dzieci Polskich – ofiar totalitaryzmu, IPN zdążył już – w 2017 r. – opracować cyfrową mapę obozu i zrekonstruował jego obiekty oraz przeanalizował materiały archiwalne z procesu obozowej nadzorczyńi – Eugenii Pol.

W 2002 r., czyli w 60. rocznicę przybycia do obozu pierwszego transportu polskich dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi, IPN otworzył wystawę „Wojenne dzieciństwo. Losy dzieci polskich pod okupacją hitlerowską”. Miejszem ekspozycji było Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi. Odnieśliśmy się również do losów więźniów z Przemysłowej, poruszyliśmy temat germanizacji oraz zbrodni niemieckich na Zamojszczyźnie i ludobójstwa w niemieckim nazistowskim obozie koncentracyjnym i zagłady Auschwitz-Birkenau.

Istotna jest również dydaktyczna rola IPN w zajęciach dla uczniów i szkoleń dla nauczycieli, gdybyśmy nie podjęli tych działań, to wciąż opieralibyśmy swą wiedzę na monografii funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego Józefa Witkowskiego „Hitlerowski obóz koncentracyjny dla małoletnich w Łodzi” z 1975 r. i powtarzali komunistyczne „ustalenia”, że było to miejsce kaźni dla 12-15 tys. dzieci, z których przeżyło jedynie ok. 900. Przypomnę, że więcej szczegółów na temat niechlubnej działalności Witkowskiego podał już pracownik IPN – Artur Ossowski – w 2015 r. podczas konferencji „Łódź w Kraju Warty. Nowe perspektywy badawcze”. Dokonał również oceny politycznych aspektów procesu byłej nadzorczyńi obozowej Eugenii Pol vel Genowefy Pohl i ukazał propagandowy aspekt działań komunistycznego państwa w zakresie upamiętnienia

obozu i popularyzacji wiedzy w tym zakresie. Nie był to „obóz zapomniany”, albowiem w PRL powstał o nim film dokumentalny i fabularny.

Również inni pracownicy IPN na łamach czasopism naukowych i w publikacjach zbiorowych opisywali funkcjonowanie obozu i gehennę polskich dzieci.

Bez materiałów IPN nie można dokonać w ogóle oceny działalności obozu i opisać tragedii polskich dzieci. Pamiętajmy, że rolą IPN jest m.in. krzewienie wiedzy na temat najnowszej historii Polski oraz wspieranie wszelkich podmiotów, w zakresie owych działań. Dlatego popieraliśmy powstanie Muzeum Dzieci Polskich – ofiar totalitaryzmu. W tej sprawie 21 maja 2021 r. w Warszawie został podpisany List intencyjny o współpracy na rzecz powstania Muzeum przez Wiceprezesa Rady Ministrów, Ministra kultury, dziedzictwa narodowego i sportu prof. Piotra Glińskiego, Rzecznika Praw Dziecka Mikołaja Pawlaka oraz Instytut Pamięci Narodowej – Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, który miałem zaszczyt reprezentować. Z kolei 31 maja 2021 r. w siedzibie łódzkiego Oddziału IPN odbyła się konferencja dotycząca utworzenia nowej instytucji kultury. Wzieli w niej udział m.in.: prof. Piotr Gliński – wiceprezes Rady Ministrów, minister kultury, dziedzictwa narodowego i sportu, dr Jarosław Szarek – ówczesny prezes Instytutu Pamięci Narodowej i Karol Młynarczyk – I wicewojewoda łódzki.

W 2022 r. podjęliśmy współpracę również z Narodowym Bankiem Polskim i efektem naszych działań była srebrna dziesięciotłotowa moneta „Niemiecki obóz dla polskich dzieci w Łodzi”.



Dariusz Rogut jest dyrektorem Oddziału IPN w Łodzi od 2017 r.

Monetę kolekcjonerską wydano w nakładzie 9 tys. sztuk i uroczystie zaprezentowano 8 grudnia 2022 r. w siedzibie łódzkiego NBP. Byliśmy także inicjatorem wydania przez Poczta Polską znaczka poświęconego pamięci więźniów obozu przy ul. Przemysłowej. W obu przypadkach konsultantem merytorycznym był Artur Ossowski – naczelnik OBEN IPN.

Wszystkie przedstawione przez Pana dyrektora działania wpisują się w 80. rocznicę pierwszego transportu do tegoż obozu i są zauważalne, tak jak plenerowa wystawa IPN „Dzieci z Przesyłowej – niemiecki obóz w Łodzi (1942-1945)” oraz prezentowany

na internetowych stronach IPN i na Facebooku film „Obóz na Przemysłowej – Poznaj nasz strach!”. Czy IPN przedsięwziął jeszcze inne działania, aby upamiętnić ofiary obozu i przedstawić jego funkcjonowanie?

Tak, ale dodam, że film przygotowany został w sześciu językach obcych. Dzięki temu dotarł do szerokiego kręgu ludzi na całym świecie i miał ponad 300 tysięcy odsłon. Wywołał olbrzymie poruszenie i odzew nie tylko wśród Polonii. Współpracowaliśmy też z raperem Basti przy produkcji teledysku „Było takie miejsce”, który dotarł do ponad 600 tys. osób w kraju i za granicą.

Wracając do pytania, 6 grudnia 2022 r. w Dzierżąnej zaprezentowaliśmy książkę „Dzieci z zielonego autobusu. Zeznań o niemieckim obozie dla polskich dzieci przy ul.

Przemysłowej w Łodzi (1942-1945)”, a jej autor – Artur Ossowski szczegółowo omówił jej zawartość. Powiedział o wykorzystanych materiałach archiwalnych i scharakteryzował kadrę nadzorczą obozu. Pragnę podkreślić, że niniejsza publikacja opiera się nie tylko na naszych dokumentach, ale również z zasobów Centralnego Archiwum Federalnego w Koblencji. Wykorzystano nawet niepublikowane wcześniej nagrania z procesu przeciwko Eugenii Pol oraz fragmenty oryginalnych listów dzieci z obozu. Zgadzam się również – z obecnym na prezentacji książki – zastępcą Prezesa IPN, dr. hab. Karolem Polejowskim, który jako doświadczony naukowiec i muzealnik podkreślił, że niemiecki obóz przy ul. Przemysłowej w Łodzi staje się jednym z symboli martyrologii polskich dzieci pod okupacją niemiecką podczas II wojny światowej.

Ile właściwie dzieci zginęło w obozie i z jakich przyczyn? Zaraz po wojnie wymieniano liczbę kilkunastu tysięcy, dziś mówi się o około stu dzieciach. Skąd tak wielka rozbieżność?

Tak jak już zaznaczyłem, owe dane zostały upublicznione przez byłego więźnia obozu oraz funkcjonariusza aparatu bezpieczeństwa – Józefa Witkowskiego, to on podał w swojej monografii bardzo zawyżone dane o liczbie 12-15 tys. dzieci, które przeszły przez obóz. W 1974 r., sąd podał szacunkową liczbę tych dzieci – nie więcej niż 4 tys., co było zgodne z wnioskami Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce. Dziś analizując zeznania i relacje obozowe oraz stany więźniów ową liczbę zmniejszamy do 2-3 tys. dzieci i to samo dotyczy osób zmarłych w obozie. Dlatego nie możemy mówić o tysiącach zamordowanych w nim dzieci. Bazując na listach cmentarnych jesteśmy w stanie wskazać z imienia i nazwiska jedynie ok. 80 z nich. Wynika to także z niepełnej dokumenta-

cji. Prawdopodobnie zmarło ogółem około 200-300 dzieci. Ich zwłoki Niemcy pochowali na rzymskokatolickim cmentarzu przy ul. Kurczaki 81 w Łodzi. Dziś ich miejsca pochówku zostały zatarte, ponieważ pojawiły się nowe kwatery i kolejne groby. Bez udziału archeologów oraz badań laboratoryjnych DNA nie zidentyfikujemy ich szczątków. Nad ich rozpoznaniem pracuje m.in. zespół dr. Krzysztofa Latochy, który z sukcesem wytypował, chociażby szczątki ofiar zbrodni stalinowskich na jednym z cmentarzy łódzkich na Dołach.

Badania nad obozem dla dzieci w Łodzi od kilku lat prowadzi łódzki IPN. Na ile te badania pozwoliły na zweryfikowanie wcześniejszych ustaleń, czego nowego udało się dowiedzieć?

Naszym zadaniem było spopularyzowanie tematu, przedstawienie faktów i obecnego stanu badań na temat obozu. Opisałmy sposób funkcjonowania obozu, scharakteryzowaliśmy jego podległość oraz przeanalizowaliśmy materiały odnośnie obozowej kadry, współpracy z innymi obozami, chociażby z obozem w Potulicach oraz w Konstancynie Łódzkiej, jak też rzuciliśmy więcej światła na wątek powojennych procesów, a zwłaszcza na sposób osądzenia jednej z obozowych zbrodniarek – Eugenii Pol. Pokazaliśmy, że aby zrozumieć historię obozu przy ul. Przemysłowej musimy się odnieść do materiałów nie tylko wytworzonych przez okupanta niemieckiego, ale również do dokumentów powstałych w czasach komunistycznych i nie są to łatwe, ani jednoznaczne odpowiedzi. Badania odnośnie obozu przy ul. Przemysłowej w jakimś zakresie będą kontynuowane, ale będziemy też poszerzać wiedzę na temat innych obozów niemieckich w Łodzi oraz losów polskich dzieci w okresie II wojny światowej.

DODATEK SPECJALNY

Przygotowany we współpracy z Instytutem Pamięci Narodowej Oddział w Łodzi
Redaktor odpowiedzialny: Sławomir Sowa

Dyrektor artystyczny: Tomasz Bocheński
Wydawca: Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
Druk: Drukarnie PPG, ZPR

MAŁI WIĘŹNIOWIE NIEMIECKIEGO OBOZU W ŁODZI

W grudniu 1942 roku Niemcy utworzyli w Łodzi obóz dla polskich dzieci. Jak to ujeli okupanci, miał pełnić „rolę ochronną” oraz „zabezpieczyć” niemieckie dzieci i młodzież przed demoralizującym je postępowaniem nieletnich Polaków. W rzeczywistości było to kolejne ogniwo w niemieckim łańcuchu terroru na ziemiach polskich.

ARTUR OSSOWSKI
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Wszystkie zimy II wojny światowej były bardzo mroźne i śnieżne, tak jak w styczniu 1945 r., kiedy to po drogach centralnej Polski sunęły masy sowieckich czołgów, spychając siły niemieckie na Zachód. W rękach Armii Czerwonej były już zgłiszcząca powoSTAńczej Warszawy. 18 stycznia, gdy sowieckie czołwki pancerne podchodziły pod Łódź, Niemcy praktycznie nie stawiali oporu, jedynie na przedmieściach dochodziło do starć. We wschodniej części Łodzi już rozwiewały się dymy spalonego w nocy więzienia o zastrzonym rygorze na Radogoszczu. Od kul, granatów i płomieni, które wznicił niemieccy policjanci i żołnierze, zginęło ok. 1,5 tys. osadzonych, ocalało jedynie 30 z nich. W wyludnionym getcie ukrywało się jeszcze ok. 800 Żydów z tzw. komanda roboczego, którzy nie stawili się na apel i uniknęli śmierci, albowiem Niemcy przygotowali już dla nich doły na cmentarzu żydowskim. Czy podobnie chcieli wymordować dzieci zamknięte w obozie przy ul. Przemysłowej w Łodzi?

Dlaczego powstał obóz?

Według relacji byłych więźniów strażnicy pozamykali ich w budynkach i barakach, nie dostarczając im przez ostatnią dobę pokarmu, ani picia. Pod niektóre obozowe obiekty przetoczyli nawet beczki z benzyną lub naftą, jednak zabrakło im czasu na zamordowanie ok. 900 uwięzionych wówczas w obozie dzieci. Ocalały i uniknęły tragicznego losu dorośli, albowiem 19 stycznia 1945 r. byli już wolni. Niektóre z nich wyszły na opustoszałe ulice Łodzi, inne nie otrzymawszy pomocy dorosłych, ruszyły do swych domów. Niedozżywione, ubrane w łachmany i nieznające właściwego kierunku marszu, niekiedy przepadły bez wieści. Więcej szczęścia miały dzieci, które pozostały w obozie i czekały kilka dni na pomoc. Wygłodniałe spłądowały magazyn żywnościowy, a więzienne izby ogrzewały, paląc w piecach deskami wyrwanymi z pryz i obozową dokumentacją.

Dlatego jednak Niemcy stworzyli obóz dla polskich



Wizytacja obozu przez szefa niemieckiej policji kryminalnej w Łodzi – Camilla Ehrlich

dzieci i kiedy podjęli stosowne działania, aby z więzień oraz obozów koncentracyjnych wyłączyć najmłodszych obywateli państwa polskiego? Decyzje w tej sprawie Niemcy podjęli już w 1941 r. i wzorowali się na działającym od 1940 r. obozie dla chłopców i młodych mężczyzn w dolnosaksońskim Moringen. Tak samo miało być w Łodzi, a właściwie w Litzmannstadt, gdyż tak okupant niemiecki nazwał największy ośrodek miejski Kraju Warty. Uznano, że odpowiednim miejscem pod obóz będzie pięciohektarowy teren wyłączony z getta, które zarazem z trzech stron otaczało wydzieloną przestrzeń. Obóz wytyczono w kwartale obecnych ulic: Bracka, Emilii Plater, Górnicza i Sporna. Główną bramę umieszczono na osi ul. Przemysłowej w pobliżu budynku komendantury.

Pierwsi więźniowie

Obóz podlegał niemieckiej policji kryminalnej i został przygotowany dla ok. 2 tys. chłopców w wieku od 8 do 16 lat. Do dostosowania jego infrastruktury przymuszono Żydów z pobliskiego getta. Przeprowadzili oni

prace remontowe w niektórych budynkach, a pozostałe wyburzyli, aby wolną przestrzeń zabudować barakami. Obóz z trzech stron otoczono drewnianym płotem, zaś od obecnej ul. Spornej i ul. Zagajnikowej przeszkodą był ceglany mur cmentarza żydowskiego. Pierwszych więźniów do Łodzi dostarczono już w listopadzie 1942 r. i byli to prawdopodobnie chłopcy z wielkopolskiego obozu pracy w Kietrze.

Oficjalnie obóz przy ul. Przemysłowej rozpoczął działalność 1 grudnia 1942 r., zaś pierwsze transporty nowo przywiezionych więźniów zaczęto rejestrować dopiero dzień po jego otwarciu. Okazało się jednak, że wśród przyjętych więźniów są również dziewczęta. Dlatego w kwietniu 1943 r. przeorganizowano obóz i wytyczono w nim strefę dla dziewcząt oraz małych dzieci do ósmego roku życia. Nie była ona duża, ponieważ więźniarek nigdy nie było więcej aniżeli więźniów, a ich liczba wahała się pomiędzy 150 a 350 osadzonych. Chłopców w obozie było natomiast trzy, a nawet cztery razy więcej niż dziewcząt. W lipcu 1944 r. zarejestro-

wano największą liczbę osadzonych i było ich wówczas ok. 1600. W kolejnych miesiącach liczba więźniów znacząco się zmniejszyła, albowiem ok. 200 z nich zwolniono z obozu i skierowano do łódzkich przedsiębiorstw. Kilkudziesięciu dzieci uzyskało również wolność za sprawą rodziców, gdyż ci podpisali volkslistę. Z obozu wywieziono także szesnastolatków i szesnastolatki, wysyłając transporty do obozów koncentracyjnych lub obozów pracy.

Ogniwo w łańcuchu terroru

Kim były jednak ofiary niemieckiego obozu przy ul. Przemysłowej w Łodzi? Na pewno nie byli to żadni kryminaliści, choć niektóre z dzieci dopuściły się kradzieży żywności, węgla lub pobiły się z niemieckimi rówieśnikami. Nie były to także dzieci „polskich bandytów”, choć tak opisywano to w obozowych dokumentach, zaprzeczając okolicznościom i faktom. W ogóle nie dociekano przyczyn pauperyzacji polskiego społeczeństwa, na którą wpłynęła niemiecka okupacja poprzez rozporządzenia wymierzone w życie i mie-

nie Polaków oraz Żydów. Usprawiedliwiano nawet wszelkie działania zmierzające do utworzenia tego typu obozu. W okólnikach na temat jego powstania informowano okupacyjną administrację Kraju Warty, że będzie on pełnił wyłącznie „rolę ochronną” oraz „zabezpieczy” niemieckie dzieci i młodzież przed demoralizującym je postępowaniem nieletnich Polaków. Czyli miało to być kolejne ogniwo w łańcuchu terroru, którym skutecznie opasano tereny podbite przez III Rzeszę. Żadnego słowa o przepełnionych więzieniach i obozach koncentracyjnych, do których zesłano już rodziców i krewnych zatrzymanych dzieci. Najlepszym tego przykładem jest pacyfikacja podpoznańskiej miejscowości Mościna. Dla niemieckich funkcjonariuszy była to rozprawa z „bandytami”, a nie konspiratorami walczącymi w szeregach Armii Krajowej. Dlatego zastosowano tak brutalne metody wobec ludności cywilnej i mszczono się na dorosłych oraz dzieciach, za straty zadane przez polski ruch oporu. We wrześniu 1943 r. kilkadziesiąt mosińskich dzieci przewie-

ziono do łódzkiego obozu, zaś ich bliskich zamordowano w Forcie VII w Poznaniu lub zesłano do Auschwitz-Birkenau i Ravensbrück.

Wychowawczy tylko z nazwy

Większość uwięzionych w obozie dzieci przywieziono z Wielkopolski, Kujaw, Pomorza Gdańskiego, Górnego Śląska i ziemi łódzkiej. Dodatkowo kilka transportów przybyło z Mazowsza, Małopolski i Lubelszczyzny, co potwierdza, że nie tylko miały w nim znaleźć się dzieci polskie z terenów włączonych w granice państwa niemieckiego, ale również nieletni Polacy z Generalnego Gubernatorstwa. Akcja okupantów objęła nawet młodocianych chłopców z Opolszczyzny, którzy wcześniej zostali umieszczeni w poprawczakach oraz obozach pracy i mając polskie pochodzenie zostali przekazani do Łodzi.

Nowo powstałemu obozowi nadano nazwę Polenjugendverwahrlager der Sicherheitspolizei in Litzmannstadt, zaznaczając jego narodowościowy charakter i podkreślając wiek więźniów. **Dokończenie na str. 4-5**

Dokończenie ze str. 3

Strona polska natomiast, opisując po wojnie to miejsce kaźni, akcentowała przede wszystkim jego cel, wiek osadzonych i charakter podległości, stosując nazwę: Prewencyjny Obóz Policji Bezpieczeństwa dla Młodzieży Polskiej w Łodzi. Pamiętajmy jednak, że obóz nie pełnił żadnej funkcji wychowawczej, nie był także ośrodkiem prewencyjnym, ani miejscem ochronnym. Nie można go również nazwać obozem pracy, ponieważ nie wszystkie dzieci w nim pracowały, a te z nich, które przeszły pomyślnie badania rasowe i nie ukończyły ósmego roku życia germanizowano.

Obóz miał być samowystarczalny, zwłaszcza jeżeli chodzi o żywność i ubrania dla osadzonych. Korzyści z pracy więźniów odnosił także lokalny przemysł oraz armia niemiecka. Brakowało jednak odpowiedniego wyposażenia technicznego, a dzieci nie miały umiejętności, ani siły, by sprostać narzuconym normom. Głód bardzo szybko je otępiał i osłabiał, choć dla obozowej kadry hodowano króliki i świnię, a nawet zadbaną o warzywniak, aby Niemcom nie zabrakło witamin. Do opieki nad zwierzętami kierowano oczywiście więźniów, których przymuszano także do pracy w szklarni i ogrodzie. Najwięcej jednak płodów rolnych dostarczała - działająca od wiosny 1943 r. - filia obozu w Dzierżąnej nieopodal Zgierza. Do tego majątku zsyłano wyłącznie więźniarki, dla których była to szansa na lepsze wyżywienie i lżejszą pracę. Mniejsza liczba nadzorców w Dzierżąnej pozwalała na krótko zapomnieć dziewczynom o biciu i karcerze, choć i poza macierzystym obozem wymierzano chłostę, zwłaszcza więźniarkom próbującym uciec z majątku i przekroczyć granicę z Generalnym Gubernatorstwem.

Najbardziej jednak na przemoc narażeni byli chłopcy, ponieważ stanowili oni nawet 75 proc. ogółu osadzonych w obozie przy ul. Przemysłowej i nie mieli tej szansy, co dziewczęta pracujące w Dzierżąnej. Kiedy już opuszczali strzeżoną strefę obozu, to wyłącznie po to, by rozładowywać wagony z węglem, ułożyć materiały budowlane na składach lub rozebrać budynki w rejonie sąsiadującym z gettem.

Wobliczu epidemii tyfusu

Większość jednak osadzonych nigdy nie opuściła obozu, prostując igły dziewiarskie, cerując rozdarcia i przestrzeliny w mundurach, reperując plecaki, chlebaki, ładownice i pasy główne oraz żołnierskie buty. Dla niemieckich wartowników wyrabiano nawet łapcie ze słomy, wiążąc je w długie warokcze, by chroniły stopy przed mrozem. Zbijano rów-



Elżbieta Konarska z Poznania trafiła do obozu przy ul. Przemysłowej w Łodzi w wieku 10 lat

niez skrzynki amunicyjne oraz wyplatano wiklinowe maty, by te można było podłożyć pod koła wojskowych pojazdów grzejących w blocie. Wszystkie czynności dzieci miały wykonywać szybko i dokładnie, pracując pod czujnym okiem majstrów żydowskich lub polskich. Do tego stale należało uważać, by nie sprowokować do bicia nadzorców i nadzorczyń, będących volksdeutscheami z terenów przedwojennej Polski, Związku Sowieckiego, Łotwy lub Jugosławii.

Najniżej w hierarchii byli żydowscy pracownicy, którzy

jako pierwsi rozbudowywali obozową infrastrukturę. Po nich przyszli do obozu majstrowie z getta, wcześniej zatrudnieni w tamtejszych warsztatach. Przyczulali oni dzieci w szwalni, rymarni, stolarni oraz w zakładach szewskich do pracy w systemie nakładczym i do oszczędności materiału. W relacjach byłych więźniów niekiedy pojawiają się zniekształcone ich nazwiska. Za pracę otrzymywali wyżywienie, które było lepsze aniżeli to w getcie. Dlatego chcieli utrzymać swoje stanowiska pracy i nie trafić do transportu z tymi, których Niemcy zsyłali do ośrodka zagłady



Gertruda Weinhold trafiła do obozu w wieku 14 lat. Zmarła 1 sierpnia 1944 r.

w Chełmnie nad Nerem (niem. Kulmhof am Nehr).

Znaczenie pracowników z getta wzrosło wraz z wybuchem w obozie epidemii tyfusu. Zaraza bardzo szybko się rozprzestrzeniła, zakażając nie tylko więźniów, ale również i obozowy personel. Późną jesienią 1943 r. obóz odizolowano, poddając uwięzionych i nadzorców kwarantannie. Sytuacja zagrożenia epidemiologicznego utrzymywała się do wczesnej wiosny 1944 r. Do tego czasu wstrzymano transporty więźniów i skupiono się na organizacji pracy oraz dostosowywano kolejne

pustostany na potrzeby obozu. Niezbędna okazała się pralnia i łaźnia dla więźniów, ponieważ nie mogli oni już korzystać, co miesiąc, z sanitarnej infrastruktury miasta.

Kto się znięcał, a kto pomagał

Największe jednak zasługi w przezwyciężeniu zarazy miał żydowski personel medyczny, który opiekował się ok. 300 chorymi dziećmi w prowizorycznym szpitalu na terenie getta. Według danych powojennych, zmarło nie więcej aniżeli 10 proc. zarażonych. Opiekujący się nimi lekarze podkreślali, że pacjenci byli brudni, za-

wszeni, ale przede wszystkim było widać na ich wymizerowanych ciałach skutki długotrwałego głodu i maltretowania.

Od wiosny 1944 r. próbowano zwiększyć produkcję na rzecz niemieckich sił zbrojnych, zaprzestając szycia obozowych uniformów na rzecz reparacji mundurów, wojskowego oporządzenia oraz obuwia. Otwarto nawet warsztat samochodowy i zakład naprawczy urządzeń elektrycznych, ale już w sierpniu 1944 r. owe plany zostały zarzucone, ponieważ Niemcy zlikwidowali łódzkie getto. Odtąd ciężar produkcji spoczął wyłącznie na polskich pracownikach, wśród których był już obozowy fotograf, fryzjer, buchalter, kilkoro kierowców i majstrów. Niebawem dołączyły do nich szwaczki oraz kucharki, które przyjęły obozową posadę, nie chcąc być wywiezionymi do pracy przymusowej w głąb Niemiec. We wspomnieniach więźniów nierzadko były to osoby apodyktyczne i brutalne, skore do donosów, ale wśród nich były też jednostki szlachetne, pomagające ofiarom. Dotyczy to zwłaszcza kucharerek, szwaczek oraz personelu rolnego w Dzierżąnej. Żaden z Polaków po wojnie nie został pociągnięty do odpowiedzialności karnej. Doszło nawet do kuriozalnej sytuacji, gdy kilkoro z nich złożyło zeznania i były one wykorzystywane na procesie przeciwko volksdeutsche i obozowej nadzorczyni - Eugenii Pol vel Pohl. Wprawdzie niektórzy z byłych więźniów informowali sąd, że osoby te były nie mniej dotkliwe co oskarżona i pozostali Niemcy, a jednak wypowiedzi byłych pracowników obozowych zostały uznane za wiarygodne. W korzystniejszym świetle można natomiast opisać zachowania obydwóch polskich lekarzy, którzy nie będąc zatrudnieni w obozie, kilka razy w miesiącu badali więźniów i wymusili na Niemcach dostarczenie podstawowych leków. W ten sposób doposażono obozowe ambulatorium i próbowano chronić przebywające w nim dzieci przed szyskanami i karami ze strony nadzorców.

Nagroda za zabicie dziecka

Bardziej krytycznie należy jednak ocenić volksdeutsche, ponieważ oni pełnili kluczowe funkcje w systemie obozowego nadzoru. Najwięcej możemy powiedzieć o wspomnianej Pol, czy też jej przełożonej Sydonii (Izoldzie) Bajer vel Bayer oraz Edwardzie Auguście. Ostatnie z wymienionych dwóch osób, zostały w 1945 r. skazane przez Specjalny Sąd Karny w Łodzi na karę śmierci. Wyroki przez powieszenie wykonano w więzieniu przy ul. Sterlinga 16, lecz sprawa zabójstwa przez nich dzieci w obozie była jedynie jednym z zarzutów długiej listy przestępstw, których to dopu-



Niemieccy funkcjonariusze wizytują obozową szwalnię

ściła się dwójka oskarżonych, współpracując z okupantem niemieckim. Z pewnością łódzcy volksdeutsche znając język polski komunikowali się z więźniami i to im przypisano najbrutalniejsze zbrodnie w obozie. Mniej natomiast wiemy o kilkudziesięciu Ukraińcach, Rosjanach, Łotyszach i Bośniakach, którzy mając korzenie niemieckie zostali obozowymi strażnikami. Dla tych mężczyzn w wieku od 17 do 65 lat służba w obozie była niezmiernie ważna, albowiem chroniła ich przed wysłaniem na front. Ostatecznie ich rachuby w ogóle się nie sprawdziły. Po wpisaniu ich na volkslistę oraz zarejestrowaniu jako obozowych strażników i tak trafili w szeregi Wehrmachtu, SS lub Volksturm. W obozie pełnili dwunastogodzinną służbę, patrolując w nocy teren z psami i strzelając bez ostrzeżenia. Na pewno z ich ręki zginął jeden nastoletni więzień, którego karabinowa kula dosięgła, gdy próbował sforsować drewniane ogrodzenie. Ciało zamordowanego przyniesiono na plac apelowy, aby zwłoki mogli zobaczyć inni więźniowie. Strzelca i pozostałych strażników z patrolu uhonorowano skrzynką piwa i jednodziennym urlopem, ponieważ tyle było warte życie polskiego dziecka. Dla tych ludzi służba w obozie nie była żadną traumą, gdyż tu obchodzili swoje imieniny i urodziny, a nawet odbyła się jedna z uroczystości weselnych. Druga miała miejsce w Dzierżaznej, gdy tamtejszy komendant Hans Fuge po raz drugi zawarł związek małżeński.

Gdzie jednak w tym obozowym świecie byli rodowici Niemcy? Przecież to oni stworzyli to miejsce. Nie było ich wielu, a jednak to niemieccy policjanci o wszystkim decydowali i podlegali komendantowi obozu. Był nim Camillo Ehrlich,

który do Łodzi oddelegowany został w 1941 r. z saskońskiego Colditz. Obóz opuścił w grudniu 1944 r. i po wojnie wpadł w ręce Sowietów. Ostatecznie wschodniemiecki wymiar sprawiedliwości uznał, że niemal 11 lat więzienia to wystarczająca kara i w 1956 r. pozwolił na jego wyjazd do Republiki Federalnej Niemiec. W Bawarii doceniono jego dydaktyczne umiejętności. Będąc autorem podręczników dla zachodniemieckiej policji, wiódł dostatnie życie, zaś jako agent Stasi rozpracowywał struktury bezpieczeństwa miejscowego landu. Nigdy nie odpowiedział za swoje zbrodnie w obozie przy ul. Przemysłowej w Łodzi, choć w 1973 r. nadano mu status oskarżonego. Czy obawiał się wyników śledztwa w Polsce i procesu przeciwko obozowej nadzorczyni Pol w Łodzi? Zapewne śledził informacje na ten temat w zachodniemieckiej prasie, ale wszelką wiedzę zachował dla siebie. Zmarł w czerwcu 1974 r. w domu starców w Monachium w wieku 81 lat. Czy przypomniał sobie twarze zmarłych w obozie dzieci i ciała więźniów wywożonych na cmentarz rzymskokatolicki przy ul. Kurczaki 81 w Łodzi? Wiedział przecież o chłostach, gdy czter-

dzieci batów rozkładano skażącemu na dwie lub trzy raty i następnie wleczono nieprzytomne dziecko do karceru. To on podpisywał miesięczne raporty o stanach obozowych, gdzie przeszło 60 proc. więźniów w ogóle nie mogło pracować z powodu niewydolności układu oddechowego, nerek, zapalenia pęcherza, nieżytu żołądka, odmrożeń, czyraków oraz ran ciętych i tłuczonych. Nie interweniował, gdy volksdeutsche pastwili się nad osadzonymi lub czynili to starsi więźniowie przywiezieni z Opolszczyzny i pełniący w obozie funkcje trębacza, sztubowych lub kapo.

Ilu więźniów zginęło?

Dziś wiemy, że przez obóz nie przeszło od 12 do 15 tys. dzieci i nie przeżyło wojny jedynie 900 z nich. Śmiertelność uwięzionych była znacznie niższa i obecnie udokumentować możemy ok. 80 zgonów, na 2-3 tys. więźniów, którzy w latach 1942-1945 znaleźli się w tym obozie. Jednak nie w liczbach zasadza się tragedia polskich dzieci, ale w skutkach, które dla zdrowia fizycznego i psychicznego niósł pobyt w tymże obozie. Po wojnie przeżył wielu więźniów położyły się cieniem na ich życiu zawodowym i rodzinnym. Nigdy też oprawcy niemieccy nie zrehabilitowali im finansowo cierpienie, bo czy można przywrócić ofiarom życie, a żywym oddać stracone lata?

Dziś ponownie przypominamy historię obozu, gdyż ma być on przestrożą dla przyszłych pokoleń. Wojna zawsze zabija człowieczeństwo, pozostawiając po sobie emocjonalne kaleki - ofiary i sprawców. Nigdy się też nie kończy, ponieważ ci co ją przeżyli zawsze ją noszą we swych wspomnieniach i cierpią, gdy ci co jej nie doświadczyli, nie mogą zrozumieć jak głęboko w więźniach tkwi trauma obozu.

TRAGICZNE LOSY KONSPIRATORKI NSZ I JEJ DZIECI

Kiedy Weronikę Lipińską więziono, jej syna i córkę Niemcy umieścili w obozie dla dzieci. Córką przeżyła wojnę. Losów syna nie udało się do końca wyjaśnić.

PATRYCJA RESEL
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Weronika Lipińska urodziła się 1 stycznia 1907 r. Mieszkała z matką przy ul. Sebastiana Felsztyńskiego 31 w Łodzi. Przed wybuchem wojny pracowała jako prądką w Manufakturze Karolewskiej tzw. „Pieprzorce”. Wówczas należała także do Stronnictwa Narodowego w Łodzi. Tuż po rozpoczęciu okupacji niemieckiej związała się ze stolarem Kazimierzem Czarnieckim z Szadku (pow. zduńskowski). Z tego związku przyszła na świat dwójka dzieci. Ich córka Kazimiera urodziła się 11 marca 1942 r., a rok później 20 listopada syn Lechosław Kazimierz. Imiona dzieci zostały Lipińskiej i Czarnieckiemu narzucone przez urzędników niemieckich, którzy zgodnie z rozporządzeniem namiestnika Rzeszy w tzw. Kraju Warty Arthura Greisera z 1 listopada 1941 r., mogli rejestrować tylko te polskie dzieci, którym rodzice nadali imiona znajdujące się na przygotowanym wykazie. Wykaz ten obejmował ponad 450 słowiańskich imion męskich i żeńskich, w większości historycznych, nie będących w powszechnym użyciu. Ponadto w celu naznaczenia Polaków w Kraju Warty wprowadzono nakaz nadawania dziecku jako drugie imię Kazimierz lub Kazimiera, jeśli nie nadano go jako pierwsze. Dla Lipińskiej i Czarnieckiego rejestracja dzieci w urzędzie niemieckim była jedynie formalnością, gdyż na chrzcie świętym ich córka otrzymała imię Dominika, a syn imię Sylwian.

Konspiratorka i matka

Pomimo ryzyka, które niesła ze sobą działalność w organizacji konspiracyjnej, Lipińska łączyła wypełnianie obowiązków rodzicielskich z przynależnością do Okręgu Łódzkiego IX Narodowych Sił Zbrojnych. Konspiratorka przyjęła pseudonim „Brzóska”. W jej mieszkaniu przy ul. S. Felsztyńskiego (wówczas Artur-Meister-Straße) 49 odbywały się przysięgi żołnierzy NSZ. Do jej zadań należało ukrywanie zagrożonych aresztowaniem członków podziemia, a od 1943 r. pełniła także funkcję



Weronika Lipińska z pielęgniarkami (1945)

łączniczki ówczesnego komendanta łódzkiego okręgu NSZ Antoniego Czernika „Dziadka”.

W 1942 r. Lipińska poznała Henryka Laszkiewicza. Nieświadoma tego, że ma do czynienia ze współpracownikiem niemieckiej policji, zwierzyła się Laszkiewiczowi, że należy do NSZ. Wkrótce go rozszyfrowała i zerwała wszelkie kontakty. Po złożeniu meldunku przez Laszkiewicza została jednak aresztowana w kwietniu 1944 r. i osadzona w obozie pracy przymusowej na Sikawie. Wysłała na wolność 18 maja 1944 r., ale nie na długo.

Nocą, 5 września 1944 r. Gestapo wtargnęło do mieszkania Lipińskiej i ponownie aresztowało. Razem z nią został ujęty także Czarniecki. Konspiratorkę osadzono w więzieniu policyjnym dla kobiet przy ul. Gdańskiej 13. Od 2 lutego 1945 r. przebywała w podobozie obozu Ravensbrück w Neubrandenburg, gdzie była poddawana eksperymentom pseudomedycznym.

Poszukiwania dzieci

Po powrocie do Polski Lipińska rozpoczęła intensywne poszukiwania członków swojej najbliższej rodziny. Dowiedziała się, że jej partner Czarniecki został przetransportowany 10 listopada 1944 r. do niemieckiego obozu koncentracyjnego Mauthausen. Zginął 3 stycznia 1945 r.

Równie tragiczne okazały się losy dzieci Lipińskiej - Kazimiera i Lechosława, które po aresztowaniu rodziców czasowo przebywały w mieszkaniu

swoich sąsiadów. Z akt niemieckich wynika, iż ze względu na wiek i stan zdrowia dzieci zostały odebrane przez pielęgniarkę i przekazane do Städtischen Kinderheim, czyli miejskiego domu dziecka.

Przez lata Lipińska twierdziła, że jej córka i syn zostali osadzeni w niemieckim obozie dla polskich dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi. Lechosław miał zostać w obozie otruty, co według Lipińskiej zostało stwierdzone przez Komisariat VI MO w Łodzi. Na dwuletniej Kazimierze miały być przeprowadzane eksperymenty pseudomedyczne, w wyniku których dziewczynka zachorowała na gruźlicę. Podczas kwerendy nie odnaleziono jednak dokumentów potwierdzających tę relację.

Zadośćuczynienie po latach

Po zakończeniu wojny Kazimiera przebywała w sierocińcu prowadzonym przez Ojców Bonifratrów, który mieścił się przy ul. Kosynierów Gdyńskich w Łodzi. W 1946 r. została odnaleziona przez Lipińską i odebrana z sierocińca.

Po wyjściu z niemieckiego obozu koncentracyjnego Lipińska była niezdolna do pracy zarobkowej i znajdowała się na rencie inwalidzkiej. Razem z córką żyła w trudnych warunkach materialnych. W 1947 r. wyjechała z Łodzi na Ziemię Odzyskaną i zamieszkała w Jezioranach (pow. olsztyński). Dwa lata później przeprowadziła wraz z córką się do Lidzbarka Warmińskiego.

Po pięciu latach bezskutecznych starań Kazimiera Czupiej o otrzymanie uprawnień kombatanckich w tytułu przebywania w niemieckim obozie dla polskich dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi, decyzją szefa Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych z dnia 23 stycznia 2015 r. w końcu została uznana za ofiarę niemieckich represji z okresu II wojny światowej.

Weronika Lipińska zmarła 22 lipca 1979 r., a jej córka Kazimiera 10 marca 2015 r., zaledwie miesiąc od otrzymania uprawnień kombatanckich. Spoczywają we wspólnym grobie na cmentarzu komunalnym w Lidzbarku Warmińskim.



Chłopcy stanowili 75 procent dzieci osadzonych w obozie

ZBRODNIĘ, KTÓRE NIE PODLEGAŁY DYSKUSJI. OPRAWCY POLSKICH DZIECI PRZED SĄDEM

Ważnym tematem dotyczącym historii dzieci z obozu przy ul. Przemysłowej w Łodzi jest sprawa powojennego osądzenia obozowych oprawców. Ramię sprawiedliwości dosięgło tylko troje z nich.

DR TOMASZ TOBOREK
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Procesy sądowe wytoczone bezpośrednio po wojnie - Edwardowi Augustowi i Sydonii Bajer - dwóm najbardziej okrutnym przedstawicielom obozowej załogi oraz Eugenii Pol, która sądzona była w latach 1972-1976.

Socjalistyczne poczucie prawne

Procesy miały odmienny charakter i prowadzono je w bardzo różnych realiach politycznych. Dwa pierwsze odbyły się przed tzw. Specjalnymi Sądami Karnymi powołanymi we wrześniu 1944 r. aby rozpatrywać sprawy niemieckich zbrodniarzy wojennych oraz osób współpracujących z okupantem, szczególnie volksdeutsche. Władza chciała szybko i skutecznie wymierzyć sprawiedliwość oczywistym jej zdaniem zbrodniarzom. Konsekwencją były uproszczone procedury, które pozwalały na sprawne i szybkie skazanie podsądnych. Oskarżenie nie wymagało uzasadnienia, a wyroki, które ogłaszano po naradzie były ostateczne i prawomocne. Jerzy Sawicki, sędzia i teoretyk prawa, pisał: „Ustrój i procedura Sądów Specjalnych stanowią wypadkową emocjonalnych potrzeb chwili i nowych tendencji demokratycznego sądownictwa”. Potrzeby te zaspokajano z pomocą ławników, którzy w liczbie dwóch mogli w razie potrzeby przegłosować sędziego. Tym ostatnim nie zawsze bowiem ufano. Jak pisał ówczesny prezes Sądu Najwyższego: „Sędziowie polscy, choć w większości lojalni w stosunku do obecnej rzeczywistości, są przeważnie jeszcze dalecy od szczerze demokratycznego, względnie socjalistycznego poczucia prawnego. Dlatego należy dać w sądach karnych przewagę ilościową ławników nad sędziami państwowymi. Dopóki nie będziemy mieli dostatecznej ilości sędziów o socjalistycznym poczuciu prawnym (...), musimy ich zastępować uspołecz-



Wizja lokalna z udziałem oskarżonej Eugenii Pol w trakcie trwania procesu



Eugenia Pol i inne „wychowawczynie” z małymi więźniami

nionym elementem ławniczym”.

Przed taki właśnie sądem stanęli członkowie załogi obozu Sydonia Bajer i Edward August. W obu przypadkach - podkreślił - sąd miał do czynienia z obozowymi oprawcami, a ich zbrodnie nie podlegały dyskusji. Wiemy to jednak raczej z późniejszych relacji czy choćby procesu Eugenii Pol z lat siedemdziesiątych. Podczas śledztw z 1945 r. nie zadbano

natomiast o rzetelny materiał dowodowy, starając się po prostu dokonać na oprawcach skutecznej zemsty. W przypadku dochodzenia i rozprawy przeciwko Augustowi przesłuchano łącznie sześć osób. Trzy z nich były świadkami obrony i podkreślały pozytywny stosunek oskarżonego do Polaków. Trzech pozostałych zeznających było sąsiadami oskarżonego i zeznało na temat jego nienawiści do Polaków, strasze-

niu bronią oraz gróźb pod adresem mieszkańców kamienicy, w której mieszkał. Żaden ze świadków nie był jednak więźniem obozu przy ul. Przemysłowej! Oskarżenie o zbrodnie w Polen-Jugendverwahrlager opierało się wyłącznie na relacji niejakiego Jana Grzanki, który zeznał, że podczas transportu pociągiem do innego obozu spotkał 14-letniego chłopca, nieznanego mu z imienia i nazwiska, który miał

być więziony na Przemysłowej i opowiadał mu o zbrodniach Augusta.

Najwyższy wymiar kary

Pomimo oczywistych braków w materiale dowodowym, po trwającej nieco ponad 3 godziny rozprawie (razem z przygotowaniem i odczytaniem wyroku) August otrzymał karę śmierci. Charakterystyczne jest uzasadnienie wyroku, w którym sąd lekceważąc zeznania świadków broniących Augusta, uznał je za mało wiarygodne gdyż nie byli więźniami obozu. To, że świadkowie oskarżający go o zbrodnie również nigdy nie byli na Przemysłowej nie miało dla sądu większego znaczenia.

Również Sydonia Bajer została skazana na karę śmierci. Zarzucono jej, że: „idąc na rękę okupacyjnej władzy niemieckiej jako kierowniczka obozu karnego dla dzieci polskich brała udział w znęcaniu się nad nimi, a w szczególności przyczyniła się do śmierci dwóch dziewczynek - Urszuli Kaczmarek i Danuty Jakubowskiej”. Warto dodać, że przytoczony cytat to całość aktu oskarżenia. Dla jego potwierdzenia na rozprawę wezwano pięcioro świadków, z których trójka potwierdzała, choć z wieloma nieścisłościami, fakt bicia i znęcania się nad dziećmi. Sąd potrzebował pięciu godzin by skazać Bajerową na najwyższy wymiar kary. Jedną z wymienionych ofiar - Danuta Jakubowska, przeżyła obóz, a sąd pomylił ją z siostrą - Teresą. Pokazuje to jakość przeprowadzonego wówczas śledztwa i wiarygodność materiału dowodowego.

Przebieg dwóch omówionych procesów oczywiście nie podważa winy skazanych w nich zbrodniarzy. Historycy sięgający do procesowych dokumentów mają jednak poważny problem. Zachowany po rozprawach materiał dowodowy nie tylko nie ułatwia badania historii obozu, ale wręcz je utrudnia. Niektóre wydarzenia zostały bowiem zafałszowane bądź przypisane innym

osobom. Inne całkowicie pominięte. Nie wiemy, tak naprawdę, których przestępstw rzeczywiście się dopuścili. Miało to duże znaczenia dla kolejnego procesu jaki w latach siedemdziesiątych wytoczono obozowej „wychowawczynie” Eugenii Pol.

Proces Eugenii Pol miał nie tylko rozstrzygnąć o winie Eugenii Pol, ale być w pewnym sensie rozliczeniem z historią obozu. Wpisywał się także w politykę historyczną realizowaną wówczas przez komunistyczne władze. Cechowało ją ponowne eksponowanie niemieckich zbrodni, a także podkreślanie martyrologii narodu polskiego. Ten ostatni zabieg czyniony był często w odniesieniu do Holocaustu i miał pokazać równorzędną polskiego cierpienia podczas wojny. Los bezbronnych polskich dzieci zamkniętych w obozie był tutaj bardzo mocnym argumentem. Dlatego proces Eugenii Pol i jego ostateczna wymowa miały dla władzy duże znaczenie.

Warto dodać, że jednym ze świadków w procesie był Józef Witkowski - późniejszy autor monografii obozu, postać tyleż ważna dla propagowania historii obozu, ileż kontrowersyjna. Witkowski wykonał solidną pracę badawczą docierając do więźniów, dokumentów i odtwarzając historię łagru. Robił to jednak w skrajnie tendencyjny sposób starając się zaspokoić potrzeby władzy - np. zawyżając liczbę ofiar do zupełnie nierealnych rozmiarów. Elementem tej polityki było też doprowadzenie do głośnego propagandowego procesu, którego „bohaterką” była obozowa nadzorkczyni. Kobieta, której nikt do tego momentu nie wspominał przeszłości obozowej „wychowawczynie”, mieszkająca po wojnie w Łodzi, została oskarżona o najcięższe zbrodnie. Do dzisiaj nie wiemy, które z nich rzeczywiście popełniła.

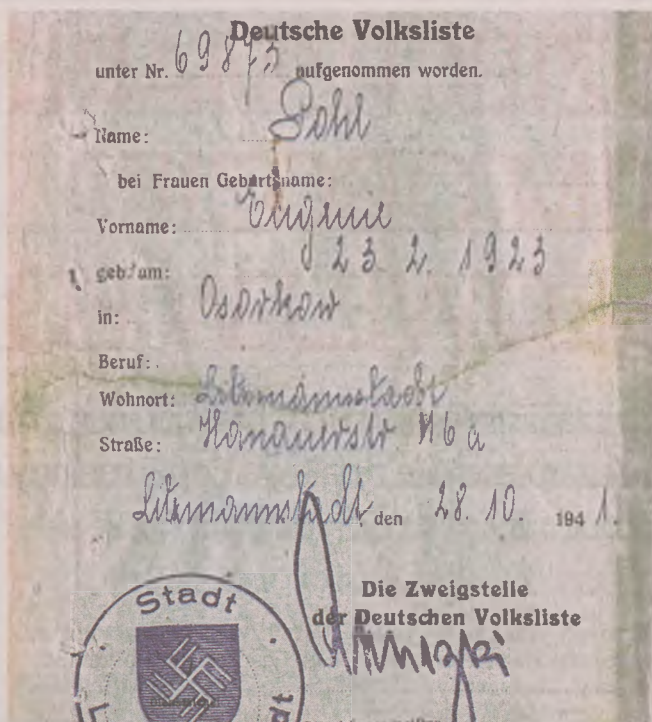
Kat czy ofiara?

Proces Eugenii Pol vel Genowefy Pohl ciągnął się z przerwami od lipca 1970 do stycznia

1976 r. Przesłuchano 77 byłych więźniów obozu i we wrześniu 1971 r. do Sądu Wojewódzkiego skierowano akt oskarżenia, w którym podsądnej zarzucano zabójstwo sześciu więźniarek. Podawano jednak nazwiska tylko trzech nich, w tym - co znamienne - Urszuli Kaczmarek, za której zabicie skazano już ćwierć wieku wcześniej Sydonię Bajer.

Proces nie wyglądał już jednak tak jak rozprawy z 1945 roku. Prokurator, który zbyt nonszalancko potraktował materiał dowodowy miał ogromne problemy z przekonaniem składu sędziowskiego o winie oskarżonej. Nie pomagali w tym świadkowie, którzy zmuszeni do opisywania traumatycznych przeżyć z obozu popełniali wiele błędów, bądź po prostu nie potrafili odtworzyć w pamięci wydarzeń z wczesnego dzieciństwa. Jak pisał prokurator Zbigniew Piechota, w sprawozdaniu dla swoich przełożonych: „relacjonowali inaczej przedstawione przez siebie fakty niż w toku śledztwa. Zmieniali niektóre okoliczności, wprowadzali i przedstawiali nowe poprzednio nieznane przypadki”, „podawali inne osoby jako sprawców określonych zdarzeń”. Były nawet przypadki gdy nie potwierdzali zeznań ze śledztwa odczytanych im na procesie.

Osoby dotknięte obozową traumą trudno odnajdowały się w normalnym życiu. Rzadko osiągały zawodowe sukcesy i uzyskiwały wykształcenie. Nie potrafiły także opisywać swoich przeżyć i emocji. Sam prokurator stwierdzał, że byli to ludzie „prości, niewykształceni i podatni na sugestie” a „pobyt w obozie w okresie ich dzieciństwa pozostawił na nich



Dokument potwierdzający wpisanie Eugenii Pol na volkslistę

trwałe ślady”. Nic dziwnego, że w atmosferze publicznego procesu przy licznie wypełnionej sali byli zdeprimowani i gubili się w podstawowych faktach. Paradoksalny a zarazem okrutny okazał się fakt, że ci którzy doświadczyli często najbardziej traumatycznych przeżyć byli - właśnie z tego powodu - mniej wiarygodnymi świadkami obozowych wydarzeń.

Niektórzy z nich, jak komentował prokurator, „czując się w obowiązku udzielenia odpowiedzi na każde zadane im pytanie, czynili to bez względu na to, czy określona okoliczność była im bardziej lub mniej znana, względnie czy słyszeli o niej tylko z opowiadań”. Część z zeznających, którzy

mieli być np. naocznymi świadkami zabójstwa Urszuli Kaczmarek, trafiła do obozu już po śmierci tej dziewczynki, inni po okazaniu im zdjęć obozowych „wychowawczyń” mylili Eugenię Pol z Sydonią Bajer.

Obrona podkreślała też, że w zeznaniach składanych wcześniej przed Okręgowymi Komisjami Badania Zbrodni Hitlerowskich świadkowie w ogóle nie wspominali Eugenii Pol. Dopiero w prokuraturze - niejako ulegając sugestii przesłuchujących - przedstawiali ją jako „sprawcę określonych zdarzeń”.

Osobny rozdział tej historii to powojenne losy nadzorczyń. Eugenia Pol żyła spokojnie w Łodzi, a nawet spotykała się z niektórymi z więźniarek na gruncie towarzyskim. Mało



tego - niektóre z nich pożyły od niej duże sumy pieniędzy, których nie zwróciły do początku procesu. Nic dziwnego, że także nie mogły być wiarygodnymi świadkami.

Obrońca z urzędu Stanisław Maurer - nb. znany później obrońca w procesach politycznych opozycji demokratycznej w Łodzi - okazał się dla prokuratury trudnym przeciwnikiem. Z łatwością podważał zeznania świadków oskarżenia i ekspozował wszystkie nieścisłości.

Sąd nie mając innego wyjścia 27 marca 1972 r. zwrócił akta prokuraturze nakazując uzupełnienie postępowania. Prokuratura złożyła wprawdzie zażalenie, ale Sąd Najwyższy uznał je tylko za częściowo zasadne i zlecił uzupełnienie śledztwa.

Drugi proces

Wkrótce rozpoczęto przygotowania do nowego procesu, który nie mógł już przynieść tak spektakularnej porażki. 4 maja 1973 r. w Prokuraturze Generalnej PRL w Warszawie odbyła się burzliwa narada, podczas której jawnie mówiono o politycznym charakterze sprawy. Ludomir Anders (dyrektor Departamentu II Prokuratury Generalnej) oświadczył, że „sprawa Eugenii Pol, uwzględniając jej charakter, w żadnym wypadku nie może się zakończyć wynikiem niepożądanym dla prokuratury” oraz, że „należy uczynić wszystko, aby w toku ponownej rozprawy sądowej nie wystąpiły żadne nieprzewidziane dla oskarżenia okoliczności, jak to miało miejsce poprzednio”.

Proces wznowiono 12 marca 1974 r. Zeznania świadków zdaniem sądu były tym razem nieco bardziej przekonujące i jednoznaczne, a Eugenię Pol uznano winną zarzucanych jej czynów. 2 kwietnia 1974 r. skazano ją na 25 lat pozbawienia wolności. Pol nie udowodniono bezpośredniego zabójstwa żadnej z dziewczynek, jednak uznano, że „przyczyniła się do spowodowania śmierci” trzech z nich: Kaczmarek, Jakubowskiej i Bammes. Nieco niejasna formuła, że E. Pol „przyczyniła się do spowodowania śmierci” nie była przypadkowa, ponieważ w chwili śmierci dwóch z nich (w kwietniu 1944 r.) oskarżona od ponad miesiąca nie pracowała już na Przemysłowej, ale w filii łódzkiego obozu w Dzierżanej. Trzeba więc było bronić tezy, że do śmierci dziewczynki doprowadziło długotrwałe znęcanie się, w którym oskarżona miała swój udział. Wymienione okoliczności sprawiły jednak, że adwokat oskarżonej w skardze rewizyjnej zakwestionował ustalenia sądu. Sąd Najwyższy wyrokiem z 25 stycznia 1975 r. uchylił decyzję sądu wojewódzkiego i skierował sprawę do ponownego rozpoznania.

Wydaje się, że w tym momencie zadziały już wyższe czynniki polityczne. Sąd wojewódzki, choć materiał dowodowy praktycznie się nie zmienił, wydał 27 czerwca 1975 ponownie wyrok skazujący zatwierdzony 30 stycznia 1976 r. przez Sąd Najwyższy. Eugenię Pol uznano winną „brania udziału w zabójstwie” dwóch dziewczynek i skazano na 25 lat więzienia. Na wolność wyszła w 1989 r.

„DZIECI Z ZIELONEGO AUTOBUSU”

Artur Ossowski, „Dzieci z zielonego autobusu”. Zeznania o niemieckim obozie dla polskich dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi (1942-1945). Łódź-Warszawa 2022, 272 s. + 32 s. wkł. zdj. ISBN 978-83-8229-622-8

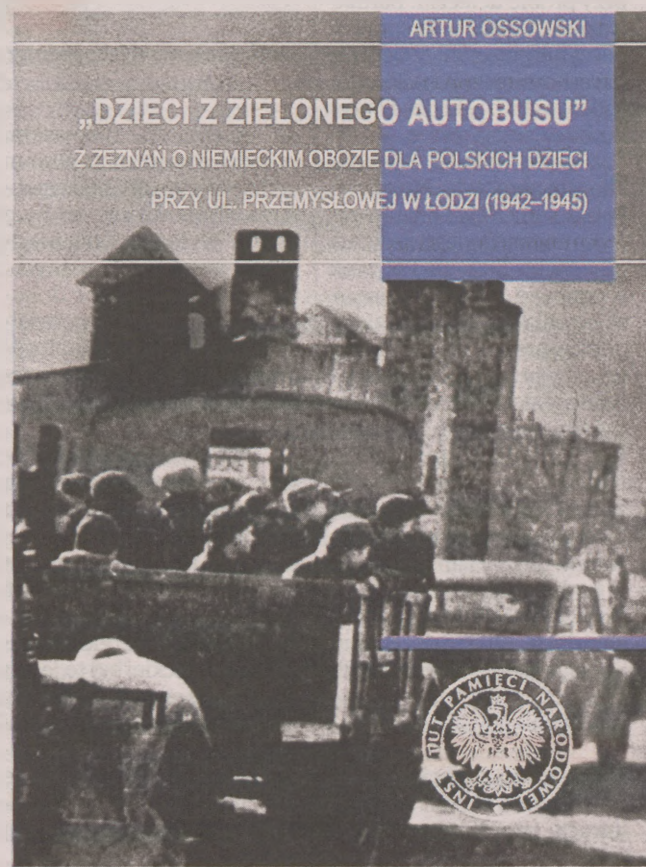
W przeddzień wkroczenia do Łodzi Armii Czerwonej, 18 stycznia 1945 r., niemiecka załoga opuściła obóz, pozostawiając więźniów własnemu losowi. Dla dzieci skończyła się wojna, ale jej trauma trwała i powróciła po 25 latach, gdy niektóre z nich ponownie musiały spotkać się na sali sądowej ze swoją oprawczynią. W grudniu 1970 r. zatrzymano w Łodzi obozową funkcjonariuszkę Eugenę Pol. Sądzone ją w latach 1972-1976 i skazano na 25 lat więzienia. Nie potwierdzono jednak informacji, że w obozie

Niemcy osadzili ok. 15 tys. nieletnich, z których przeżyć miało jedynie 900 więźniów. Ostateczne dane sugerują, że przez obóz przeszło od 2 tys. do 3 tys. polskich dzieci, a liczba zmarłych i zamordowanych nie przekroczyła ok. 200 osób, choć z imienia i nazwiska ustalono jedynie jedną trzecią ofiar. Historia obozu jest jednak wielowątkowa i nie zakończyła się wraz z II wojną światową. Byli więźniowie wciąż na nią wpływali i dokonali jej przemodelowania, podążając za politycznymi przemianami oraz chcąc upamiętnić zamordowane i zmarłe w nim dzieci. Dlatego głównym celem niniejszej publikacji jest uzupełnienie informacji o funkcjonowaniu niemieckiego obozu dla polskich dzieci przy ul. Przemysłowej w Łodzi, uporządkowanie danych i zaprezentowanie Czytelnikowi

kolejnych materiałów na ten temat. Książka opiera się na archiwaliach z zasobów Instytutu Pamięi Narodowej i dokumentach z Bundesarchiv, przede wszystkim na aktach procesowych Eugenii Pol i Sydonii (Izoldy) Bayer, najlepiej ilustrujących złożoność problemu oraz polityczne tło karania winnych obozowych zbrodni. Analiza mikrohistorii i losów bohaterów opisywanych wydarzeń pozwoliła scharakteryzować kadrę obozu - nie tylko niemiecką załogę, łącznie z volksdeutschami, lecz także polski personel pomocniczy i majstrów żydowskich, ze szczególnym uwzględnieniem roli tych ostatnich w procesie organizacji obozowej produkcji.

Nie w liczbach tkwi jednak tragizm minionych wydarzeń, ani w bestialstwie obozowej kadry, lecz zawarty on jest

w powojennych życiorysach więźniów. Dla nich skutki wojny to sieroctwo, choroby, brak wykształcenia i ciężka praca fizyczna w warunkach powojennych oraz problemy w życiu rodzinnym, ponieważ obóz odcisnął piętno na ich psychice i duszy. Dlatego dziś możemy zadbać o ich godność i przypomnieć, że wśród ofiar II wojny światowej były setki tysięcy polskich dzieci - to im w Łodzi poświęcono pomnik Martyrologii Dzieci, który mieszkańcy miasta nazywają pomnikiem „Pękniętego Serca”. Stąd najnowsza publikacja IPN Oddział w Łodzi i próba podsumowania - w sposób naukowy - znaczenia obozu na mapie niemieckich zbrodni w Polsce, aby pamiętać o tym miejscu trwałą i stanowiła element historycznego przekazu dla kolejnych pokoleń.



GDZIE SĄ GROBY DZIECI ZMARŁYCH W NIEMIECKIM OBOZIE PRZY UL. PRZEMYSŁOWEJ W ŁODZI?

Aż 75 z 77 pochowanych na łódzkim cmentarzu przy ul. Kurczaki nieletnich ofiar niemieckiego obozu nie posiada swojego grobu i upamiętnienia. Niepoinformowane i zamieszkałe z dala od Łodzi rodziny nie miały możliwości zadbać o miejsca pochówku swoich dzieci.

DR KRZYSZTOF LATOCHA
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Ogrom cierpienia młodych Polaków, którzy trafili do niemieckiego obozu w Łodzi, skłania do refleksji. Powstaje wiele pytań, lecz na niektóre z nich nie udało się znaleźć odpowiedzi ze względu na brak odpowiednich dokumentów źródłowych. Jedno z takich pytań dotyczy kwestii liczby zmarłych dzieci oraz tego, co stało się z ich ciałami.

Najnowsze szacunki historyków wskazują, że przez obóz przeszło od 2 tys. do 3 tys. polskich dzieci, a liczba jego ofiar nie przekroczyła ok. 200 osób. Nieletni więźniowie obozu przy ul. Przemysłowej umierali z głodu, chorób i wycieńczenia. Świadkowie, którzy przeżyli pobyt w obozie wspominali też liczne zbrodnie popełnione przez jego załogę. Część dzieci została brutalnie zakatowana przez strażników, a część zastrzelono przy próbie ucieczki. Bardzo ważne ustalenia w tej sprawie poczynili pracownicy Oddziałowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi, kontynuujący swoją pracę w Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu IPN w Łodzi. W ramach prowadzonego śledztwa przeciwko Eugenii Pol oraz w sprawie obozu hitlerowskiego dla dzieci i młodzieży polskiej przy ul. Przemysłowej w Łodzi przeprowadzili kwerendę w aktach Urzędu Stanu Cywilnego - Łódź Śródmieście. Sprawdzono również niemieckie akta Urzędu Statystycznego m. Łodzi w zbiorach ówczesnego Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Łodzi. Udało się odnaleźć akty zgonu kilkudziesięciu zmarłych w obozie dzieci. Obecnie lista potwierdzonych ofiar liczy 77 nazwisk.

Tylko jeden cmentarz

Do niedawna funkcjonowało przekonanie, że zmarłych nieletnich więźniów grzebano



Jurek Rutkowski jako jedna z nielicznych ofiar ma swój grób

na cmentarzu żydowskim w Łodzi, a więc tuż za murem oddzielającym obóz od cmentarza. Twierdzenie to było oparte wyłącznie na niejasnych przekazach ustnych. Gettowe i cmentarne dokumenty żydowskie nie potwierdzają tej informacji. Brak odpowiednich źródeł uniemożliwia zweryfikowanie tej hipotezy.

Jedynym udokumentowanym miejscem pochówku ofiar niemieckiego obozu dla dzieci i młodzieży polskiej przy ul. Przemysłowej jest cmentarz rzymskokatolicki św. Wojciecha przy ul. Kurczaki 81 w Łodzi. Podczas okupacji niemieckiej był to jeden z dwóch cmentarzy w mieście, na którym mogli być chowani Polacy. W związku z tym przeprowadzono kwerendę w znajdującej się w Oddziałowym Archiwum IPN w Łodzi

Księdze zmarłych i pochowanych na cmentarzu na Kurczakach w latach 1942-1945 - sygn. IPN Ld 178/3. Informacje te zweryfikowano następnie poprzez wgląd do oryginalnej księgi zmarłych, która znajduje się w kancelarii cmentarza na Kurczakach. W efekcie tych kwerend ustalono zapisy potwierdzające pochówki 77 dzieci. Zapisy z numeracją grobów dzieci, nie odpowiadają jednak współczesnemu podziałowi cmentarza na kwatery. Niestety do obecnych czasów zachowały się tylko dwa groby dzieci zmarłych w obozie przy ul. Przemysłowej - Jerzego Rutkowskiego i Zygmunta Olejniczaka.

Jurek już nie żył

Dziewięcioletni Jurek Rutkowski z Płońska zmarł w obozie 16 grudnia 1943 r. na skutek wyniszczenia organizmu oraz

licznych kar zadawanych przez obozowych funkcjonariuszy. Pochowany został na cmentarzu dwa dni później w dawnej kwaterze nr 2, na polu 12, w linii 1A, w grobie nr 55. Dwunastoletni Zygmunt Olejniczak z Otmianowa zmarł 29 sierpnia 1944 r. i pochowany został trzy dni później w dawnej kwaterze nr 38, na polu 7, w linii 10, w grobie nr 3. Obecna lokalizacja tych grobów jest przesunięta o kilka numerów. W księdze cmentarnej w uwagach przy nazwisku Olejniczaka dopisano „Jugendamt”. Może to wskazywać, że pochówek tego dziecka opłacił niemiecki urząd do spraw dzieci i młodzieży. W oficjalnych dokumentach zapisano, że obaj chłopcy zmarli z powodu gruźlicy płuc.

O tym, że zachowały się tylko te dwa groby dziecięce zadecydowały najprawdopodobniej działania rodzin, które dowiedziały się o ich śmierci. Halina Rutkowska przyjechała do Łodzi 13 grudnia 1943 r. by zobaczyć synka. Gdy wróciła po trzech dniach, by zabiegać o jego uwolnienie, Jurek już nie żył.

Pozostałe groby zostały na przestrzeni lat przekopane i przeznaczone pod nowe pochówki, a ich obecne położenie nie odpowiada zapisom ze starej księgi cmentarnej. Przed II wojną światową teren cmentarza przy ul. Kurczaki był o wiele mniejszy i obejmował tylko jego zachodnią część, ciągnącą się do ul. Bałtyckiej. Obecnie znajdują się tam kwatery o numeracji 1-13. Obszar ten jest dobrze widoczny na niemieckim zdjęciu lotniczym z maja 1942 r. Teren cmentarza został znacznie poszerzony w czasie okupacji niemieckiej. Informację tę potwierdzają najstarsi mieszkańcy, których działki sąsiadują z cmentarzem. Niemcy anektowali pobliskie pola orne i utworzyli kwatery cmentarne, które odpowiadają obecnej numeracji od 14 do 33. Musiało to nastąpić pod koniec 1942 r., gdyż na zdjęciach

lotniczych z 1942 r. cmentarz nie jest jeszcze poszerzony, a w 1943 r. już zaczęto chować zmarłych na nowej części. Północno-wschodnia część cmentarza została zajęta przez kurie dopiero po wojnie i obejmuje ona kwatery od 34 do 52. Widać to dobrze na polskim zdjęciu lotniczym z 1949 r., gdzie włączone pola rolne są dopiero przygotowywane pod pochówki cmentarne. W planach było anektowanie dalszych sąsiednich działek, a po środku nowej części miał się znajdować okrągły plac centralny i aleja. Sąsiadujący z terenem cmentarza łódzianie pamiętają szeroką aleję obsadzoną drzewami, która kończyła się okrągłym klombem. Za klombem była otwarta przestrzeń z polami ornymi. Nie było ogrodzenia, a kwatery cmentarne obsadzono żywopłotem oddzielającym je od pól. Taki obraz potwierdza również zdjęcie lotnicze z 1949 r. W latach 60. zlikwidowano klomb, a na granicy powstał skosie płot, który przebiegał po skosie narożnika kwatery 33, co jest widoczne na zdjęciu lotniczym z 1969 r.

Ofiary tyfusu

Dzieci zmarłe w niemieckim obozie przy ul. Przemysłowej nie były chowane w jednej kwaterze, lecz ich groby były rozrzucone po terenie całego cmentarza. Mimo że już wtedy istniała kwatera przeznaczona do pochówków dziecięcych (obecnie kwatera nr 12), to tylko troje nieletnich ofiar obozu zostało w niej pochowanych. Księga cmentarna na Kurczakach zaczyna się od pochówku z 16 czerwca 1942 r. Pierwszy zapis dotyczący pochówku dziecka z obozu pochodzi z 11 maja 1943 r. Tego dnia na cmentarzu pogrzebano zwłoki czternaścieletniej Urszuli Kaczmarek, która została zakatowana przez obozową wachmankę. Do listopada 1943 r. zmarłe dzieci były chowane na starej części cmentarza, a od grudnia 1943 r. pogrzeby odbywały się

już na nowej części. Prawdopodobnie tej wymyka się tylko grób Jurka Rutkowskiego, który spoczął w kwaterze dziecięcej. Najwięcej pochówków miało miejsce na przełomie 1943 i 1944 r. oraz w marcu i kwietniu 1944 r. Dokumentacja obozowa oraz wspomnienia byłych więźniów potwierdzają, że w tych dwóch okresach wybuchła epidemia tyfusu.

Dzieci bez grobów

W księdze cmentarnej przy nazwiskach chowanych dzieci nie zaznaczano, że zmarły one w obozie przy ul. Przemysłowej. Tylko w jednym przypadku, pochowanego 6 kwietnia 1944 r. Marianą Janasiką dopisano w uwagach „Kinder Lager”. Przy zmarłym 22 października 1944 r. Teodorze Borowiaku zapisano natomiast „Jugendamt”, tak samo jak przy nazwisku wspomnianego już Zygmunta Olejniczaka. Brak takich adnotacji uniemożliwia odnalezienie pozostałych pochówków dziecięcych, gdyż konieczna jest w takiej sytuacji znajomość nazwisk wszystkich ofiar obozu. Po wojennej zmianie numeracji kwater, utrudnia dokładną lokalizację grobów dziecięcych. Dodatkowy problem stworzyło poszerzenie niektórych kwater kosztem alejek i wynikające z tego przesunięcia w liniach grobów. Niestety aż 75 z 77 pochowanych na tym cmentarzu nieletnich ofiar niemieckiego obozu nie posiada obecnie swojego grobu i upamiętnienia. Niepoinformowane i zamieszkałe z dala od Łodzi rodziny tych dzieci nie miały możliwości zadbać o miejsca ich pochówku. Po upływie 20 lat ich groby zostały przeznaczone pod kolejne pochówki. Bez zgody współczesnych dysponentów tych miejsc nie można przeprowadzić ekshumacji, ani stworzyć tablic upamiętniających zmarłe dzieci z niemieckiego obozu przy ul. Przemysłowej.

„ROZPACZ BYŁA POWSZECHNA...” DZIECI ZAMOJSZCZYZNY – NAJMŁODSZE OFIARY „AKTION ZAMOŚĆ”

Okrutny los najmłodszych i dorosłych na Zamojszczyźnie związany był z zamiarem przekształcenia Europy Środkowo-Wschodniej w „niemiecką przestrzeń życiową”. Znalazło to swoje teoretyczne i praktyczne przełożenie w tzw. Generalnym Planie Wschodnim (Generalplan Ost), czyli długofalowym planie wysiedleń, kolonizacji i germanizacji. Jako pierwszy do realizacji tych założeń wybrano obszar Zamojszczyzny.

KINGA ŻELAZKO
ODDZIAŁ IPN W LUBLINIE

Rany wojna zadała całej naszej Ojczyźnie – cierpiały też dzieci tu na Zamojszczyźnie. Przyniosła im wojna śmierć i cierpienie, zabrała wielu bliskich, godność i mienie”. Fragment współczesnego wiersza 11-letniej Katarzyny Kolaszyńskiej upamiętnia najmłodsze ofiary niemieckiej akcji wysiedleńczo-kolonizacyjnej na Zamojszczyźnie. Rozpoczęta nocą 27 listopada 1942 r. wysiedleniem Skierbieszowa i sąsiednich Sadów realizowana była z niezwykle brutalnością do połowy sierpnia 1943 roku. Wśród ok. 110 tys. wysiedlonych Polaków, znalazło się przynajmniej 30 tys. dzieci.

Okrutny los najmłodszych i dorosłych na Zamojszczyźnie związany był z zamiarem przekształcenia Europy Środkowo-Wschodniej w „niemiecką przestrzeń życiową”. Znalazło to swoje teoretyczne i praktyczne przełożenie w tzw. Generalnym Planie Wschodnim (Generalplan Ost), czyli długofalowym planie wysiedleń, kolonizacji i germanizacji. Jako pierwszy do realizacji tych założeń wybrano obszar Zamojszczyzny.

Od samego początku Niemcy prowadzili akcję wysiedleńczą niezwykle brutalnie. Nad ranem lub w nocy, po wcześniejszym otoczeniu wsi, wpadali do domów i wśród wrzasków, bicia wyrzucali mieszkańców: „Słychać było szwargot niemiecki. Zachętyśmy z siostrą płakać. Była ciemna noc. Niemcy wpadli, kazali się z domu wynosić. Wziąć można było z sobą tylko to, co człowiek mógł w kilka minut zabrać (...) Niemcy chodzili po mieszkaniach i bez przerwy krzykali: „Schnell! Schnell!”, pisała po latach Stanisława Syska (z domu Kropornicka). W wieku dziewięciu lat została wysiedlona ze Skierbieszowa z ro-



Jedna ze spacyfikowanych wsi na Zamojszczyźnie, lato 1943 r.

dzicami, siostrą Wacławą i babcią. Niemcy nie zważali na wiek i stan zdrowia ofiar. Wszyscy, nawet obłożnie chorzy, starcy, inwalidzi, małe dzieci i kobiety w ciąży zmuszani byli do opuszczenia domów. Tych, którzy nie byli w stanie tego zrobić, mordowano na miejscu. Niezwykle szybkie tempo towarzyszące wysiedleniom powodowało, że ludzie bardzo często nie mogli zabrać nawet dozwolonego bagażu, minimum żywności i wystarczająco dobrze ubrać dzieci.

Wysiedloną ludność gromadzono w określonym miejscu (np. plac w pobliżu szkoły, kościoła, figury itp.), gdzie trzymano ją czasami po kilka, kilkanaście godzin na mrozie. Po „wstępnej” selekcji, nielicznych pozostawiano we wsi. Pozostałych zaś pod eskortą kierowano do Zamościa, do obozu przejściowego. Później powstał także podobny obóz w Zwierzyńcu.

W obozie przejściowym

W obozie przejściowym w Zamościu Polaków poddawano rejestracji, a następnie całe rodziny stawały przed specjalnymi „komisjami antropologicznymi”. Decydowały one

o ich dalszym losie. Kierując się wzorcem rasy aryjskiej, dokonywały rasowej segregacji wysiedleńców, dzieląc ich na cztery grupy. Do I i II kwalifikowano osoby, które zdaniem Niemców przedstawiały najlepszą wartość rasową i nadawały się do ewentualnej germanizacji. Miały one zostać wysłane do Łodzi, na dalsze badania. Grupę III miały tworzyć osoby zdolne do pracy, w wieku 14-60 lat. Przeznaczono ich na roboty przymusowe w Rzeszy. W grupie IV znaleźć się mieli Polacy, których planowano wysłać do KL Auschwitz, gdzie czekała na nich zagłada przez pracę.

Osoby z III i IV grupy, doświadczały niewyobrażalnego dramatu rozdzielenia rodzin. Wyłączano z nich dzieci do 14 roku życia, osoby powyżej 60 lat, a także chore i lokowano ich w najgorszych pod względem warunków sanitarno-higienicznych barakach. Wcześniej pełniły one funkcję stajni dla koni. Do jednego z takich baraków (nr 16) skierowano wraz z babcią Stanisławę Syskę: „Był to duży barak bez podłogi, bez okien, drzwi to były ogromne wrota (...) Było strasznie ciemno i strasznie

zimno. Wiatr zawodził, baliśmy się Niemców i tych ciemności, które nas otaczały. Płakaliśmy. Modliliśmy się. Co jakiś czas ktoś wołał: „Mamo”, „Tato” – wspominała Stanisława Syska.

„Transporty śmierci”

W niedługim czasie znalazły się one wraz z innymi (tj. niezakwalifikowanymi do zniemczenia dziećmi wraz z starcami) w pierwszym z „sześciu transportów śmierci”, które na przełomie 1942/1943 r. skierowano z obozu w Zamościu do dystryktu warszawskiego. Niemcy na jego terenie (oraz w radomskim) mieli rzekomo utworzyć dla tych osób tzw. wsie rentowe (Rentendörfer). Jednakże do ich powstania nigdy nie doszło.

Osoby te przewożono w katastrofalnych warunkach (nieogrzewane wagony towarowe), w trakcie ostrej zimy. Wiele osób, w tym dzieci, zmarło. Los pozostałych był Niemcom obojętny. Z pomocą przyszła miejscowa społeczność. Zaangażowały się w nią organizacje pomocowe (m.in. agendy terenowe Rady Głównej Opiekuńczej), zgromadzenia zakonne (np. siostry szarytki), harcerki, przedstawiciele świata kultury i sztuki (m.in.



Bronisława Kropornicka wraz z córkami Wacławą i Stanisławą

szwedzka aktorka Elna Gistedt), a także wiele osób prywatnych. Stanisława Syska w Piławie znalazła schronienie w domu rolnika Józefa Książka, który mimo że sam miał dwójkę własnych dzieci, oprócz dziewczynki zabrał kilkoro innych.

KL Auschwitz

„Pamiętam głód, który skrecał kiszki i zimno takie przejmujące, że nawet serce z zimna się trzęsło” – relacjonowała o swoim pobycie w KL Auschwitz siostra Stanisławy Syski, czternastoletnia wówczas Wacława Kropornicka, skierowana tam wraz z rodzicami. Znalazła się ona wśród co najmniej 162 dzieci, które od grudnia 1942 r. do lutego 1943 r. skierowano do tego obozu.

Zgodnie z tajnymi wytycznymi Hermanna Krumeja (szefa Centrali Przesiedleńczej w Łodzi), opracowanymi dla obozu zamojskiego, do KL Auschwitz jako „siła robocza”

miały trafiać osoby najmniej wartościowe rasowo, pomiędzy 14 a 60 rokiem życia. W praktyce kierowano tam wysiedleńców przekraczających górną granicę wieku oraz dziewczynki i chłopców, którzy nie ukończyli czternastego roku życia.

Do KL Auschwitz wprost z obozu przejściowego w Zamościu przewożono całe rodziny. Wynikała z tego prosta zależność: nawet jak dziecku udało się przeżyć, co było bardzo trudne, to w obozie bardzo często ginęli jego najbliżsi: matka, ojciec, brat, czy siostra. Dwunastoletnia Józefa Głazowska wysiedlona wraz z rodzicami ze wsi Sitaniec k. Zamościa, w obozie straciła matkę i ojca. Sama doczekała wolności w obozie w Potulicach, dokąd w styczniu 1945 r. trafiła wraz z innymi dziećmi.

Wyjątkowo okrutnie w KL Auschwitz potraktowano przywiezionych z Zamojszczyzny chłopców.

Dokończenie na str. 10



Rodzina Wilczaków wysiedlona z Dereźni Solskiej. Na zdjęciu brakuje dwojga dzieci, które wraz z całą rodziną po pobycie w obozie przejściowym w Zwierzyńcu umieszczono w KL Lublin

Dokończenie ze str. 9

Dziewięcioletni Tadeusz Rycyk, wysiedlony z Sitańca z dwójką rodzeństwa i rodzicami, został zamordowany zastrzykiem fenolu. Taki sam los spotkał jego dwunastoletniego brata Stanisława i ponad połowę zamojskich chłopców. Z całej pięcioosobowej rodziny obóz przeżyła tylko matka Feliksa.

W ten sam sposób mordowano ciężarne kobiety z Zamojszczyzny i matki z noworodkami. Do liczby zabitych 39 dziewcząt (spośród 79) oraz 74 chłopców (spośród 83) należy dodać nieustaloną liczbę noworodków, które przyszły na świat w obozie.

Na dzieciach z transportów zamojskich przeprowadzono także w KL Auschwitz zbrodnicze eksperymenty medyczne. Wacława Kropornicka została zainfekowana malarią: „dano nam zastrzyki, po których ciało zamieniało się w jeden wielki wrzód, składający się z wielu guzów. Widząc swój stan, sądziłyśmy, że zostaniemy zgładzone w komorze gazowej (...)” - wspominała polatka.

Ogromna większość Polaków z Zamojszczyzny zmarła w stosunkowo krótkim czasie od momentu przybycia do obozu. Przyczyną wysokiej śmiertelności były częste selekcje, przeprowadzane wśród wszystkich więźniów, trudne warunki atmosferyczne związane z panującą zimą. Dodatkowo, wysiedleńcy trafili do KL Auschwitz II Birkenau w momencie, kiedy był on ciągle jeszcze w stanie budowy, toteż panowały w nim szczególnie katastrofalne warunki higieniczno-sanitarne.

KL Lublin

Innym niemieckim obozem koncentracyjnym, do którego skierowano dzieci z Zamojszczyzny i ich rodziny, był KL Lublin (potocznie nazywany Majdankiem).

Miało to miejsce podczas ostatniej, trzeciej fazy wysiedleń, prowadzonej pod pretekstem walki z partyzantami (operacja pod kryptonimem „Werwolf”). W czerwcu i lipcu 1943 r. na Majdanek deportowano blisko 8600 osób, przeważnie wprost z obozów przejściowych w Zamościu i w Zwierzyńcu. Po przybyciu do obozu, wysiedleńców poddawano tzw. procedurze przyjęcia. Zasadniczo dzieci, które nie ukończyły 14 lat, nie uwzględniono w systemie ewidencji obozowej. O ich pobycie w KL Lublin świadczą jedynie adnotacje umieszczone w kartotekach matek. Starsze traktowano jak osoby dorosłe, co wiązało się m.in. ze skierowaniem ich do pracy w komandach roboczych. Dzieci wraz z matkami umieszczono na III lub V polu więziarskim.

Warunki bytowe na Majdanku były tragiczne. Stanisława Wilczak, która została wysiedlona z Dereźni Solskiej jako ośmioletnia dziewczynka razem z rodzeństwem i rodzicami, tak opisała swój pobyt w KL Lublin: „W dzień siedzieliśmy na piachu przed barakiem i tam nam dawano śniadanie. Czarną kawę gorzką jak piołun, kromeczkę chleba. Zawsze mówiłam, że „mnie ten chlebek zmieści się na dłoni, to musiało starczyć do obiadu(...)”. Insekty tak nas gryzły, że siedząc na piachu widzieliśmy łażące wszy”.

Wszechobecny głód, infekcje, przepełnione baraki oraz katastrofalne warunki higieniczno-sanitarne były przyczyną wysokiej śmiertelności wśród najmłodszych więźniów. Dodatkowo, w lipcu 1943 roku, władze obozu odcięły więźniom z III pola dostęp do wody, co jeszcze bardziej pogorszyło i tak już dramatyczną ich sytuację.

Dzieci z Zamojszczyzny przebywały w KL Lublin kilka tygodni. Po tym czasie większość z nich wraz z rodzicami

skierowano do obozu przy ulicy Krochmalnej w Lublinie, skąd wywożeni byli do niewolniczej pracy na terenie III Rzeszy. Część małoletnich więźniów Majdanka zwolniono z obozu dzięki ogromnemu zaangażowaniu organizacji pomocowych, m.in. Rady Głównej Opiekuńczej. Wiele z nich, chorych i wycieńczonych, trafiło do lubelskich szpitali, w których otrzymały natychmiastową pomoc. O stanie zdrowia zwolnionych z Majdanka dzieci dowiadujemy się m.in. z relacji Ireny Wysłobodzkiej, pielęgniarki zatrudnionej w szpitalu Jana Bożego w Lublinie, który przyjął grupę najmłodszych więźniów obozu: „Dzieci były kompletnie wycieńczone, chorowały na biegunkę (...) Jedną z dziewczynek, dziewięcioletnią Marysia, wyglądała jak niewielki kłębuszek. Przyniesiono ją zwinętą w koc. Nie mogła o własnych siłach stać ani siedzieć, nie była w stanie samodzielnie jeść (...) Dziewczynkę udało się uratować. Około 30 zmarło jednak wskutek wycieńczenia. Dzieci były potwornie zaszczepione”.

Roboty przymusowe w III Rzeszy

Wysyłanie na roboty przymusowe do III Rzeszy była to kolejna kwestia, która dopełniała tragiczny los najmłodszych zamojskich ofiar. Teoretycznie kierowane miały być tam osoby zdolne do pracy, a więc zakwalifikowane do grupy III, w wieku 14-60 lat. Praktycznie niewolniczą siłą roboczą stawały się także dzieci poniżej dolnej granicy. Taki los spotkał np. dwunastoletniego Jana Filistę wysiedlonego ze wsi Luchów Dolny. Wraz z rodzicami i rodzeństwem trafił do pracy w niemieckiego gospodarza w Rzeszy. Pisał on: „(...) Matka z siostrą zostały przydzielone do pracy w polu, ojciec z bratem też dostali swoje zadanie, a mnie, najmłodszemu, najpierw przy-



Zdjęcie obozowe Krystyny Trześniewskiej, wysiedlonej z Przedmieścia Majdan, numer obozowy 27129. W dniu wysiedlenia miała 13 lat.



Badania wysiedlonej ludności przez niemieckiego lekarza, 1943 r.

dzielono woły pociągowe, a potem konie. Miałem zaledwie 12 lat i z trudem sobie z tym radziłem (...)”.

Na roboty w Niemczech trafiały także rodziny z licznym potomstwem oraz samotne matki z dziećmi. Przykładem może być rodzina Obirków z Rudy Różanieckiej: matkę Bronisławę i czwórkę jej dzieci: jedenastoletnią Heleną, czteroletnią Anielą, sześciolatniego Mieczysława i pięcioletnią Łucją z KL Lublin skierowano do pracy w Rzeszy.

Pacyfikacje

W ścisłym związku z akcją wysiedleńczo-kolonizacyjną na Zamojszczyźnie pozostawały także pacyfikacje. Niezależnie od zastosowanej formy, rodzaju użytych sił wojskowych lub policyjnych, elementem wspólnym była niezwykła brutalność, z jaką Niemcy obchodzili się z mieszkańcami danej wsi. Mordowano ludzi bez względu na płeć i wiek. W gronie ofiar znajdowali się nie tylko dorośli, lecz także bezbronne dzieci. Wśród 165 zamordowanych (11 grudnia 1942 roku) mieszkańców Kitowa znalazło się np., co najmniej 28 dzieci poniżej 15 roku życia. 29 grudnia 1942 roku w Białowoli, Niemcy zabili 52 osoby, w większości kobiety i dzieci.

Dziewięcioletnia Teresa Ferenc oraz jej rodzeństwo - pięcioletni brat i dwuletnia siostra - byli nielicznymi osobami, które przeżyły pacyfikację wsi Sochy. 1 czerwca 1943 roku Niemcy zamordowali na ich oczach rodziców: „Tamtej nocy nad ranem, miałam dziwny sen (...) Z tego snu wybudziła mnie właśnie matka: Tereska, ubieraj dzieci, bo dookoła się pali, musimy uciekać (...) Wyszliśmy z domu na polną drogę. Niemcy stali w górze dość daleko (...) nagle mama zauważyła, że ojciec pada. Powiedziała: chyba tata nie żyje, a ja jej odpowiedziałam, że on się specjalnie położył, bo tak myślałam. Niemcy szli między płotem a żytem, ciągle strzelając. Doszli do nas. Jeden z nich strzelił do mamy. Wypuściła z rąk Krysię, moją młodszą siostrę, która miała wtedy dwa lata (...) Na podwórzu u dziadków wpelzłam ze strachu pod drabinasty wóz (...) Ledwo wpelzłam i (...) po wozie poszła seria (...) Od tego wszystkiego zaniemówiłam. Po trzech dniach dopiero zaczęłam płakać. Inie mogłam przestać przez cały rok (...)”.

Rabunek dzieci w celu germanizacji

Dzieci z Zamojszczyzny znalazły się też w gronie co najmniej 200 tys. polskich dzieci zrabowanych w celach germanizacyj-

nych. Wyszukiwane m.in. podczas „badań rasowych” w obozach przejściowych, odpowiadające wzorcowi rasy nordyckiej były w sposób bezwzględny odrywane od matek i kierowane np. do niemieckich rodzin lub placówek Lebensbornu, gdzie robiono wszystko, aby nigdy nie dowiedziały się o swoich polskich korzeniach. Dlatego niewiele z nich udało się odnaleźć.

Powroty...

„Z różnymi przygodami dotarłam z siostrą Józefą do Lublina. Później do rodzinnej wioski do Mokrego. Ale tak naprawdę nie było do czego wracać. Nasz dom został na polecenie Niemców rozebrany. Mama, ojciec i brat nie żyli” - pisała o swoim powrocie w rodzinne strony Zofia Łys (z domu Bondyra), wysiedlona w wieku piętnastu lat z rodzicami i rodzeństwem ze wsi Mokre. Po pobycie w KL Auschwitz, gdzie straciła matkę, ojca i brata, została deportowana do obozów: Natzweiler, Ravensbrück, Berlin-Köpenick oraz Sachsenhausen. Dramatyczny, nieludzki i niewyobrażalny los jaki stał się udziałem Zofii Łys oraz pozostałych polskich dzieci z Zamojszczyzny odcisnął trwałe piętno na ich psychice oraz w ich dorosłym życiu.

Podsumowanie

Niemcy wcielając w życie bezprecedensową (poza eksterminacją europejskich Żydów), akcję wysiedleńczo-osadniczą na Zamojszczyźnie odebrali najmłodszym ich godność, prawo do normalnego dzieciństwa, w wielu przypadkach ukochanych rodziców i rodzeństwo, czyniąc je sierotami. Zabrali im także rodzinny dom, zdrowie fizyczne i psychiczne, świadomość polskiego pochodzenia (w przypadku tych, których poddali germanizacji), a co najważniejsze - życie. Przyjmuje się, że spośród przynajmniej 30 tys. wysiedlonych dzieci, 10 tys. straciło życie.

OBÓZ RASOWY PRZY ULICY SPORNEJ 73 W ŁODZI

W okresie niemieckiej okupacji w budynku klasztornym OO. Bernardynów położonym w Łodzi przy ulicy Spornej 73, mieścił się obóz określany powszechnie obozem rasowym (Rassenlager). Według Heinricha Himmlera, szefa SS, należało „czyste rasowo małe dzieci” odebrać polskim rodzinom, aby mogły być wychowywane w duchu niemieckim.

DR MICHAŁ KOBIERECKI
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Nie wiadomo dokładnie kiedy obóz powstał, ale od początku lutego 1940 r. Niemcy rozpoczęli wysiedlanie zakonników z klasztoru, by prawdopodobnie od jesieni tego roku zaczął tam funkcjonować obóz łódzkiej filii Głównego Urzędu Rasy i Osadnictwa (Rasse- und Siedlungshauptamt SS, Ausenstelle Litzmannstadt Lager) przy Landsknechtstrasse lub Wotanstrasse 73. Jego działalność zakończyła się w styczniu 1945 r.

Od strony formalnej brakuje dokumentów potwierdzających założenie owego obozu, ale jego celem było prowadzenie germanizacji wobec Polek i Polaków, którzy według niemieckich władz mogli powiększyć naród „Panów”. Według Heinricha Himmlera szefa SS należało „czyste rasowo małe dzieci” odebrać polskim rodzinom, aby w przedszkolach czy domach dziecka mogły być wychowywane w duchu niemieckim. Umieszczano w nim osoby z Łodzi i okolic, ale również z Kujaw, Pomorza i Wielkopolski, które władze niemieckie wykłuskiwały spośród lokalnych społeczności podczas kontaktów z aparatem biurokratycznym III Rzeszy. Pochodziły one z obozów przesiedleńczych, istniejących na terenie Kraju Warty, czy młodzieży zgłaszającej się do Arbeitsamtów w celu podjęcia obowiązkowej pracy, albo prosto z zakładów pracy. Umieszczano tam także matki z dziećmi, których mężowie przebywali w więzieniach bądź obozach. Ponadto kierowano tam chłopców o cechach nordyckich z obozu dla młodzieży istniejącego przy ulicy Przemysłowej w Łodzi, po uprzedniej wstępnej kwalifikacji.

Szczegółowe badania

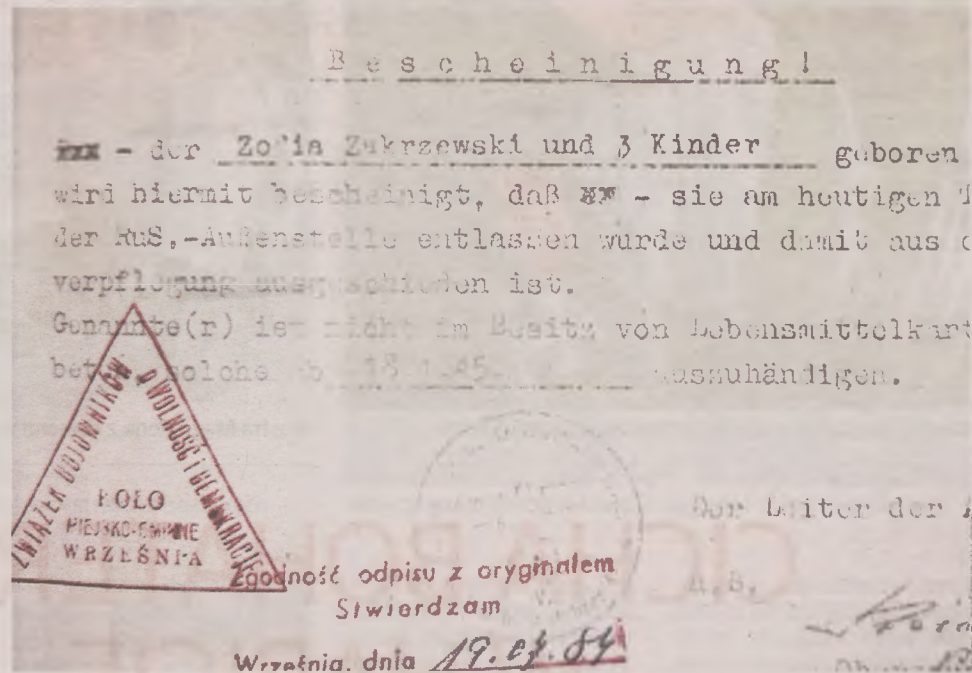
Warunki pobytu w obozie rasowym były lepsze od obozów pracy, czy przesiedleńczych jednak daleko im było do standardów uznawanych za znośne. Więźniowie przebywali w salach dwudziesto-, czterdziesto-, jak i dwuosobowej (sala gimnastyczna), w tym dzieci poniżej 7 roku życia były razem z mat-

kami, a starsze, młodzieży i dorosli zostali podzieleni według wieku i płci, a następnie umieszczano ich w odrębnych salach. Czasem zdarzało się jednak, iż całe rodziny przebywały razem, co wynikało najprawdopodobniej z przeludnienia obozu. Według złożonych relacji osób przebywających w obozie, mogło tam być jednocześnie około 1000 kobiet, dzieci oraz mężczyzn.

Po przybyciu do obozu więźniom wykonywano zdjęcia i nadawano numer, którym posługiwano się w trakcie badań. Wyjątkowo skrupulatne badania przeprowadzała kilkuosobowa komisja, której członkowie dokonywali wielu pomiarów różnych części ludzkiego ciała w tym: objętość głowy, wysokość głowy, objętość przedramienia, nóg nad kostką, łydki i uda, klatki piersiowej, bioder oraz talii. Mierzono także długość kończyn, badano proporcje budowy twarzy, kolor włosów i oczu, stan wzroku oraz uzębienie. Wykonywano również specjalistyczne badanie krwi, czy badanie rentgenowskie. W niektórych przypadkach podawano zastrzyki, ale nie miały one charakteru eksperymentów medycznych. Przeprowadzano szczegółowe wywiady pytając m.in. o zainteresowania, przebyte choroby – nie tylko przez samego badanego, lecz również jego bliższą i dalszą rodzinę.

Udowodnić typ nordycki

W obozie panowała duża rotacja osób zatrzymanych i okres ich pobytu wynosił od kilkunastu dni do kilku miesięcy, co zależało od wyników pierwszej fazy badań. Gdy odnajdywano jakieś skazy, dyskredytujące badanego, wywożono go do innego obozu – przeważnie podległego Urzędowi Pracy (Arbeitsamt) w Łodzi, lub zwalniano do domu. Jeśli pierwsze badania wypadły pozytywnie – z punktu widzenia niemieckich interesów – przeprowadzano kolejne, bardziej szczegółowe. Zdarzało się, iż dla udowodnienia, że więzień reprezentuje typ nordycki, sprowadzano do obozu jego rodzinę, którą również poddawano badaniom.



Dokument zwolnienia z obozu Zofii Zakrzewskiej i jej trojga dzieci w dniu 17 stycznia 1945 r.

Każdy dzień w obozie zaczynał się i kończył apelem. Osadzeni w obozie, w szczególności dotyczyło to młodzieży i dorosłych, byli zatrudnieni przy pracach pomocniczych w kuchni, przy sprzątaniu terenu oraz w pracach w przyobozowym gospodarstwie rolnym. Prace wykonywano pod nadzorem funkcyjnych. Za popełnione przez więźniów przewinienia funkcjonariusze załogi karali biciem.

Wiadomo, że przebywający w obozie więźniowie otrzymywali codziennie trzy posiłki. Na śniadanie i kolację wydawano dwie kromki chleba z marmoladą i czarną kawę zbożową, a czasem wieczorem zamiast tego była kasza lub ziemniaki. Natomiast na obiad podawano zupę z kapusty, buraków lub brukwi oraz kromkę chleba. Nie były to wystarczające racje żywnościowe, szczególnie w odniesieniu do dzieci, czy młodzieży, a dodatkowo nie przekazywano nikomu paczek żywnościowych.

Według relacji byłych więźniów w salach panował brud i były one zarobaczane, a osadzeni spali na piętrowych łóżkach wyłożonych niewielką ilością słomy i do przykrycia służyły im cienkie koce. Ponadto była jedna umywalka na kilkadziesiąt osób. Złe wa-

GDY ODNAJDYWANO JAKIEŚ SKAZY, DYS- KREDYTUJĄCE BADANEGO, WYWOŻO- NO GO DO INNEGO OBOZU LUB ZWALNIA- NO DO DOMU

runki żywieniowe wraz z trudnymi warunkami bytowymi doprowadziły, że wśród więźniów, przede wszystkim dzieci i młodzieży, szerzyły się różne choroby. Brak odpowiedniej opieki lekarskiej i leków przyczyniły się do rozwoju dyfterytu i szkarlatyny, co potwierdzają informacje pochodzące z zachowanych skąpych źródeł, gdyż od marca 1941 r. do czerwca 1942 r. w obozie zmarło na te choroby co najmniej 41 więźniów w wieku od 8 miesięcy do 31 lat. Poza tym sporadycznie pojawiała się biegunka i chorowano na zapalenie opon mózgowych. Z powodu braku informacji nie można ustalić, czy dochodziło do zabójstw spowodowanych przez strażników bądź obsługę obozu. Wiadomo natomiast tylko o jednym takim przypadku.

Teraz jesteście Niemcami

Przez obóz przechodzili różni więźniowie ze względu na wiek i płeć, ale dla każdego z nich, który został uznany za odpowiedniego do zniesienia były przewidziane konkretne role. Młodzież obu płci w wieku od 14 do 18 lat była przewożona z obozu w głąb III Rzeszy i umieszczana w niemieckich rodzinach. Wymagano by uczyli się języka niemieckiego oraz zakazywano kontaktów z innymi Polakami. Ich obowiązkiem były prace porządkowe u niemieckich opiekunów. Dziewczeta prowadziły dom, opiekowały się dziećmi, chłopcy pracowali w fabrykach, wykonywali różne prace w gospodarstwach rolnych. Cały czas wpajano im, że są ludźmi wyższej kategorii, z drugiej jednak strony z reguły nakazywano im pracę ponad siły, często z minimalnym wynagrodzeniem. Cały czas towarzyszyła im również troska o losy bliskich, z którymi ich rozdzielono.

Drugą grupę stanowiły dzieci osadzone w obozie razem z matkami i poddawane badaniom lekarskim; to one były najbardziej skrupulatnie badane. Jeśli wynik był pozytywny, oczywiście z punktu widzenia interesów niemieckich, to dalszy tok postępowania uza-

leżniony był od wieku dziecka. W wypadku starszych – wywożone je w głąb III Rzeszy wraz z matką. Wszyscy byli zmuszeni do pracy, musieli porozumieć się jedynie w języku niemieckim, zaś dzieci obowiązkowo uczyły się tego języka. Czasem, już po wywiezieniu, oddzielano jednak dzieci od matek i niemczono je w ośrodkach germanizacyjnych.

Podobny los czekał najmłodsze dzieci. Gdy uznawano, iż reprezentują typ nordycki, również zabierano je od matek i wywożono w głąb Rzeszy, bądź do jednego z ośrodków germanizacyjnych w Kraju Warty. Jeden z nich istniał w Kaliszu, gdzie małe dzieci uznane za czyste rasowo przewożono do domów dziecka, czy ośrodków Stowarzyszenia „Lebensborn”, położonych w Austrii lub Rzeszy. Poza tym były bardziej niż inne podatne na panujące w obozie choroby. Natomiast pozostałe uznane za nieodpowiednie w części oddawano rodzinom lub przekazywano do domów dziecka.

W odróżnieniu od innych obozów funkcjonujących w Łodzi w okresie niemieckiej okupacji, obóz rasowy przy ulicy Spornej 73 był objęty ścisłą tajemnicą. Nie odnaleziono dokumentu na podstawie, którego ów obóz powstał. W momencie, gdy zbliżał się koniec III Rzeszy, dokumentacja dotycząca germanizacji tysięcy Polaków i osób innych narodowości była w pierwszej kolejności niszczone. Stąd niewiele informacji o funkcjonowaniu tego jak i innych podobnych obozów. Ponadto niemieccy funkcjonariusze zmieniali dane osobowe osób, dzieci, które zostały poddane germanizacji, czasami wielokrotnie. W konsekwencji nie udało się ustalić historii życia wielu dzieci, które przeżyły wojnę i wróciły bądź nie do Polski. Wiele z nich w latach 1946 – 1948, a czasem i jeszcze później, często przez Szwajcarię, Włochy i znajdujące się tam ośrodki Czerwonego Krzyża, wróciło do Polski. Jednak niektóre z dzieci, czy z młodzieży nie miały ochoty wracać do zniszczonego kraju bądź rodziców, których nie pamiętały.

DR JOANNA ŻELAZKO
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Siostra Magdalena, czyli Irena Śmiałowska, wstąpiła do Zgromadzenia Sióstr Urszulanek w Pniewach w 1935 r. Dwa lata później przyjechała do domu zakonnego w Łęczycy. Pracowała tam w - prowadzonym przez zgromadzenie - przedszkolu.

Po napaści III Rzeszy na Polskę, w dniu 12 września 1939 r. wojska niemieckie wkroczyły do Łęczycy. Urszulanki mieszkające, tak jak przed wojną, przy ul. Poznańskiej 6. Wznosiły także - bez wiedzy władz okupacyjnych - działalność przedszkola. Prowadziły je do 3 października 1940 r., kiedy to Niemcy zajęli większość pomieszczeń należących do zgromadzenia.

Początkowo siostram udało się uniknąć wywiezienia do Generalnego Gubernatorstwa, jednak w zamian musiały szyć, cerować i prać ubrania Niemcom. Nie na długo zabezpieczyło je to przed wywózką. 6 lipca 1942 r. ruszyły pociągami z Łęczycy: „zajeżdżałyśmy do stacji Schmückert” [Bojanowo]. Razem z duchownymi oraz zakonnicami z innych zgromadzeń trafiły do tamtejszego obozu. Cztery miesiące później, s. Magdalena wytypowano do dalszego wyjazdu. Była zrozpaczona: „plakałam jak z tego obozu wychodziłam”.

Czy siostra kocha dzieci?

Wybrane zakonnice zostały przewiezione do Poznania. Tam je rozdzielono. Siostra Magdalena trafiła, jako opiekunka, do domu dziecka usytuowanego przy ul. Głównej. Trafiła do niego zarówno dzieci polskie, jak i niemieckie z Poznania i okolic. Te pochodzenia polskiego znalazły się tam, ponieważ - zdaniem okupantów - wykazywały cechy nordyckie, a więc nadawały się do zniewolenia. Ich rodzice byli w więzieniach albo nie żyli. Natomiast dzieci niemieckojęzyczne, które stanowiły mniejszość, najczęściej pochodziły z mieszanym polsko-niemieckich. Zabierano je wbrew woli rodziców i starano się wychowywać w posłuszeństwie Führerowi.

Dzieci nie zawsze respektowały nakaz mówienia po niemiecku. Tym bardziej, że s. Magdalena mówiła do nich wyłącznie po polsku. Twierdziła, że nie zna niemieckiego. Kierowniczka domu dziecka próbowała wymusić posługiwanie się przez wszystkich językiem niemieckim, ale z różnym skutkiem. Kiedy s. Magdalena została z podopiecznymi sama, znów rozmawiała z nimi



Siostra Magdalena została odznaczona w 2005 roku



Siostra Magdalena z dziećmi w 1943 roku

CICHA BOHATERKA W HABICIE

Niemka kierująca domem dziecka zapytała siostrę Magdalena, czy mówi po niemiecku. Siostra skłamała zaprzeczając. Niemka знаła trochę polski.

- Czy siostra chce u nas zostać? Ja mówię: jak mnie tu przysłali, no to

zostanę. - Czy siostra kocha dzieci?, a ja mówię: bardzo kocham dzieci.

- Dzisiaj dwoje przyjedzie, to niech się siostra tymi dziećmi zajmie”.

po polsku. Nie chciała, aby dzieci zapominały mowę ojczystą i straciły poczucie przynależności narodowej.

W 1943 r. s. Magdalena została przeniesiona do domu dziecka przy ul. Warszawskiej w Poznaniu. Kiedy tam przyjechała, została wezwana na rozmowę przez niemiecką kierowniczkę placówki, która zapytała ją, czy mówi po niemiecku. Siostra skłamała zaprzeczając. Wtedy: „popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się, (...) ona umiała trochę po polsku i mówi: czy siostra to chce u nas zostać? Ja mówię: jak mnie tu przysłali, no to zostanę. - Czy siostra kocha dzieci?, a ja mówię: bardzo kocham dzieci. - Dzisiaj dwoje przyjedzie, to niech się siostra tymi dziećmi zajmie”. I siostra Magdalena została.

W tym domu dziecka były dzieci z małżeństw mieszanym. Najczęściej matka

była Polką, a ojciec Niemcem. Gestapowcy „wchodzili do mieszkań i kazali pokazać dzieci, później brali [je] pod pachę i do auta (...) uważali, że to są już ich dzieci i zabierali, a rodzice nawet nie wiedzieli gdzie one są”. Odebrane od najbliższych bardzo tęskniły i często płakały. Poruszona tym s. Magdalena postanowiła im pomóc.

To była misja bardzo nieostrożna...

Dodatkowo do działania zmotywowała ją informacja, że dzieci miały zostać wywiezione do Niemiec i wynarodowione. Od zakonnic pracujących w kancelarii domu dziecka otrzymała nazwiska i adresy rodziców dzieci. Wykorzystując przysługujące jej w tygodniu pół dnia wolnego od pracy s. Magdalena, chodząc pod te adresy i informowała rodziców, gdzie dzieci

przebywają. „Im nie wolno było przychodzić do dzieci, żeby się nie wydało. To była misja bardzo nieostrożna, ale tym ludziom bardzo potrzebna, oni tak bardzo się cieszyli [z tych informacji]”.

W styczniu 1945 r., z powodu nadciągającego frontu, Niemcy prowadzili ewakuację. Postanowili, że wychowankowie (około trzydzieścioro dzieci) i opiekunki, pojedą do Niemiec. Siostra Magdalena nie zgodziła się wyjechać, chciała też zapobiec wywózce dzieci: „Trzeba było to tak zorganizować, żeby po prostu porwać chociaż niektóre dzieci, bo wszystkich się nie dało”.

Dzieci podzielone zostały na dwie grupy. Jedną miały jeździć pociągami, drugą autobusem. Na Dworzec Wschodni w Poznaniu zwożono je samochodami i tam przesiadały się do pociągu. Odbywało się to

nocą. W podobnych okolicznościach - w nocy - miała wyjechać grupa podróżująca autobusem. Późna pora i pośpiech dawały szansę na realizację planu.

Kiedy s. Magdalena dostała polecenie pakowania bagaży dzieci i poznała termin ewakuacji, postanowiła działać. Kierująca domem dziecka Niemka miała do niej zaufanie, dlatego zgodziła się, aby mimo gorącego okresu przygotowań do wyjazdu, wykorzystywała przysługujące jej wolne od pracy po południe. Siostra spożytkowała ten czas na wędrowkę po Poznaniu i zawiadamianie rodziców lub dziadków o terminie wyjazdu i pomyśle na „porwanie”. Powiedziała o której i gdzie będzie czekał autokar, żeby przyszli w to miejsce. „Kto może to niech porwa. Przecież sama nie mo-

głam tego zrobić, bo Niemcy mnie znali i dzieci było za dużo”.

Siostra poprosiła kierowcę, aby - w zamian za подарowane mu papierosy - otworzył tylne drzwi pojazdu i udawał, że nie widzi, co się dzieje. Mężczyzna dał się przekonać. Kobieta wprowadzając dzieci do autokaru wypuszczała tylnym wejściem te, które wcześniej przytuliła s. Magdalena. W pobliżu czekali ich rodzice i zabierali je do domów. Te, które odjechały, nie dotarły daleko. „Dowiedziałam się, że gdzieś jeszcze przed Niemcami zatrzymano autokar z dziećmi, akurat naszymi i wyrzucono je z niego. Niektóre dzieci po jakimś czasie wróciły do swoich domów. Nie wiadomo co się stało z pozostałymi”.

Natomiast dzieci, które pojechały na dworzec samochodami, musiały przesiąść się do pociągu. W czasie wsadzenia ich do wagonów kolejowych, część udało się wykraść czekającym w pobliżu rodzicom. „Po kryjomu zabierali i Niemcy nawet nie spostrzegli się”. „Mnie by wtedy pociąg przejechał, bo biegłam do tej stacji Poznań Wschód, żeby porwać jeszcze jedno dziecko, które nie było porwane. To był koszmar... była noc... te dzieci płakały”.

Siostra Magdalena szczególnie zapamiętała małego chłopca - Marysia, który nie poznał swojej matki. Kobieta próbowała zabrać go w czasie przesiadki, ale wystraszone dziecko zaczęło krzyczeć. Nadzorujący wyjazd Niemcy zorientowali się, co się dzieje i odebrali go od matki. Pomoc nadeszła z nieoczekiwanej strony. Jedną z pracujących w domu dziecka Niemek - poznanianką, która nie chciała wyjeżdżać do Rzeszy, wytłumaczyła Marysiowi, żeby się nie bał, bo ta kobieta to jego mama i powinien do niej iść. Uspokojony chłopiec posłuchał jej i w ten sposób zdołano uratować również jego.

Powrót do Łęczycy

Po zakończeniu wojny siostra Magdalena miała kontakt z nielicznymi spośród uratowanych dzieci. Spowodowane to było tym, że większość z nich znała tylko jej imię, a nie nazwisko, czy nazwę zgromadzenia. Poza tym siostra wróciła do Łęczycy, o czym nie wiedzieli ludzie, którym pomogła. Jednak nie można mieć wątpliwości, że pozostała w ich wspomnieniach, jako symbol miłości i dobroci.

Za zasługi w ratowaniu polskich dzieci w okresie II wojny światowej s. Magdalena została 20 maja 2005 r. odznaczona Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

DZIECI W OBOZIE W POTULICACH POD NAKŁEM (1941-1945)

Dzieci uczestniczyły w wielogodzinnych apelach, stojąc na zewnątrz w białej bieliźnie i bez butów. Spały na podłodze, na słomie i głodowały. Były poddawane eksperymentom pseudomedycznym. Najmłodsze wykorzystywano też do prac porządkowych w obozie. Stworzono dla nich osobne komando pracy, które nadzorował esesman.

DR IZABELA MAZANOWSKA
DELEGATURA IPN
W BYDGOSZCZY

Najbardziej zapamiętałam dzień, gdy z grupą dzieci zauważyliśmy, jak wartownik jadł chleb, stanęłam pod wieżą razem z nimi i wołaliśmy: <<Gib mir Brot>>, bo byliśmy bardzo głodni”.
Relacja Lidii Kubackiej z d. Żyła

„...jako 13-letni chłopak z narażeniem własnego życia przekradałem się do lochów zamku potulickiego, aby przez zamknięte podwójne drzwi, umożliwiające przez otwory zamka podanie za pomocą słomki i butelki wody, ratować matkę i utrzymać przy życiu.”
Relacja Kazimierza Wojczyńskiego

„Miałam dopiero lat trzynaście, ale zabrano mnie wraz ze starszymi kobietami, do pielienia młodego sadu. Gołymi rękami kazano nam usunąć perz. Skubaliśmy więc zdartymi do krwi palcami ów perz a była to praca bezużyteczna, gdyż było pewne, że jeżeli korzenie zostaną w ziemi, to po pierwszym deszczu perz będzie rósł jeszcze bujniej”.
Relacja Cecylii Samsełskiej

„My, dzieci najwięcej baliśmy się rozdzielenia od rodziców. Na szczęście pozostaliśmy razem. Najgorsze były noce, bo panowała straszna ciasnota i zaduch. Barłóg, na którym spaliliśmy, trząsł się od pcheł i wszy. Ciało mieliśmy pokłute i podrapane niemożliwie. Matka ukradkiem, w krzakach wyskubywała nam gnidy z włosów, by Niemcy nie zgolili nam głów. Roślejsze dzieci także chodziły do roboty. Chociaż miałam dziewięć lat, ale byłam wysoka, więc musiałam zbierać kamienie na terenie przeznaczonym pod nowy obóz i wykonywać różne inne prace porządkowe. Ale ta praca o głodnym żołądku nie była tak straszna jak noc w zaduchu, gdzie ciało zżerało insekty”.
Relacja Wandy Gałąskowej z d. Robak

Przytoczone powyżej relacje byłych więźniów obozu w Potulicach, będących w czasie wojny dziećmi obrazują dra-



Nieletnich zatrudniano w przedsiębiorstwach obozowych

mat obozowego życia. Dla najslabszych, czyli dzieci i osób starszych było ono szczególnie trudne do zniesienia.

Jak obóz koncentracyjny

Polityka władz niemieckich w odniesieniu do Pomorza Gdańskiego miała doprowadzić do całkowitego „odpolszczenia” tych ziem. Uważano, że są one rdzennie niemieckie i po okresie II Rzeczypospolitej zamierzano uczynić wszystko, aby przywrócić stan z czasów zaborów. W pierwszej kolejności na masową skalę eksterminowano Polaków uznanych za wrogów Rzeszy. W wyniku zbrodni popełnionych w okresie od września do grudnia 1939 r. na terenach wchodzących w skład przedwojennego województwa pomorskiego życie straciło ok. 30 tys. osób. Kolejnym działaniem były wysiedlenia ludności nienadającej się do germanizacji, przeważnie do Generalnego Gubernatorstwa lub w mniejszym zakresie na roboty przymusowe do Niemiec czy też na badania rasowe w obozie Urzędu Rasy i Osadnictwa SS w Łodzi i sprowadzenie na ich miejsce Niemców z krajów zamieszkałych przez mniejszość niemiecką, jak np. Litwa czy Rumunia. Usprawnieniu procesu wysiedleń służyły obozy przesiedleńcze, w tym największy na Pomorzu obóz w Potulicach koło Nakła, który zaczął przyjmować więźniów w lutym 1941 r. W połowie marca 1941 r. wstrzymane zostały wysiedlenia do GG. Jednak w związku z ciągłym przyrostem Niemców bałtyckich i be-

sarskich, w dalszym ciągu usuwano polskich mieszkańców z domów i gospodarstw. W ramach tzw. wysiedleń wewnętrznych ludzi kierowano do innych polskich rodzin.

Z czasem władze niemieckie zauważyły, że zgromadzenie się licznej grupy Polaków w jednym miejscu może być dla nich niebezpieczne i grozić np. konspirowaniem. Od początku września 1941 r. zmienił się charakter obozów przesiedleńczych. Odtąd przybrały one charakter stałych obozów pracy, podporządkowanych wychowawczemu obozowi pracy w Stutthofie, przyjmujących także więźniów karnych. Ten stan rzeczy trwał do stycznia 1942 r., kiedy zmienił się status obozu w Potulicach, który stał się obozem macierzystym w stosunku do toruńskiej „Szmalcówki” i Smukały. Nie zmienił się jego charakter, nadal funkcjonował jako obóz karny dla Polaków, którzy dopuścili się różnego typu przestępstw. W 1943 r. ustały wysiedlenia oraz zlikwidowano obozy w Toruniu i Smukale. W tej postaci obóz w Potulicach funkcjonował do wyzwolenia przez Armię Czerwoną 21 stycznia 1945 r. Przez obóz w całym okresie istnienia przewinęło się ok. 25 tys. osób.

Ze względu na strukturę organizacyjną, warunki życia i stosowane kary obóz w Potulicach nie różnił się od obozów koncentracyjnych.

Komando dla najmłodszych

Pisząc o obozie w Potulicach nie sposób nie zwrócić szczególnej



Nieletni stanowili od 1/3 do 1/2 ogólnego stanu uwięzionych

uwagi na cierpienie dzieci, jako licznej grupy więźniów. W całym okresie istnienia obozu nieletni stanowili od 1/3 do 1/2 ogólnego stanu uwięzionych. Według dotychczasowych ustaleń w obozie zmarło 1297 osób, w tym aż 767 dzieci. Pierwszym zmarłym w obozie więźniem był półtoraroczny Edward Smutek. Najmłodszy trafił do obozu wraz ze swoimi rodzicami, nadmienić należy, że często wyłącznie z matkami. Mimo to większość dzieci miała ograniczony kontakt z rodzicami, zazwyczaj wysyłanymi na wiele tygodni do pracy poza obozem. Poza tym dzieci przychodziły w obozie na świat.

Ze względu na panujący głód, matki często nie były w stanie ich wykarmić, a mleka w obozowej kuchni przeważnie brakowało. W związku z tym śmiertelność w tej grupie wiekowej była tak wysoka. Historycy ustalili też, że pewna grupa dzieci w obozie została zamordowana. Nie była to śmierć przypadkowa, np. w wyniku pobicia, ale celowo zadana, chociażby poprzez utopienie czy rozstrzelanie. Stosunek załogi obozu w stosunku do dzieci nie różnił się zupełnie od zachowań w odniesieniu do dorosłych więźniów.

Na początku 1942 r. zdecydowano o kierowaniu dzieci i młodzieży w wieku od 13 roku życia do pracy w obozie, jak i poza jego terenem. Nieletnich zatrudniano w przedsiębiorstwach obozowych, przede wszystkim w warsztatach futrzarskich. Zajmowali się szyciem, naprawianiem odzieży

wojskowej, ale także czyszczeniem cegieł do budowy nowego obozu, noszeniem desek i kamieni, rozładowywaniem ziemniaków, drewna i węgla na dworcu kolejowym w Bydgoszczy.

Także młodsze dzieci od 6 do 12 roku życia zmuszano do zbierania w lesie jagód, grzybów, pokrzyw lub chrustu. Najmłodsze dzieci wykorzystywano też do prac porządkowych w obozie. Stworzono dla nich osobne komando pracy, które nadzorował esesman. W grupie panowała surowa dyscyplina. Za jej naruszenia groziło bicie, kłeczenie na sosnowych szyszkach, zamykanie w karcerze.

Z Łodzi, Śląska i Smoleńska

Niezależnie od warunków pogodowych dzieci uczestniczyły w wielogodzinnych apelach, stojąc na zewnątrz w białej bieliźnie i bez butów. Spały na podłodze, na słomie i głodowały. Były poddawane eksperymentom pseudomedycznym lub często pobierano od nich krew. Dzieciom aplikowano zastrzyki w klatkę piersiową, po których puchły ręce, oczy, piersi, czy też bolała głowa, występowała gorączka. Jedną igłę wykorzystywano dla pięciu osób. Również te działania powodowały śmierć małych więźniów.

W okresie od 5 listopada 1943 r. do 8 września 1944 r. w Potulicach funkcjonował podobóz (Ostjugendbewahrlager Lebrechtsdorf) dla młodocianych więźniów, którymi były dzieci z rejonu Smoleńska i Witebska w Związku Radzieckim skierowane z obozu koncentrac-

cyjnego Auschwitz na kwarantannę po przebyciu tyfusu. Dzieci te przybyły do Potulic w liczbie 542 we wrześniu i październiku 1943 r. Ich rodzice walczący w radzieckiej partyzancie. Tzw. Bandenkinder (dzieci band) były niedożywione i nie miały odpowiedniego ubrania. Chorowały i umierały na żółtaczkę, szkarlatynę i dyfteryt. W czerwcu 1944 r. większość z nich skierowano do pracy w pobliskich gospodarstwach rolnych. Za brak posłuszeństwa spotykały je surowe kary fizyczne i psychiczne. Grupa przebywała w Potulicach do sierpnia 1944 r. W tym czasie trzydziścioro dziecięcych z nich zmarło. W sierpniu 433 dzieci wywieziono do obozu zniemczenia w Łodzi. Nie wiadomo, co się stało z pozostałymi. Od połowy lipca do początku września 1944 r. oprócz dzieci radzieckich zaczęto zwalniać także dzieci polskie. Łącznie zwolniono ich w tym okresie 2385, głównie z obawy przed wybuchem epidemii.

Po ich wyjeździe do obozu trafiły dzieci przysłane z Łodzi, Katowic i aresztów gestapo w Gdańsku i Bydgoszczy. Dzieci nadzorował kapo Wojciech Jopek, który z powodu swoich sadystycznych zachowań został w listopadzie 1946 r. skazany przez Specjalny Sąd Kamy w Toruniu na karę śmierci.

W Potulicach przebywała również grupa dzieci z Czładzi, Trzebinii i Sosnowca. Łącznie liczyła ona prawdopodobnie 139 osób. O losach przysyłanych miał decydować Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy. Przeprowadzano na nich szczegółowe badania i pomiary zmierzające do ustalenia ich nordyckiego pochodzenia. Niektórzy uczono języka niemieckiego.

W chwili wyzwolenia, w obozie macierzystym przebywało 660 dzieci. Przebywały w Potulicach razem z obłożnie chorymi i kobietami. Koniec wojny oznaczał koniec kilkunastu lat życia w strachu przed ciągłym niebezpieczeństwem ze strony obozowych strażników i kapo, w obawie przed utratą najbliższych, ale także doświadczeniem śmierci członków rodziny.

WYWÓZKA DZIECI Z ZAGŁĘBIA DĄBROWSKIEGO DO OBOZU W POTULICACH

Tragiczne losy „Dzieci Potulic” stanowią w Zagłębiu Dąbrowskim ważny element pamięci o dziejach tego regionu i jego mieszkańców podczas II wojny światowej. Szczególnie kultywowana jest ona w Czeladzi – siedziba tamtejszego Muzeum „Saturn” mieści się w budynku sierocińca, w którym dzieci przebywały po przywiezieniu z obozu. W mieście tym co roku – 19 lutego – odbywają się uroczystości upamiętniające powrót najmłodszych ofiar akcji „Oderberg” z Potulic.

MIROSŁAW WĘCKI
ODDZIAŁ IPN
W KATOWICACH

Wśród terenów II Rzeszy, które zostały zaanektowane przez III Rzeszę jesienią 1939 r. znalazł się obszar województwa śląskiego, który stał się rdzeniem utworzonej wówczas rejencji katowickiej (w 1941 r. weszła ona w skład prowincji górnośląskiej). Do tej jednostki administracyjnej włączono także część innych przedwojennych województw: kieleckiego (Zagłębie Dąbrowskie – miasto Sosnowiec i powiat będziński) i krakowskiego (powiaty chrzanowski oraz żywiecki) – w żargonie nazistowskim obszar ten był nazywany „pasmem wschodnim” (Oststreifen). W optyce niemieckich władz okupacyjnych większość mieszkańców byłego województwa śląskiego miała nadawać się „do ponownego zniemczenia” – tylko uznane za Polaków (około 10% populacji) miały zostać deportowane do Generalnego Gubernatorstwa. Inną przyszłość przewidywano dla „pasa wschodniego” – cała ludność polska (około 1 mln.) miała zostać wysiedlona do GG, z kolei Żydzi (około 100 tys.) zostali wymordowani w latach 1942-1943. Deportacje Polaków odłożono na czas powojenny – zwłaszcza mieszkańcy Zagłębia Dąbrowskiego byli okupantem potrzebnymi do pracy w tamtejszym przemyśle. Do większej akcji deportacyjnej doszło jedynie w 1940 r. na Żywiecczyźnie, skąd wysiedlono do GG około 20 tys. Polaków. Później w reencji katowickiej prowadzono tylko wysiedlenia „wewnętrzne”, które objęły razem około 81 tys. ludzi. Wyrzucone ze swoich domów polskie rodziny kierowano m.in. do utworzonych od wiosny 1941 r. obozów dla Polaków (Polenlager). Na terenie prowincji górnośląskiej powstały co najmniej 22 ośrodki tego typu ulokowane w halach fabrycznych,

klasztorach, czy szkołach itp. Według niepełnych, zapewne zaniżonych, danych trafiło do nich około 10 tys. ludzi. Warunki bytowania osadzonych były bardzo trudne, wpisywały się w nie głód, brutalne traktowanie i niewolnicza praca. Szczególny charakter miał obóz ulokowany w Pogrzebieniu koło Raciborza – kierowano do niego dzieci osób aresztowanych za działalność w ruchu oporu.

Akcja „Oderberg”

W prowincji górnośląskiej polski ruch oporu najsilniej rozwinął się właśnie w „pasie wschodnim”. Przemysłowy charakter oraz tradycje historyczne „czerwonego” Zagłębia Dąbrowskiego sprawiły, że szczególnie duże wpływy na tym terenie miały organizacje lewicowe, związane zwłaszcza z PPS WRN. Władze nazistowskie bezwzględnie zwalczały wszelkie objawy polskiego oporu niezależnie od jego barw politycznych – niestety z licznymi sukcesami. W latach 1939-1945 na tym obszarze aresztowano tysiące Polaków – duża część tych ludzi została zamordowana. Jedną z największych fal aresztowań w Zagłębiu Dąbrowskim i powiecie chrzanowskim miała miejsce w nocy 11/12 sierpnia 1943 r. W ramach tzw. akcji „Oderberg”, precyzyjnie wymierzonej w polskie podziemie lewicowe (zarówno socjalistyczne, jak i stosunkowo nieliczne, komunistyczne), zatrzymano około 750 ludzi. Od poprzednich operacji tego typu różniła się ona tym, że aresztowano całe rodziny, które skierowano do więzienia policyjnego w Mysłowicach. Mężczyzn oddzielono od najbliższych już w momencie aresztowania, z kolei w Mysłowicach odebrano matkom dzieci – również te najmłodsze. Wkrótce dorośli (około 400 osób) wywieziono do KL Auschwitz, gdzie w najbliższych miesiącach większość z nich została zamordowana.



Grupa „Dzieci Potulic” przed czeladzkim sierocińcem, lata 1945-1948

Obozowa tułaczka

Inny był los co najmniej 213 aresztowanych dzieci. Po oddzieleniu od matek w Mysłowicach, skierowano je do obozu w Pogrzebieniu. Pod koniec września 1943 r. większość z nich podzielono na grupy i rozwieziono do innych Polenlagrów położonych w południowej części prowincji górnośląskiej: do Benešova (Markt Benešchau), Bohumina (Oderberg), Kietrza (Katscher), Gorzyc (Gross Gorschtitz), Gorzyczek (Klein Gorschtitz), Lysków (Lissek) oraz Żor (Sohrau). Podobnie jak dorośli więźniowie, dzieci zaznały w nich głodu, chorób i brutalnego traktowania ze strony strażników nazywających je „dziećmi bandytów”. Znałe są przypadki zakatowania małych więźniów za próby ucieczki. Nic dziwnego, że część dzieci osadzonych w Polenlagrach zmarło. W ośrodkach tych prowadzono też na nich badania – dzieci uznane za „rasowo czyste” wywożono do Niemiec. Późniejszych losów większości z nich nie udało się ustalić. Pewną ulgą w ogólnej mizerii bytowania była pomoc ze strony dorosłych

współwięźniów oraz kontakty korespondencyjne z rodzinami. Okazjonalnie zdarzały się też osobiste odwiedziny umożliwiające przez stosunkowo niewielką odległość obozów od Zagłębia Dąbrowskiego. Z okazji tej skorzystał m.in. wywodzący się z Czeladzi Jan Polak, który w sierpniu 1943 r. zdołał ukryć się w miejscowej kopalni i w ten sposób uchronić przed aresztowaniem. Dzięki temu mógł potem, w przebraniu, kilkakrotnie odwiedzić swoje córki Janinę i Czesławę w obozach w Pogrzebieniu, Gorzycach i Bohuminie.

Wkrótce miało się to jednak zmienić. W połowie 1944 r. część dzieci przetransportowano do obozu w Żorach, a później do Bohumina. Stamtąd na początku sierpnia 1944 r. 139 z nich wywieziono do obozu przesiedleńczego w Potulicach koło Bydgoszczy. Transporty z górnośląskich Polenlagrów trafiły do Potulic 8 i 11 sierpnia 1944 r. Nie wszystkie dzieci należały do grupy aresztowanej podczas akcji „Oderberg” – część pochodziła z innych części prowincji górnośląskiej. Egzystencję dzieci w Potulicach tak wspominała pochodząca

z Czeladzi Janina Zachariasz (córka wspomnianego wcześniej Jana Polaka): „Ubrano nas w drewniaki i ubrania obozowe. Warunki bytowania w tym obozie nie różniły się od warunków w istniejących obozach koncentracyjnych. Mieszkaliśmy w bardzo prymitywnych, zimnych barakach, brakowało urządzeń sanitarnych, niskokaloryczne, wręcz głodowe wyżywienie, a do tego codzienny reżim hitlerowski, w tym zastraszające apele. Starsze dzieci pracowały w ogrodzie i przy kopaniu rowów przeciwlądziowych, a nawet wysłani byliśmy do gospodarzy niemieckich do roboty na polu. Praca w ogrodzie dawała nam możliwość dożywiania się jarzynami, które głęboko ukryte przenosiliśmy do obozu rodzeństwa i młodszym dzieciom. Było to bardzo ryzykowne, bowiem za najmniejszą kradzież i przemyt bito pejcem, karano głodówką lub zamykano w bunkrze”.

Szczególnie traumatyzujące było niemal całkowite już zerwanie kontaktów z rodzinami (pozostała tylko korespondencja). Również w Potulicach część dzieci zmarła, inne

zostały, po badaniach rasowych, wywiezione do Niemiec. Pozostałe doczekały ewakuacji obozu styczniu 1945 r. W przeciwieństwie do dorosłych więźniów, dzieci nie zostały objęte ewakuacją. Przez dwa dni przebywały w nim bez opieki – w obozowych magazynach znalazły jednak trochę żywności oraz niemiecką odzież wojskową. Tak doczekały zajęcia obozu przez wojska sowieckie.

Gorzki powrót

27 stycznia 1945 r. Armia Czerwona wyparła Niemców także z Zagłębia Dąbrowskiego. Już 10 lutego kilku mieszkańców Czeladzi (Władysław Badzior, Wiktor Parka, Jan Polak i Teofil Kowalik), miasta w sposób szczególnie bolesny dotkniętego akcją „Oderberg”, wyruszyło do Potulic z zamiarem sprowadzenia dzieci. Koniecznego pełnomocnictwa władz polskich udzielił im Jerzy Ziętek pełniący już w Katowicach obowiązki wojewody śląskiego. Do Potulic dotarli po kilku dniach. Wśród małych mieszkańców obozu znaleźli 54 dzieci pochodzące z Czeladzi. Transport, zorganizowany przy pomocy władz polskich i sowieckich, dotarł do miasta 19 lutego 1945 r. Na miejscu powracających powitał entuzjastycznie kilkuset tysięcy tłum. Wkrótce zaczęli się zgłaszać bliźni lub dalsi krewni. Te dzieci, po które nikt się nie zgłosił, zostały umieszczone w miejscowym sierocińcu. W Potulicach wciąż przebywały jednak setki dzieci, w tym wiele z Zagłębia Dąbrowskiego i Górnego Śląska – ich nazwiska zostały opublikowane na łamach lokalnej prasy. W tej sytuacji kilku czeladzian (m.in. uczestnik pierwszego wyjazdu Jan Polak) ponownie udało się, na polecenie Ziętka, do potulickiego obozu, skąd przywieźli pociągiem kolejne 103 dzieci. Część z nich, nie pochodzących z Zagłębia, wysadzono w Kołuszach, Częstochowie i Zawierciu. Pozostałe zostały przekazane zarządowi PCK w Będzinie.

MATEUSZ KUBICKI
ODDZIAŁ IPN W GDAŃSKU
UNIwersytet Gdański

NIEMIECKA AKCJA T-4 NA POMORZU GDAŃSKIM A ZABÓJSTWA DZIECI W LATACH 1939-1945

II wojna światowa przyniosła diametralne zmiany w traktowaniu przez Niemców osób z zaburzeniami psychicznymi. Niemcy chcąc stworzyć „idealne społeczeństwo”, postanowili je z niego usunąć.

Po objęciu w 1933 r. w Niemczech władzy przez narodowych socjalistów rozpoczęto przygotowania do wdrożenia prawa, które umożliwiało zastrzelenie kursu względem osób chorych. Jedną z najbardziej drakońskich była ustawa wprowadzona w 1934 r. o przymusowej sterylizacji osób z zaburzeniami. Przyjęte tam rozwiązania pozwalały, aby chorzy byli poddawani zabiegowi wbrew ich woli. Często był on celowo wykonywany z błędem lekarskim, co przyczyniało się do śmierci pacjenta. Do dalszego zastrzelenia prawa doszło w 1935 r., kiedy dopuszczono całkowitą izolację osób z zaburzeniami. Ustawy te miały doprowadzić do eliminacji z niemieckiego społeczeństwa „życia niewartego życia”. Ostatnim elementem było rozpoczęcie już po wybuchu wojny akcji T-4, która objęła wszystkie znajdujące się wówczas na terenie Niemiec placówki związane z leczeniem osób z zaburzeniami.

W przededniu niemieckiej agresji na Polskę na Pomorzu Gdańskim działało kilka miejsc odpowiedzialnych za leczenie osób z zaburzeniami psychicznymi. Wówczas cieszyły się one renomą, a wdrażane tam metody terapii wpasowywały się w najnowsze standardy. Wśród dużych placówek należy wskazać Krajowe Zakłady Psychiatryczne w Świeciu nad Wisłą i Kocborowie nieopodal Starogardu Gdańskiego. Pierwszy z nich uruchomiono w 1829 r. Został on rozbudowany w połowie XIX w. W momencie ataku Niemiec na Polskę znajdowało się w nim około 1,7 tys. pacjentów, z czego część przebywała na leczeniu pozaszpitalnym, co dotyczyło zwłaszcza cięższych chorób. Drugi z dużych szpitali w Kocborowie miał bardzo podobne warunki. Umieszczono w nim maksymalnie 1350 pacjentów. Dodatkowo podlegały mu dwa ośrodki zamiejscowe w Chojnicach (200 chorych) oraz szpital dla chorych dzieci w Gniewie (maksymalnie 60 dzieci).

Tajna narada w Sopocie

W połowie września 1939 r. w „Grand Hotelu” w Sopocie miała miejsce tajna narada, w której obok kanclerza III Rzeszy Adolfa Hitlera wzięli udział dr Karl Brandt - osobisty lekarz Hitlera, Philipp Bouhler - szef Kancelarii Rzeszy oraz dr Leonardo Conti - naczelny lekarz III Rzeszy. Wówczas ustalono jak będzie przebiegać akcja zabijania osób chorych. Efektem narady był tajny dekret o eutanazji (Eu-

thanasie Erlass), podpisany przez Adolfa Hitlera pod koniec października 1939 r. W celu zachowania pozorów został on antydatowany na 1 września 1939 r., co było zgodne z datą rozpoczęcia ataku na Polskę. Dopuszczał on „wyświadczenie łaski śmierci” wobec osób nieuleczalnie chorych i upośledzonych. Aby nie zdrażniać niemieckiej opinii publicznej działania te objęto całkowitą tajemnicą, a sama akcja otrzymała kryptonim T-4. Wywodził się on od adresu głównej siedziby centrali Zakładów Opiekuńczo-Leczniczych w Berlinie przy ulicy Tiergartenstrasse 4 odpowiedzialnej za jej przeprowadzenie.

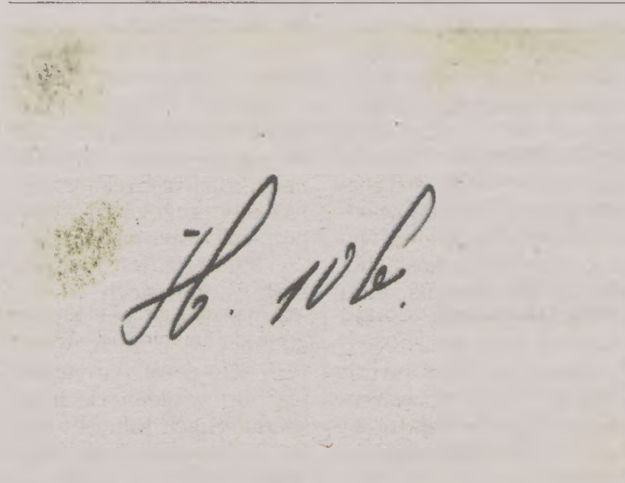
Działania wojenne na Pomorzu Gdańskim zakończyły się bardzo szybko. Wówczas do placówek w Kocborowie i Świeciu przybyli SS-mani rekrutujący się spośród oddziału szturmowo-wartowniczego Kurta Eimanna (SS-Wachsturmbann Eimann). Każdy z oddziałów liczył od 20 do 40 osób. Ich zadaniem było zabezpieczenie szpitali oraz przygotowanie ich do rozpoczęcia akcji T-4. Następnie do każdej z placówek przybyła specjalna komisja, na czele której stał odpowiedzialny w okresie przedwojennym za medycynę w Wolnym Mieście Gdańsku prof. dr Erich Grossmann. Składała się ona z lekarzy psychiatrów oraz tych zajmujących się szeroko rozumianą eugeniką. Głównym zadaniem komisji było podzielenie pacjentów na grupy, gdzie decydującym czynnikiem była ich zdolność do wykonywania pracy. Spośród chorych przy życiu planowano pozostawić maksymalnie 20 proc. osób.

Zbrodnie w lesie

Po dokonaniu podziału, do akcji weszli znajdujący się w szpitalach SS-mani. W Świeciu



Zdjęcie małej pacjentki pawilonu Xb wykonane przez Niemców na potrzeby akcji T-4



Rewers zdjęcia wykonanego przez niemiecki personel szpitala z oznaczeniem pawilonu, gdzie zabijano małych pacjentów

nad Wisłą wywózki pacjentów do lasów nieopodal miejscowości Mniszek-Grupa rozpoczęto około połowy września 1939 r. W zbrodni obok SS-manów brali również udział przedstawiciele Selbstschutzu („niemieckiej samoobrony”) najbardziej zbrodniczej formacji działającej na okupowanym Pomor-

zu Gdańskim. W lasach nieopodal Mniszka-Grupy pacjentów zabijano strzałem w tył głowy lub poprzez roztrzaskanie czaszki tępym narzędziem. W ten sposób zamordowano maksymalnie 800 osób. Szpital psychiatryczny w Kocborowie rozpoczęto „opróżniać” w ten sam sposób od 22 września

1939 r. Pacjentów wywożono do znajdującego 7 kilometrów od Starogardu Gdańskiego - Lasu Szpegawskiego. W zbrodni brali udział wyłącznie SS-mani z oddziału Eimanna. Dowódcą komanda mianowano SS-Obersturmführera Karla Braunschweiga. W masowych egzekucjach trwających do drugiej połowy stycznia 1940 r. zamordowano 1689 chorych, w tym również sporą liczbę dzieci.

Jeszcze podczas trwania zbrodni rozpoczęto relokowanie pacjentów. Działanie to miało przyspieszyć realizację założeń akcji T-4. W ten sposób potraktowano maksymalnie 60 chorych dzieci znajdujących się w ośrodku w Gniewie. Inicjatorem ich wywiezienia był komisaryczny burmistrz miejscowości volksdeutsches Horst Walpuski vel Walldorf. Do Kocborowa przewieziono je samochodem ciężarowym na przełomie października i listopada 1939 r. Po umieszczeniu w szpitalu zostały one następnie wymordowane w kilku masowych egzekucjach. Do Kocborowa 16 czerwca 1940 r. przywieziono też chorych z placówki w Prabutach, a sam szpital został przekształcony w lazaret i koszar dla Wehrmachtu. Również w tym transporcie znajdowały się chore dzieci. Podobnie potraktowano pacjentów, którzy pozostali przy życiu w szpitalu w Świeciu nad Wisłą. Niemcy wykorzystując specjalny pociąg przewieźli chorych do Kocborowa 3 listopada 1939 r. Większość z nich została zabita w masowych egzekucjach w Lesie Szpegawskim. Dla zabudowań szpitalnych w Świeciu Niemcy znaleźli inne zastosowanie. Zostały one przekształcone w dom starców dla Niemców bałtyckich sprowadzonych na te tereny w ramach akcji „Heim ins Reich”.

Zastrzyki śmierci

Masowe zabójstwa pacjentów w lasach zakończyły się w styczniu 1940 r. Nie oznaczało to jednak końca akcji T-4, która trwała nadal. Niemcy do tego celu wykorzystywali zabudowania szpitala w Kocborowie. W szczególnie okrutny sposób potraktowali przebywające tam dzieci. Umieszczono je w dwóch pawilonach oznaczonych jako Xb (dla dziewcząt) i Xlb (dla chłopców). Szefową pierwszego była Klara Rückert, a drugim natomiast kierował Erich Konrad Hannemann. Przebywające w pawilonach Xb i Xlb dzieci prawdopodobnie poddawano eksperymentom medycznym tworząc obłąkaną historię choroby. Równolegle rozpoczęto względem nich stosować założenia akcji T-4. Najpierw niemiecki personel rozpoczął zmniejszanie racji żywnościowych oraz zaniechał podawania codziennych dawek leków. Dodatkowo ograniczano ogrzewanie pomieszczeń, co tłumaczono „oszczędnością”. Wówczas w pawilonach Xb i Xlb zaczęły szerzyć się choroby, gdzie do najpowszechniejszych należy zaliczyć zapalenie płuc, gruźlicę czy tyfus. Inną metodą zabijania dzieci przez Niemców było podawanie im zastrzyków z wysokostężonego luminalu, morfiny, skopolaminy, barbituranów, veronalu lub panhormonu. Słabsze dzieci, które otrzymywały iniekcje dożylnie tych substancji umierały bardzo szybko. Silniejszym, niemiecki personel potrafił podawać środki miesiącami. W obu przypadkach ich śmierci towarzyszyły męczarnie. W przypadku stwierdzenia zgonu historię choroby fałszowano poprzez wskazanie, że dany mały pacjent został relokowany do innego szpitala na terenie „starej Rzeszy”. Często podawano też fikcyjną przyczynę zgonu, gdzie najczęściej wpisywano zapalenie mięśnia sercowego. Jedyną adnotacją świadczącą o zabiciu w wyniku akcji T-4 było narysowanie przez kierownika oddziału czerwonego krzyżyka na rewersie zdjęcia danego pacjenta.

Pomimo formalnego przerwania akcji T-4, które miało miejsce w 1941 r., zabójstwa dzieci trwały nadal. Szacuje się, że w kocobrowskim szpitalu psychiatrycznym w latach 1940-1944 Niemcy pozbawili w ten sposób życia, co najmniej 200 dzieci. Sami sprawcy obwinając się wzajemnie w powojennych procesach wskazywali, że ci, którzy byli odpowiedzialni za zabójstwa dzieci otrzymywali zwiększone pobory lub awanse na wyższe stanowiska, co również wiązało się z przywilejami i ze zwiększonym uposażeniem.

MŁODOCIANI POWSTAŃCY WARSZAWSCY W NIEWOLI NIEMIECKIEJ

Po upadku powstania warszawskiego do niewoli dostało się ok. 17 tys. powstańców, a wśród nich ok. 1100 chłopców i dziewcząt w wieku od 10 do 18 lat. Najmłodszym jeńcem wojennym z powstania warszawskiego był 10-letni Jerzy Szulc ps. „Tygrys”.

DR BARTOSZ JANCZAK
ODDZIAŁ IPN W ŁODZI

Przez 63 dni w walkach o Warszawę w 1944 r. wzięło udział ok. 50 tys. powstańców. Wśród nich byli mężczyźni, kobiety, a także młodzież oraz dzieci. Wychowani w duchu patriotycznym nieletni żołnierze dzielnie bili się o wyzwolenie okupowanej stolicy. Wielu zginęło na warszawskich ulicach, a ponad tysiąc dostało się do niewoli niemieckiej. Byli najmłodszymi jeńcami wojennymi w historii.

Od wybuchu 1 sierpnia 1944 r. powstania warszawskiego młodociani żołnierze wykonywali szereg zadań. Pełnili służbę m.in. jako łącznicy nosząc rozkazy i meldunki, przewodnicy po kanałach prowadząc również ludność cywilną, czy po prostu z bronią w ręku zabijali niemieckich żołnierzy. Za swoją odwagę, oddanie kilku z nich zostało awansowanych na wyższe stopnie wojskowe, czy odznaczonych np. krzyżami Virtuti Militari.

Koniec powstania warszawskiego 2 października 1944 r. dla nieletnich powstańców był, podobnie jak dla pozostałych walczących czasem bardzo trudnym. Ich ogromne dziecięce marzenie o wyzwoleniu Warszawy nie zostało spełnione. Jednak większość młodocianych jako pełnoprawni żołnierze, którzy podczas walk zasłynęli z nieprawdopodobnej odwagi, postanowiła, choć nie musiała, znosić trudy żołnierskiej niedoli, a mianowicie pójść wraz ze swoimi towarzyszami broni do niewoli niemieckiej.

Droga do obozów jenieckich

Na mocy polsko-niemieckich ustaleń powstańców warszawskich traktowano jako żołnierzy, którym przysługiwały prawa jenieckie zawarte w międzynarodowych umowach. Do niewoli dostało się ok. 17 tys. powstańców, a wśród nich ok. 1100 chłopców i dziewcząt w wieku od 10 do 18 lat. Najmłodszym jeńcem wojennym z powstania warszawskiego był 10-letni Jerzy Szulc ps. „Tygrys”.



Młodociani powstańcy warszawscy podczas nauki strzelania

Po zaprzestaniu walk na początku października 1944 r. większość powstańców warszawskich skierowano do obozu przejściowego w Ożarowie, a stamtąd transportami kolejowymi trafiali do oflagów (obozów dla oficerów) oraz stalagów (dla podoficerów i szeregowych) zlokalizowanych na terenie III Rzeszy.

Najwięcej powstańców warszawskich, bo prawie 6 tys. żołnierzy trafiło do Stalagu 344 Lamsdorf (obecnie Łambinowice na Śląsku Opolskim), w tym prawie 600 młodocianych. Podoficerów i szeregowych mężczyzn, kobiet, a także młodocianych umieszczono ponadto w stalagach: IV B Mühlberg (i podległego mu lazaretu Zeithain), X B Sandbostel, XI A Altengrabow, XI B Fallingbomel. Oficerów przetrzymywano m.in. w oflagach II C Woldenberg czy VII A Murnau.

Warunki w niewoli niemieckiej

Młodociani powstańcy w obozach jenieckich byli traktowani przez Niemców na równi z dorosłymi. Już sama wielodniowa podróż w przepełnionych wagonach kolejowych do miejsc odosobnienia była dla nich bardzo wymagająca. Pozbawieni wody, żywności,

bez snu docierali do obozów wyczerpani, a za drutami nie otrzymali należytej opieki.

Należy pamiętać, że powstańcy trafiali do obozów jenieckich jesienią, kiedy występowały zimne, deszczowe dni, a żołnierze nie posiadali ciepłej odzieży. Nie byli zaopatrzeni także w najpotrzebniejsze przedmioty codziennego użytku, a mianowicie w łyżki oraz menażki, aby móc spożywać niewielkie i słabej jakości posiłki. Brak odpowiedniej żywności powodował występowanie u nich szeregu chorób, jak np. biegunki, duru brzusznego i płamistego, anemii czy zapalenia płuc.

Jak już wspomniano, najwięcej nieletnich jeńców wojennych osadzono w Stalagu 344 Lamsdorf. Powstańcy warszawscy zostali umieszczeni w tzw. Russenlagrze (sektorze dla jeńców sowieckich). Warunki w obozie były bardzo trudne. W stalagu brakowało żywności, lekarstw, środków czystości, występowały problemy z dostępem do bieżącej wody. Młodociani powstańcy głodowali, chorowali, a przez cały okres przetrzymywania towarzyszyli im pluskwy. Osadzali się na sufity baraków i podczas snu spadali na śpiących jeńców. Jak wspominali powstańcy rano



Powstańcy opuszczający Warszawę po kapitulacji

byli tak pogryzieni, że wyglądali jak Indianie.

W pozostałych obozach jenieckich warunki były podobne. Młodociani jeńcy z powodu fatalnej sytuacji podejmowali ucieczki. Ze stalagu Lamsdorf próbowali uciec 17-letni starsi strzelcy Janusz Sznytko „Bogdaniec”, Jan Lewandowski „Aleksander” i Ireneusz Wiśniewski „Irek”, ale im się nie udało. Pierwszy z nich zginął zastrzelony przez niemieckiego żołnierza, a dwaj pozostali zostali ranni.

Młodocianych powstańców warszawskich władze niemieckie wykorzystywały do pracy w obozach, w których ich przetrzymywano, bądź np. w niemieckich gospodarstwach rolnych. Nieletni wbrew międzynarodowemu prawu jenieckiemu pracowali także w zakładach zbrojeniowych. Niżsi wzrostem zajmowali się składaniem niemieckich samolotów wojskowych Messerschmitt. Podczas montażu kadłubów specjalnie źle nitowali, wskutek czego samoloty miały wady fabryczne, co mogło doprowadzić do ich rozpadu w powietrzu. Poprzez sabotaż wykonywanej pracy młodociani jeńcy stawiali opór, walczyli z Niemcami.

Nieletni powstańcy brali ponadto udział w odgruzowywaniu niemieckich miast zniszczonych w wyniku nalotów alianckich. Pomagali ludności cywilnej państwa, które jeszcze jakiś czas temu atakowało z powietrza ich domy. Oglądali cierpienie ludności cywilnej, które sami doskonale znali.

Losy powojenne

Niewola niemiecka młodocianych powstańców warszawskich kończyła się wraz z zajmowaniem niemieckich obozów jenieckich przez wojska alianckie. Po wyzwoleniu nieletni jeńcy wojenni, podobnie jak pozostali przetrzymywani, musieli zdecydować o swoich dalszych losach.

Większość młodocianych powstańców warszawskich wróciła do powojennej Polski. Po powrocie do kraju i odnalezieniu swoich rodzin bardzo ważną dla nich kwestią było podjęcie przerwanej z powodu wybuchu wojny edukacji. Po zdaniu matury dostawali się często nie bez przeszkód na studia. Niestety przez władze komunistyczne w Polsce nieletni powstańcy warszawscy już w dorosłym życiu byli niejednokrotnie szykanowani, prześladowani, a nawet osadzani w więzieniach.

Część nieletnich powstańców warszawskich nie zdecydowała się na powrót do ojczyzny i wybrała życie emigracyjne. Różne były powody tych decyzji. Niektórzy nie chcieli wracać do Polski z powodu złych wspomnień, inni stracili rodziny w kraju i otrzymali opiekę u swoich bliskich na emigracji. W najgorszej sytuacji byli sieroty, które po zakończeniu II wojny światowej uzyskiwały pełnoletność. W samotności, daleko od domu musieli nie bez przeszkód budować swoją dalszą przyszłość.

Niektórzy młodociani powstańcy np. po wyzwoleniu przez wojska amerykańskie rozpoczęli służbę w organizowanych w Niemczech przez władze USA kompaniach wartowniczych. Inni wstępowali w szeregi Polskich Sił Zbrojnych, m.in. do 2. Korpusu Polskiego we Włoszech i odsyłani byli do szkół junaków i młodszych ochotników, w ramach których mogli zdobywać wykształcenie. Po zdemobilizowaniu osiedlali się w różnych częściach świata.

Dla pozostających na emigracji ogromną tęsknotą za krajem, za ukochaną Warszawą towarzyszyła im przez całe życie. Mimo tysięcy kilometrów od rodzinnych stron nie zapominali o jesiennych wydarzeniach z 1944 r. Starali się poza granicami kraju kultywować pamięć o powstaniu warszawskim, wspominać swoich bliskich, przyjaciół, znajomych, którzy w wyniku 63 dni walk stracili życie, wolność, domy, ojczyznę.

Młodociani powstańcy warszawscy stanowili najmłodszą grupą jeniecką w historii wojen. Byli jedyni, niepowtarzalni, wykazywali się ogromną odwagą, oddaniem, obowiązkowością, odpowiedzialnością, patriotyzmem, a przecież w momencie największej próby nie osiągnęli pełnoletności. Dla nich dzieciństwo przypadło na okrutne lata wojenne. Musieli oglądać cierpienie, głód, śmierć, tracić rodziny, przyjaciół i domy. Wraz z końcem II wojny światowej nie odzyskali swoich lat młodzieńczych, a przyszło im się zmierzyć z niełatwą powojenną rzeczywistością.